CHIMERA



Zeszyt 18.

TREŚĆ.

TOM VI. ZESZYT 18. — GRUDZIEŃ 1902.

Rysunek okładkowy wykonał na kamieniu sposobem własnym JÓZEF FLECK.
Klisze rysunków do tego N-ru wytrawiono w zakładach chemigraficznych
B. WIERZBICKIEGO i S-ki, oraz KIPMANA i SZYDŁOWSKIEGO.
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica.“
Składał i łamał JÓZEF PERŻAK. — Odbijali na maszynie:
tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, okładkę — MARYAN KUCHOWSKI.
Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 декабря 1903 года.

CHIMERA.





TOM SZÓSTY. PAŹDZIERNIK – GRUDZIEŃ 1902.
WARSZAWA. – NOWY ŚWIAT, 22.

Ostatnia z bajek.

I.

POWIEW SWOBODNY, który był i jest wszędzie, gdzie się działo i dzieje życie, tak mówi do zatrzymanej myśli:



ie wierzcie, lub nie dowierzajcie, gdy was nauczają, że BAJKA jest literacką formą, przemyślnie ku temu wytworzoną, ażeby prawdy drażliwe, osłoniwszy je dowcipnem postaciowaniem, gładziej przemycać. Taka PRZEMYSŁOWA robota zaczęła się stosunkowo bardzo późno, *) takie literackie BAJKOPISAR-

*) Najstarszym w tej mierze pomnikiem jest PRZYPOWIEŚĆ (nie BAJKA) arcydzielnie piękna, wydumana

STWO dopiero po przejściu całej jednej epoki, bo dopiero w okresie Aleksandryjskim, pojawia się. Człowiek

---

śród drzew na górze Garizim przez Jothama (przechowana nam w KSIĘGACH SĘDZIÓW, IX, 8), a która opiewa, iż DRZEWA POSZUKUJĄCE SOBIE MONARCHY, SPOTYKAJĄC ODMOWĘ U DRZEW OWOCOWYCH, KOŃCZĄ NA WYBORZE CIERNIU JAŁOWEGO. — Podobną tejże przypowieści jest owa O ŻOŁĄDKU I CZŁONKACH CIAŁA ODEŃ ZALEŻĄCYCH, którą senat rzymski posyła zbuntowanej PLEBIE, cofniętej za Rzym, na MONTEM SACRUM. Jedna wszakże i druga są raczej wyilustrowaniem postaciowem, uprzystępniającem ludowi treść oderwaną, i przeto — sposobem wyrażenia się. Należałoby one właściwiej policzać do DWU-STOPNIOWYCH mówień Sybilińskich. Z tych potem powstaje DYSTYCH — a z niego, w dalszym ciągu, przy zdegradowaniu tradycyi, przy zatraceniu pojęć o OBRZĘDOWYM TAŃCU i przy trywialności humoru, rodzi się używany do dziś KRAKOWIAK, rym dwustopniowej natury, wierszem jednym określający, jaki udział bierze stworzenie w wyrobie myśli, drugim, jaką jest myśl sama.

Mówienia DWU-STOPNIOWE Sybilińskie i powiedzenia auguralne nie z innego bywają źródła. Kiedy się wyroczniło np.:

Kruków czaty tam i sam przelatują nad równem polem.
Wiele trupa polegnie, nim przyjdzie sojusz... i t. p. —

porozumiewało się pierwej z naturą lotu kruków. Myślę, że niema co nadmieniać, iż dla nas, dziś, często być może związek dwóch części dystychu jakiego niejasnym, zwłaszcza że i spółcześni wyroczniom musieli się nieraz do uczytelniających je kapłanów lub mędrców stopnia wyższego i bliżej wtajemniczonego odnosić. *(Przyp. autora.)*

sobie tego sam przez się nie wyrafinował, że zwierzęta i twory inne mówią, rozmawiają, że język ten myśli powzajemniał, że istotnie jawił się i używał. Owszem, właśnie tak było w rzeczywistości; więc dopiero gdy okres tego z naturą obcowania zawarł się i oddalił, powstała BAJKA, tak, jako po częściowych RAPSODYACH, sporadycznie tam i sam zaśpiewanych, ocaliła się pełna Epopeja.

Do rozmówienia się potrzeba czego? — potrzeba SPÓŁ-POŁOŻENIA, JĘZYKA i UCZUCIA PRAWDY. Spół-położenie człowieka ze zwierzętami i tworami innemi, lubo na rozmaite oddalenia, jednakowoż istniało zawsze i może dziś istnieje. Języki zaś, jakkolwiek się tak bardzo roz-daliły, iż człowiek ROZSĄDNY (SIC!) odmawia własności mówienia zwierzętom i tworom innym, jednakowoż ten ich język, mimo zupełnego zaniechania swojego, istnieje, i podobno, że więcej nieco, niż niektóry ostatecznie zacofany dyalekt języka PAPU *). Co się tycze zaś UCZUCIA PRAWDY,

---

*) Z pozostałości (jakie po zamkniętych epokach zawsze bytują dla utrzymania ciągu rzeczy) z pozostałości, mówię, wnosząc, widzi się, że JĘZYK ZWIERZĄT jest MONOSYLABOWY, MUZYKALNY i EKSKLAMACYJNY. Do wyższej i szerszej gramatycznej formacyi niedochodząc, dawa on SYLABĘ i jej potęgowanie, np. HAM! HAM-HAM! — GDA! GDA-GDA! — i t. p. Podobno jednak w improwizacyach słowika dają się dostrzegać i formacye uczeńsze. Natomiast muzykalność obejmuje całą gramatyczną stronę i rozwój jej. Kura, ostrzegając o niebezpieczeństwie, używa nastroju i tonu nietylko

zdaje mi się, że nie TROSZKĘ, lecz BARDZO zapomina się o tej właściwości Prawdy, iż wszelkie żyjątko uczucie jej posiada, jakkolwiek w stopniu odmiennym. Popróbuj udawać zagniewanie, zamierzając się na psa żartem, a zobaczysz, jak on rozeznawać i podejrzewać będzie. Gdy tymczasem potrąć go najlżej, lecz seryo,— zobaczysz, jak on to przyjmie. Psa się zaś tu cytuje nie jako wyjątek, lecz dla tego, iż przezeń najczytelniej dawa się okazać wniosek nasz. Atoli i najdrobniejszy robaczek inaczej przyjmuje potrącenie kołysaną przez wiatr gałązką, inaczej zaś — podniesioną nań z woli człowieka. Nieodmienny zielony polny pajączek, gdy ma na przeciwne sobie brzegi strumienia nicią przekroczyć nadwodną, przyjmuje, jako oczekiwane, potrącenie wiatru, które go za jego myślą niesie, lecz tenże cofnąłby się przed takiemże samem, wywartem przez

---

dla samych oddalonych kurcząt zrozumiałego — podobnież innym wygłosem zwiastuje pomyślne karmu znalezienie. To, że niezawsze zdołamy przepisać monosylabiczne mówienia jakiego zwierzęcia lub ptaka, nic wcale przeciw istnieniu języka onych nie dowodzi, bo podobnież i z wielu języków wyspiarskich nie możemy abecadłem naszem przepisać wybrzmień, dla określenia których zbywa nam liter.

Ze swojej strony, język ludzki w epoce pierwszej nie znajdował się na tej stopie formalnego s-kościelenia, na jakiej go dziś się ogląda. Nie żeby od jakowego PISKU albo KRZYKU stopniowo rósł (CO JEST GRUBIAŃSKIEM BARBARZYŃSTWEM, ŻADNEGO TROSZKĘ OBUCZONEGO UMYSŁU NIEGODNEM), ale że ten język ludzki występował wtedy pogłównie w swojej doskonałości LIRYCZNEJ i GLOSSOLALIJNEJ. *(Przyp. autora.)*

człowieka wolę i podmuch. Uczucie prawdy w roślinach mniej jest jasne. Czułek prawie tak samo przyjmuje nieumyślne jak umyślne potrącenie.

Skoro więc było i jest SPÓŁ-POŁOŻENIE istot, skoro był i jest JĘZYK (patrz w odsyłaczu), skoro było i jest PRAWDY-UCZUCIE: istnieją zatem główne trzy warunki rozmawiania i porozumiewania się. To też zwierzęta i człowiek rozmawiały, jak rzekło się. Ogromny słoń do dziś jedynie na tym warunku służy i niema dlań wędzidła żelaznego, albowiem mogłoby za słabem okazać się; trzeba więc czegoś silniejszego, to jest, stosownego używania SYLAB śpiewnych i porozumienia się.

— — tak do zatrzymanej myśli mówił POWIEW SWOBODNY, który, że był i jest wszędzie, gdzie się działo i dzieje życie, znać może rzeczy. I dodał jeszcze...



le, odkąd i jak nastąpiło to rozdalenie pomiędzy zwierzętami a człowiekiem, które dziś dwa osobne stawi obozy?.. Jużci, że odtąd, odkąd człowiek samego siebie tylko w stworzeniu poszukiwał, nic poza ten widok nieważąc sobie. Arabski koń innego nie zna wcale zbliżenia się człowieka, tylko ODWIEDZINY — tam zawsze przyszedł ktoś do kogoś

i obaj rozumieją się — owszem, koń arabski podziela nawet interes wzajemnej uprzejmości, bo, gdy jest podochocony, chce dla przyjemności SWOJEJ, ażebyś mu koło uszów strzelił parę razy z pistoletu, co przecież nie jest zwierzęcej jakiej potrzeby wynikiem... Natomiast, skoro przed człowieka, który kupuje sobie konia do zwożenia kamieni lub beczek, przyprowadzą zwierzę i okaźnie postawią, on zaś za pierwszym rzutem oka wyczytuje sobie siłę machiny, to szerokość piersi, to nóg moc obliczając, i dopiero po zrewidowaniu materyału widzi nareszcie zwierzę, a może nigdy stworzenie!..— jużci, że rozdalenie pomiędzy tym człowiekiem a zwierzęciem onem tak jest zupełne, jak zbliżenie kogo innego z koniem arabskim wyżej nadmienionym. Temto zachowaniem się i tą drogą nastąpiło rozdalenie człowieka i stworzeń. Zwierzę odtąd nie SZŁO drogami swemi, jak swobodniejszy ptak, mający swoje szlaki i odloty, interesom jego właściwe; zwierzę odtąd UCIEKAŁO, i szlaki przezeń przebiegane są szlakami ucieczki. I oto jeden z trzech warunków porozumiewania się, to jest, SPÓŁ-POŁOŻENIE istot przestało istnieć — za niem począł się oddalać język zwierząt od glossolalijnych z ludzkim zbliżeń.

Dopiero zaś kiedy takito okres zamykał się i zamykając oddalał, starano się, z jednej strony, przynajmniej dogmatycznie ciąg onegoż utrzymać, tam i ówdzie wydzielając GAJE ŚWIĘTE dla uderzenia siekiery niedostępne — utrzymując ZWIERZĘTA i PTAKI CZCZONE w dworcach świątyń — podobnież i drze-

wa *). Z drugiej zaś strony, na tradycyi minionego dramatycznego stosunku poczęła się dopiero urabiać BAJKA. Kierunki te dwa, lubo z tejże samej wyszłe przyczyny, musiały się względem siebie jątrzącemi znamionować. BAJKA albowiem upowszechniała jawnie, co inni uwyłączniali i zawierali tajemnicą. Wprost przeciwne parcie gdy do starć dochodziło, w takowem ginie BAJKO-TWÓRCA pół-mytyczny, AIZOP. A ginie właśnie tą śmiercią, którą zwykł był rabiać sobie satysfakcyę tłum podniecony, bo zepchnięcie ze skały w przepaść było wyrzuceniem kogo za społeczeństwo, i TARPEJSKA SKAŁA nie jest bynajmniej żadnem rzymskiem wyjątkowem prawem. — „Kmieć, przewożąc bóstwo, utwierdził je na grzbiecie osła (mówi Aizop); temu gdy kadzą i kłaniają się, osieł spyszniał i wierzgać począł. Alić obitym zostaje on przez kmiecia, aby wyjaśnionem okazało się stanowisko BÓSTWA, CZŁOWIEKA i ZWIERZĘCIA.“ Takato BAJKA jużci że za dni, kiedy około tych zadań i wątpliwości namiętniły się umysły, nie zapewniała swemu

---

*) ZOO-LATRIA żadnego uczucia w człowieku względem zwierząt nie rozwinęła i nie rozszerzyła. Ubóstwienie tego lub owego tworu nie stanowiło o całości i naturze stosunku stworzeń. Człowiek i tam siebie poszukiwał. BAŻANT ZŁOCISTY chiński jest podobny do młodego chińczyka, ubranego w przepych jedwabiu i złota; IBIS RELIGIOSA — do starego kapłana egipskiego; nawet konsekracyjny RZYMSKI ORZEŁ podobny jest profilem, zwrotem głowy i spojrzeniem do wszystkich głów konsularnych rzymskich. *(Przyp. autora.)*

autorowi pogodnego wczasu i była zjadliwszą rzeczą, niż to sobie wyobrażać dziś zwykliśmy! Ona wszelako, i może nie inna, najwyraźniej dzieło i działalność Aizopa okazuje.

— — do zatrzymanej myśli, podobno, że jeszcze miał coś mówić SWOBODNY POWIEW... *lecz nadlatywał właśnie Anioł, a ten bystrzejszy jest, i oto powiew swobodny pośpieszył iść za grą skrzydeł anielskich. —*

II.



anioł leciał ponad siołem, które z obfitej zieloności drzew różnych przeświecało wesołemi oknami domostw. Godzina była południowa; na niedożętych łanach tam i sam w niebieskim cieniu snopów spoczywali żeńce.. Ruchu żadnego nie było, nawet idący drogą żebrak wstrzymał się i na uboczy przyległ. Na całym obszarze widnokręgu niebios jeden tylko maleńki obłok, biały, zawisał...

Kiedy się podnosił anioł kręgiem... kręgiem... brzmiała odeń pieśń naokoło:

„Wy! pokwapcie się, lekkie, składne, jasne motyle, i wy, muszki drobne, złote jak iskry! Wy, ptaszki wesołe, i wy, zwinne polne i leśne zwierzątka... Wszystek ten drobny świat, który jakoby dla kogoś doskonalszego zabawek jest zbiorem, niech się kwapi dziś, gdyż oto, dni temu nieco, najpiękniejsze ze stworzeń, CZŁOWIEK przyszedł na świat!

„Chrzest przyjmie dziś — a teraz śpi, w białe pieluszki owinięty i pogrążony w półcieniu szafirowym jedwabnych kotar — bardzo piękny — nieudawający nic, szczery i zewsząd wdzięczny. Tam w oknie tem, rozigranemi jak bluszcz białemi różami oplecionemi, nowonarodzony mieszka...

„A ktoby powątpiewał, że najpiękniejszem ze stworzeń jest człek niemowlę, ten niechaj je ogląda w domu Ojca naszego — w kościele... Cóż może być wdzięczniejszego, w każdym ruchu i w oglądaniu się na wsze strony za Wszędy-obecnym, nad niemowlę czyniące nabożeństwo swej niewinności..? Ono nie idzie za tłumem, ani do świecących blasków kapłańskiego ubrania wyciąga rączyny — ani do zapalonych świec — bynajmniej. Pełni swoją modlitwę, jaka mu jest tchnięta, i zaiste, że pogłaskanem bywa niewidzialną Boga prawicą.

„Dla tegoto z uweseleniem podaję wam, że jeden więcej błogosławiony, jeden więcej piękny narodził się...“



ak gdy swoją pieśń skończył anioł, nastąpiła na bardzo mało chwila głębokiego uciszenia, poczem jak jednej struny złotej wygłos zabrzmiały słowa drobnych złotych muszek, i owadków tęczowych, i motyli w pyły świetne owianych:

„Piękny — piękny — piękny! jest człowiek dziecię, i niebawem podziwiać go będziemy hasającego po łąkach — rumianego jak zorza — po pas w kwiatach, z rozwianemi złotemi włosy. Gdzie skinie ręką, w której nieść będzie zdradną mgłę gazy, podchwyci motyle zbyt ufnie ssące kwiaty, podchwyci muszki złote, szklanoskrzydłe i tęczowe owadki... A potem, z uśmiechem powodzenia, poprzewierca im szpilkami karki i tak cały kapelusz i pudełka swoje przebitemi i przybitemi ustroi. One okręcać się będą na kruszcowych palach i wspinać na wyprężane nogi z jękiem, którego nie dosłyszy tłuste ucho człowieka, gdy po łowach rzuciwszy się, jak był, na posłanie, głęboko będzie spał, w pięknem odniechceniu tem nadobniejszy...

„I przyjdzie matka, pojrzy, zachwyci się — miękkim palcem odgarnie mu włosy z powiek — chustką wonną obetrze mu czoło. Profesor przebudzonego wychwalać będzie, iż wdzięcznych tyle trudów poniósł — — ale on się nic z tego, ani się nikt z tego nic nie nauczy!.. Tylko człowiek-pacholę rozpocznie próbować przyszłego rzemiosła swego, to jest, ażeby WSZYSTKO

PODSTĘPEM UJĄĆ, ZAMORDOWAC, OBEDRZEĆ I DLA SAMEGO SIEBIE ZUŻYTECZNIĆ!“

„TO JEDNO, OD RANA DO NOCY, CODZIEŃ WZGLĘDEM CAŁEGO STWORZENIA POCZYNAŁ ON PRZEZ WSZYSTKIE WIEKI!..“ — tak dobrzmiało echo słowom maleńkich muszek, tęczowych robaczków i motyli.

„Atoli on jest piękny, i piękna matka jego, i siostra starsza...“ — szczebiotać poczną ptaszki wiewne, miłe i swobodne — „lecz strzeżcie skrzydeł waszych, w których może błyszczeć parę piór — bo pojmają was podstępnem opętaniem sieci i odrąbią skrzydełka wasze, ażeby w szkielecie wyschłym uczepić je dodatnio na kapeluszach i na włosach. Kobiety od nas wszystkich ptaszków są piękniejsze, lecz nie nauczono ich ROZWIJAĆ PIĘKNOŚĆ WŁASNĄ, TYLKO ODZIERAĆ CUDZĄ I BRAĆ NA SIEBIE!.. Strzeżcie się więc...“

Upomnienie takie o baczność na człowieka czyny słysząc na drzewie, wiewiórka, cała w złotym słońca promieniu złota, ześliznęła się nieco niżej i pokornie swą rozpoczęła prozę:

„Powiadają, że umiałybyśmy bawić i rozweselać ludzi, będąc jakoby wcieloną gajów krotochwilą i igraszką, bo nikt tak drzew nie łączy z drzewy, jak skok jeden nasz zwykły, niewysilony... Lecz człowiek uprzejmiej patrzy na zwinność i igraszkę, niźli ocenia pracę i trud. Wystrzegajcie się jego, jakkolwiek jest piękny i wyniosły!.. Gdy my albowiem pracą znojną uzbieramy sobie na zimę jadła i, we wypróch-

niałem drzewie orzech zebrawszy do orzecha, otulimy je mchem najstaranniej, — zaraz bystry i piękny przewie się o tem, zabierze wszystko, on, któremu to jest igraszką jadła i któremu ani koniecznem jest takie jedzenie... I jeszcze z bratem swoim własnym pokłóci się, albo się i pobije, o orzech jeden, i dwóch więcej swojej siostrze nie da!.. Ale on wprawić się musi sercem w rzemiosło zdziercy, okrutnika i syna okrutników po wszystkie czasy."

„Jadło wszystko stracić na zimę jest wielką rzeczą"... — tęskno i słodko dośpiewa ukryty w cieniu mały ptaszek — „lecz nam przemyślny człek, bywało, igłą wykała oczy, ażebyśmy, w ciemnościach pogrążone, śpiewały bujniej..."

„Widziałam go, przez matkę kąpanego, i wiem, jak jest urodziwym," — zadzwoni ze szklanych fal strumienia jasna rybka, — „czoło ma zawsze podniesione, tak, że ogromny nasz wieloryb przy liniach Czoła tego dziecka jest poziomym i płaskim. Zaiste, mądry przeto, bo on z przezroczystego włosa nici uda nić wody bieżącej, i nastroi jej hak żelazny, i robaczka albo robaczka pozór utwierdzi na haku, aby mimo idąca głodna ryba, połykając podstępną śmierć, ginęła."

Wtedy, nad strumienia brzegiem przeżuwający złotą trawę śliczny ciołek, podobny do Apisa poszukiwanego, gładki i połyskliwy, zawoła:

„Zawsze ofiarny stryj wół, który pracuje na ludzi, upomina, że nawet skoro wyciągnie do ciebie człowiek białą swoją rękę, ażeby cię pogłaskać, nie dowierzaj! Bo on uczy się szukać palcami, ile mięsa narosło, ile

tłustości? On rozwiesi w jatkach białe i tuczne trupy, i bawić się będzie wyrzezywaniem we wzory skóry i mięsa, i umai je liśćmi zielonemi. Tamtędy potem pędzić będzie na rzeź sprzedane i z obłędem patrzące bydło.

„Albowiem jego całą rzeczą jest i było, po wszystkie czasy, od rana do nocy tem się zaprzątać jednem, ażeby wszystko podstępem ująć, zamordować, złupić, i ZJEŚĆ, i ZJEŚĆ... i co tylko można, odarłszy, na siebie wdziać, i wszystko sobie przysądzić. Syn, wnuk i prawnuk katów nic innego nie poczuł względem stworzenia! *).

„On to sędziwego wołu, gdy już dłań dość żwawo w polu płużyć nie może, utuczy obmyślnie i zabije — skórę użyć pośpieszy na uchronienie obuwiem stopy swojej od szwanku — mięso zje — kości porznie dla

---

*) Dusza Egipcyanina, przed sądem bogów spowiadając się, mówi: „NIE ODRYWAŁEM SSĄCEGO ZWIERZĘCIA OD MATKI — NIE PŁOSZYŁEM GAZELI Z LEGOWISKA.“ (W Księdze Umarłych).

My wszelako, pod czasy obecne, nawet i względem pogardliwie nazywanej „ŚWINI!“ moglibyśmy mieć historyczne względy. LUDOŻERSTWO albowiem (ANTROPOFAGIA), jakkolwiek powstałe z zaciekłości wojennej, gdy jednakże weszło potem w interes strawy, radykalnie dopiero bywa usuniętem przez wprowadzenie hodownictwa świń w te zakąty, gdzie, różnorodnego i dość posilnego jadła że często zbywa, dłużej się potworna tradycya praktykuje. I Świnia przeto wielkiej cywilizacyjnej sprawie usługiwa! *(Przyp. autora.)*

urobienia z onych fraszek do gry zabawnej po uczcie — z rogu jednego pić będzie złoty miód a w drugi róg zatrąbi! I niemożnem stanie się, ażeby cień śladu pozostał, że tu wół istniał...“

„Nieinną niesie zagładę rodowi owiec!..“ — jęknął nareszcie i baranek, biały, miękki i czysty jak obłok. — „Lubo owca sama porzuca i dawa z ochotą wełny swoje i mleka, lubo dzielić się lubi wszystkiem, co ma, — ale on już od dziecka w strony podstępu, wyzysku i pożerstwa wystosował twardość serca swojego i do ostatniej chrząstki policzy wszystko we zwierzęciu. Wytoczy z niego wnętrzności, wyrobi je i sprzędzie w struny muzyckie, ażeby na nich wygrywać piękne i głębokie akordy — pono na chwałę Boga!..“



asmucił się anioł, ale przemilkł; zatoczył kręgiem, kręgiem, nad poziomem — i, oparłszy skroń na obłoku, wstrzymał się...

A że mówienie zwierząt bardziej muzyckie jest niż słowne, przeto z poruszonych wiewów i z rzuconych w powietrze wybrzmień potęgował się lament pieśni, który wołał jeszcze i szedł daleko, jak fala idzie morska ku niewidzialnym brzegom... Aż oto żebrak, co opodal w łachmanach przyległ był u drogi, porwał się niby ze snu, który mu ciężył jeszcze na powiekach, i gałganami swemi zatrząsł

jak topol sucha w czasie burzy, wołając: „Atoli człowiek ów, od wysoko latającego ptaka do ostatniego małego grzybka pod piaskiem zjadając wszystko i stół sobie obiadny ze świata całego uczyniwszy, NIGDY JEDNAK JESZCZE WSZYSTKICH LUDZI-BRACI NIE NAKARMIŁ!..“ Rzekłszy zaś to, dobywał z torby zeschłych odłamów chleba czarnego i maczając je w kałuży przydrożnej próbował podjeść.



tedy anioł w niebiosach wionął póry około oczu swoich, i myśliłbym, że łzę uronił, bo jako przez szyby przezrocze bieży nierówno kropla rzucona rosą na okno i tęczuje, tak przez obłok przewiewała błędnie drobna jasność do perełki podobna... Zasmucony był, zakrążył raz jeszcze nad domostwy bielejącemi w zieleni drzew i poleciał...

Tymczasem jednak, pieśń lamentu raz rzuconemi w powietrze wybrzmieniami rozlegała się tętniącą, długą falą, pomagana kłonem to trzcin nadbrzeżnych, to stepowego bujnego kwiecia, szła i szła, różniebrzmienna, różnie podejmowana, cichnąca, silniejsza, lecz taż sama.

I dobiegła do puszcz, gdzie leżał żubr, z monumentalną powagą żujący ziele. Ten indyjski wół, z głową ciężką dużem wiedzeniem rzeczy dawnych,

przerodził się był nieco od dni, w których, z pod Himalaja przyszedłszy z Litwinem, zamieszkał głębokie mateczniki, co dnia dostępniejsze. Atoli pozostał najpoważniejszym z żywych pomnikiem dni pierwszych Europy.

Jego to brwi i ucha gdy dobiegła fala lamentu przez drżenia roślin bujnych, począł w te słowa:

„Człowieka jeszcze DO-MIARKOWANEGO nie zna stworzenie: energia jego sama się z siebie w nim raduje i dowcip sam w sobie szaleje z potęgi własnej. Może on jeszcze nigdy nie JADŁ — może on dopiero POKĄSAŁ wszystko i wyssał? Dla tegoto i nie nakarmia swoich wszystkich!.. Jeżeli rozpustuje w pożerstwie i łupieniu zwierząt, to iż onych także zapomniał albo nie zna wśród opatrznych praw ich ojczyzny. — Bydło jego są to dzieci i wnuki jeńców, drzewa są to niedorąbane wióry! — Ale on dopędzi kresu tej chuci, gdy spotka się pierś w pierś z pomnikiem ojczyzny opatrznej tworów na tej ziemi — gdy się spotka z LASEM-DZIEWICĄ!

On, dziecię potrzeb, nędzy i szaleństwa, nagie, bezchronne, głodne, syn zakopciałych i zatęchłych miast, jałowej lub wycieńczonej gleby i karłowatych drzew... On, przepisujący tą właśnie nędzą swoją prawa bytom!.. I jakże niema być lamentu stworzeń?..“ — A to gdy tchnął żubr powiewowi, co szedł falą w puszczę przez drżenia roślin, zachodziło już dobrze słońce — i zaszło, i była noc.



ręgiem, kręgiem gdy poleciał był anioł, mknęły potem równo i prosto skrzydła jego jak długi promień. Przy księżyca i przy wielkich gwiazd blasku przeleciał szerokie i spokojne jak niebo morze. Jutrznia bieleć kiedy niekiedy poczynała śród szafirowego mroku i wyjaśniały się opodal długie skaliste brzegi, gdy anioł jeszcze zdawał się podwajać lotu pęd, tak, że, jeślibyśmy się na anielski sposób wyrażali, musiał mieć „PILNY BEZ-INTERES.“ Lecz skoro opalowe dopiero, ale już szerokie obłyski zorzy wyświeciły krajobraz, dały się widzieć i rozeznawać podnóża Libanu w ojczyźnie tajemniczych rzeczy Bożych. Było cicho w naturze, i tem ciszej, że na sposób i nastrój moralnego w duszy uciszenia...

Kaplica była, sama z pustelni się robiąca, a ta z groty w skale wyciosanej mocą natury, sztuki i codziennego użytku.—Przed ołtarzem zajęty był rozpoczętem nabożeństwem pustelnik jeden, gdy drugi służył mu w obrzędzie. Zresztą, ława prosta i księga na niej zamknięta i nic więcej.

Anioł zstąpił na próg stojącej otworem kaplicy, bo drzwi nie było wcale, i, wkłoniwszy się w ciąg modlitwy, widać było, że dopiero odpoczywał. Radowały się wyraźnie oczy jego widokiem aby dwóch ludzi,

na których żywocie, mieniu i obyczaju nie było żadnej skazy naznaczonej gwałtem lub krzywdą jakąkolwiek bliźniego, ludzkości i stworzenia!..

Ku temuto więc leciał tak skoro z tak daleka... Ku temuto więc taką trzeba było zadawać sobie podróż oddaloną i poszukiwanie przedsiębrać tak usilne!

Kapłan się obrócił od ołtarza i rzekł: „ORATE FRATRES...“

Nikogo prócz anioła tam nie było, tylko dwa lwy przeszły powoli mimo progu i, otarłszy się biodrami o kamienne odrzwia przy wnijściu, tymże samym powolnym krokiem oddaliły się w stronę cedrów czerniejących ponad parowami.

Tymczasem szło dalej nabożeństwo z bezwzględną starannością i spokojem, a gdy już ku końcowi tak odprawianej Mszy się miało, poniósł anioł rękę ku księdze i, gdy, wedle chaldejskiego obyczaju, skrzydłem NA TRAF otworzył karty, zatrzymały się pióra jego i położyły śród tych wierszy:

„I POSTAWIĘ DLA CIEBIE PRZYMIERZE, DNIA ONEGO, ZE ZWIERZEM POLNYM, I Z PTASTWEM POWIETRZNEM, I Z PŁAZEM ZIEMSKIM, A ŁUK, I MIECZ, I WOJNĘ WYGŁADZĘ Z ZIEMIE: I SPRAWIĘ, ŻE BEZPIECZNIE MIESZKAĆ BĘDĄ.“ (Ozeasz, II, 18).

Cypryan Norwid.



Ze szlaków duszy.

AHASWERA.

Idzie wskróś świata dziewczyna królewskiej krwi.
Oczy ma czarne — a w oczach namiętne skry.
Błądzi po ziemi niepewną stopą — jak w śnie —
I ziemię widzi zmąconą w słonecznej mgle.
Idzie tak blada w czerni powłócznych szat
Od niepamiętnych — odwiecznych, odwiecznych lat.
Idzie do celu swego — gdzieś w dali — ciemnego —
I nie wie dokąd? i nie wie, biedna, dlaczego?
Wciąż idzie naprzód i pyta chmur białych — zkąd?
Czy ją aż z raju gna Ewy słoneczny błąd?
Czy z niebios pana na padół strąciły czarty?
I szydzą z Boga *wygnańca duszy rozdartej?*
Czy w ciało oblekł się wicher szczytowych skał,
Że pierś jej targa posępny zatraty szał?
Czy ogień piekieł zamieszkał czyste jej łono,
Że z źródeł pije wargą wieczyście spieczoną?
Czy wszechstworzenia białą, chodzącą jest trumną,
Że jej tak bosko, tak sennie, gorzko i dumno?..

Bladej dziewczynie nie gasną w źrenicach skry.
Nie zna znużenia powoli gryzącej rdzy.
Choć idzie z wieków i w wieków dal — nieustannie —
Serce jej płonie, jak słońce wiosny, zarannie.
Młodość nie schodzi z jej blado-płonących lic.
Nic jej nie zwarzy — nie złamie, nie zegnie nic.
Ani wichury i ciemnych dni niepogody —
Ni jad śmiertelny czerwonej wilczej jagody —
Ni ludzi tępe, tchórzliwe i chwiejne serce —
Ni furye pragnień — ni tęsknot szpony-krwiożerce —
Ni grom piekielny z pąsowej w lazurze chmury —
Nic nie pokona, nie złamie królewskiej córy.
Ciało jej ranne — i serce. — Dusza nietknięta.
Błogosławiona? może. A może przeklęta.

I tylko jedna katusza dziewczynie bladej
Grozi złowieszczym sykiem potwora zagłady,
Jedna męczarnia zastaje słabą, bezbronną
Tę lilię wieczną — tę lilię mocną i wonną.
Jedna jedyna — lecz stale w ślad jej biegnąca,
Jak czarna ziemia za świetnym pożarem słońca,
Zwarta z jej sercem jak serca bezprzerwne bicie
I jak czerw drzewny jątrząca jej łono skrycie.
Na dnie kielicha jej duszy, lilii czystej —
Z żądłem w korzeniu drga robak — nudy wieczystej.

Idzie przez ziemię blada dziewczyna — jak w śnie —
Ziemia się chwieje koło niej niby we mgle.
Biegnie do celu swego gdzieś w dali ciemnego
I nie wie dokąd? i nie wie, biedna, dlaczego?
Biegnie tak błędna — i straszne sny jakieś śni,
Bo dyszy ciężko — w powiekach stanęły łzy —
Łzy nieruchome... ach, któż na świecie je zetrze?
Biegnie tak szybko — świstem gra za nią powietrze —

Leci wskroś świata coraz niepewniej i prędzej...
Od widm ucieka półsennych — od własnej nędzy.

Czasem ją w biegu szalonym i pełnym dum
Twardo uderzy szarawych olbrzymów tłum,
Przez opar senny nie dojrzy prawdziwych ludzi.
Każdy urasta w jej oczach i trwogę budzi,
Każdy przechodzień ją trąca — idzie pośpiesznie —
Dziewczyno, senna dziewczyno — ocknij się! we śnie
Zginiesz na świecie żelaza, krwi — i pieniędzy,
Na świecie trzeźwych rozkoszy — i trzeźwej nędzy.

Ona nie słucha. Mknie dalej błędna — i żyje.
Gdzie stąpnie — kwiat się rozchyla — i rodzą żmije.

Czasem w ucieczce tej czy pogoni — kto to wie? —
Blask jej słoneczny zastąpi drogę w dąbrowie —
Rozkołysany w gałęziach chmiel ją oplące
I stroi nagą w liść jasny i grona drżące,
Leśnym zapachem ją poi — i do jej łona
Garnie się mocnym, namiętnym skrętem — a ona
Zamyka oczy, słania się cicha, z uśmiechem,
I cała jest widmem nieba — i cała grzechem!

Czasem do tawern zalcci, zwabiona dziką
Skrzypiec i fletni łkającą, słodką muzyką,
I światłem w oknach, i wirem miłosnym tańca.
Tęsknota szału zrywa się w duszy wygnańca —
Gmach Aladyna dostrzega w tanecznej budzie
I wschodnie orgie w kurzawie, dymie i brudzie.

Wzrok jej wybucha łuną radosnych promieni,
Twarz w słońcu szczęścia jak tęcza pali się, mieni,
Wieńcami kwiatów okręca ciało i skronie —

Rozpuszcza włosy — porywa tamburyn w dłonie —
Staje się tańcem — a ludzie patrzą zdumieni
Na ten szał kwiatów i śpiewających płomieni.

Czasem ją dzieci otoczą gwarnym pierścieniem.
Pytają: „kto ty?“ — ona uśmiecha się: „Nie wiem.
Podobno z gwiazdą spadłam na łąkę, za borem,
I z puchem kwiatów — lipcowym, późnym wieczorem.
Gdy się zbudziłam, woniały w księżycu kwiaty
I wiatr zawodził... dawno to było! przed laty,
Gdy słońce ziemię pieściło, młodą, przecudną,
Gdy tu nie było tak tęskno — straszno i nudno.“

Dziewczyna gada — roj dzieci skupiony słucha.
Drżą ciche, jakby muśnięte skrzydłami ducha.

Czasem mędrcowie wśród wielkiej cichej narady
Zastąpią drogę lecącej dziewczynie bladej.
„Czy jest Bóg? powiedz.“ Ona w nich topi swe oczy —
Ich dreszcz przebiega... Bóg spojrzał z ciemnych przezroczy
Jej oczu wielkich, ciągnących w głuche otchłanie
Zagadki wiecznej. „A duszy jest zmartwychwstanie?“
Twarz Ahaswery łuną oblewa się świętą:
„Wieczystem życiem ducha mojego przeklęto.“

Idzie wskroś świata dziewczyna blada i cicha.
Życie ją kusi — a świat prawdziwy odpycha.
Darmo wyciąga do skarbu szczęścia swe ręce —
Lecą okruchy. Ona je rzuca. Chce więcej.
Darmo wyzłaca świat blaskiem i ogniem poi
Swych snów bajecznych — jak stał w brzydocie, tak stoi.
Ziemia jej nie chce — i ziemi tej nie chce ona —
Więc leci dalej — gardząca i pogardzona.

KAPRYS.

W masce nagości chadza mój duch,
Pewien, że nikt łatwowierny
Nie da się złapać na szczery ruch,
Że mózg epoki, nie bierny,

Lecz wryty w ziemię czynnie jak kret,
Lub trufel węszące wieprze,
Nagości pozór odrzuci wnet,
By zdobyć pewności lepsze.

Maskę nagości oblekam w dzień,
Naga wędruję po słońcu,
Dziwiąc się czasem, że nawet leń
Kłamstw braku nie dojrzy w końcu,

Że nawet kretyn wytęża mózg,
By zbadać krój dziwnej szaty
I z pod szczypiących intrygi rózg
Wyjść wiedzą ducha bogaty.

Maską cnót — bezwstyd się dla nich stał,
Ubiorem — strój Afrodyty,
Dominem chłodu — miłosny szał,
A śmiech — łzy płaczem ukrytej.

W cichej pokorze kryć się ma pych
Lewiatan — ambicyi gwałty —
Żar serca — chować ironii szych,
A puchów miękkość — bazalty.

☆ ☆ ☆

Tak długo wiodłam w pomyłek las
Przemądrych, sceptycznych braci,
Aż zemsty zdarzeń przypełznął czas
I zwątpień szalejem płaci.

I daltonizmem Nemezys zdrad
Mych zmysłów zmąciła czystość.
Mej samowiedzy zmącony ład!
Gdzie pozór? gdzie rzeczywistość?

Grozą obłędu targane Ja
Błąka się w czuć wieży Babel,
Z straconą wiedzą, czem jest? kto drga
W krwi? w mózgu? Kain czy Abel?

Czy nagi bezwstyd, cyniczny śmiech
Nie chroni lilii przed błotem?
Szyldwachem cnoty czy nie jest grzech?
Łzy szczęścia — śmiertelnym potem?

Żądzą nicości czy nie jest szał?
Wszechżycia — nostalgia trumny?

Czystéj dusz spójni — konwulsya ciał?
Pokorą — karku rzut dumny?

W nagim mym stroju może jest kłam,
Nagość ta może trykotem.
Może bezwiednie komedyę gram —
Z kłamstw igram dwużądłym grotem?

W każdem mem drgnieniu prawda i kłam
W chemiczne zlane małżeństwo.
U śmierci chyba powiewnych bram
Śmierć znajdzie tragi-błazeństwo.

Tragi-błazeństwem mój chory byt,
Dziwaczną chimerą dusza —
Łkaniem upiorów ironii zgrzyt,
Nonsensem każda katusza —

A oto wita mnie absurd-szczyt —
Śmiertelna objęła głusza —

* * *

Płomień życia bije mi do głowy
Jak wino,
W czar kołysze, jak powiew dąbrowy
Godziną
Południową, gdy kukułka śpiewa
Gdzieś w dali
I złotawy cień rzucają drzewa
Do fali...

DUMANIE.

Umrzeć czy zabić? oto pytanie.
W uścisku nudy skonać szkielecim —
Czy rwąc na strzępy to marne trwanie
Uciec... Tak, uciec. — Lecz jeśli świecim

Drugiej istocie słońcem żywota?
Jeśli w jej oczach słupieje trwoga?
Jeśli kurczowo chwyta za wrota
I wie... i nie chce wiedzieć, nieboga?

Jeżeli wiemy, że idąc od niej
Korzeń jej życia wleczem za sobą —
Duszę drgającą rzucamy grobom —
Jeśli krew na nas padnie tej zbrodni?

Zbrodni? — Więc kiedy z wysmukłej sosny
Wiatr pasorzytny mech zerwie szary
I mech ten zginie... zginie wśród wiosny —
— Czyliż to drzewo winne jest kary?

ZE SZLAKÓW DUSZY

Żywą kobietę bluszcz oplótł nocą,
Myśląc, że znalazł marmur kolumny.
Rankiem jej stopy, biegnąc, zgruchocą
Słabej rośliny pnącz bezrozumny.

Budzi się — zrywa, czując spętanie —
Bluszcz przerażony, chwyta jej ręce,
A ona pyta, pół leżąc, w męce:
Umrzeć czy zabić?..

CO JUTRO?

Długo złociło słońce winnicę
Dusz, aż dojrzały pożądań grona,
I krótka chwila — i wychylona
Czara upojeń — i zgasły lice —
I jak bezlistne, jesienne krzewy,
Stoim pod zimną chłostą ulewy.

Jutro? co jutro? — Puhar wypity —
Na ustach gorycz ostatniej piany —
Na piersiach duszność cmentarnej płyty
I w głębiach ducha płomienne rany —

Jeszcze snem nocy letniej powieki
Napół zawarte, ciężkie — — wciąż jeszcze
Gra w drzewach szczęścia akord daleki —

W szkle pustem, w wieńcach zwiędłych szeleszcze
Żółty gad jawy — wpełzł na wezgłowie —
W dwa blade czoła wbił oczy sowie — —

VICI.

Nade mną chwała płomieni i tęczy — — —

Więc mi uległeś — więc przede mną klęczy
Złote bożyszcze — więc uderzył czołem
Smok przed wzgardliwym śmierci archaniołem —
Więc w czarodzieja zaklętej obręczy
Padłeś ugodzon — królewiczu dumny!

Twej duszy chciałem. Twego ciała. Chciałem
I mam cię, żywy cudzie. I chcę więcej.
Chcę mieć twe życie i śmierć. Chcę wziąć w ręce
Twe serce krwawe — jeszcze drżące szałem — — —

A słowo moje już się staje ciałem
I duma, wsparte o wieko twej trumny.

NIEGDYŚ.

Duch mój niegdyś, jak ciche, szafirowe morze,
Leżał pod niebem pragnień twarzą zachwyconą —
Każde drżenie błękitów brał drżeniem w swe łono
I chwałę słońca w złotej odbijał pokorze.

A w dniach łaski, o jasnej, wieczorowej porze,
Gdy w złotem niebie chmury purpurowe płoną,
Zstępował z wysokości, błogosławiąc dzwonom,
Bóg słoneczny — w pragnieniem omdlałe przestworze.

Gasły w popiele zmierzchu krwawe zórz przepychy,
Zastygał świat — jak czoło które śmierć okala —
Szedł złoty zgiełk od roju gwiazd — i poszum zdala —

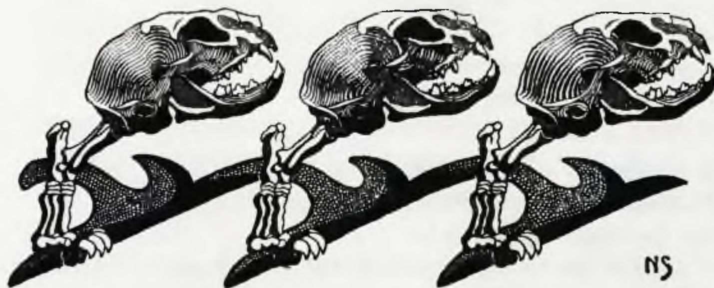
Wiatr nocny targał śpiące powojów kielichy —
Duch z Bogiem w łonie święty spoczywał i cichy,
Jak wielka, ciemna, głucha oceanu fala.

PRZESZŁOŚĆ.

Żadne wspomnienie oczu mych więcej nie znęci.
Dni przeszłe i przeszłe noce,
W gorzkiej zamknięte pamięci
Sromu —
Wszystkie przełkane i przecałowane —
Wszystkie przywołane i niespodziane —
— Opłakane —
Wszystkie czarne i złowieszczo milczące —
I wszystkie szałem świateł śpiewające —
Wszystkie ciche i wonne —
Wszystkie szydercze, złe, sprosne —
Wszystkie zadumane i żałosne
I wszystkie burzami ogromne —
Wszystkie wszystkim wiadome i te nieznane nikomu —
Wszystkie mi oczy palą nikczemnych dreszczów dosytem,
Wszystkie odrzucam dzisiaj z wstydu rozpaczą i zgrzytem,

Wszystkie się pastwią nade mną z psów zagłodzonych sko-
[wytem.

Bo, że mnie dawnym czarem mamić już nie mogą
I żyć mem sercem,
Topią mi pazury w gardło;
Że łódź moja wzgardziła ich trzęsawym lądem,
Przebić chcą jej dno giętkie hakami koralu;
Że je wygnało męstwo z krętych nór mej duszy,
Że się ich odkupione serce me wyparło,
Nad żywą drogą
Kraczą jak nad umarłą
I szydzą Niebios niecofnionym sądem
Wśród głuszy mego żalu — — —



Marya Komornicka.

Z „Opowiadań.“

MILCZENIE.



noc majową, miesięczną — kiedy słowiki grały — do gabinetu o. Ignacego weszła jego żona. Twarz jej wyrażała cierpienie, i lampka maleńka drżała w jej ręku. Zbliżywszy się do męża, dotknęła ręką jego ramienia i rzekła szlochając:

— Ojcze, chodźmy do Wiereńki!

Nie odwracając głowy, o. Ignacy, po nad okularami, z głębi oczodołów wejrzał na żonę i patrzał na nią długo i bacznie, dopóki nie machnęła niezajętą ręką i nie osunęła się na nizką kanapę.

— Jacyście wy oboje... nielitościwi! — rzekła powoli, z mocnym akcentem na sylabach, i poczciwa, nalana jej twarz skrzywiła się skurczem bólu i zawziętości, jak

gdyby wyrazem twarzy chciała pokazać, jak okrutni są jej mąż i córka.

O. Ignacy uśmiechnął się i wstał. Zamknąwszy księgę, zdjął okulary, włożył je do futerału i zamyślił się. Wielka, czarna broda, dzierzgana srebrnemi nićmi, legła na jego piersi pięknym załamem i powoli podnosiła się w takt głębokiego oddechu.

— No, chodźmy! — rzekł.

Pani Olga wstała szybko i zaczęła prosić żebrzącym, nieśmiałym głosem:

— Tylko nie krzycz na nią, ojcze! Wiesz przecie, jaka ona teraz...

Pokój Wiery znajdował się na facyatce, i wąziuchne drewniane schody gięły się, jęczały pod ciężarem kroków o. Ignacego. Wysoki, dorodny, nachylać musiał głowę, aby nie uderzyć czołem o podłogę górnego piętra, i niechętnie krzywił się, kiedy biały kaftanik żony lekko dotykał jego twarzy. Wiedział, że rozmowa z Wierą żadnego nie wyda rezultatu.

— Pocoście przyszli? — spytała Wiera, podnosząc obnażoną rękę do oczu. Druga ręka leżała na letniej kołdrze i prawie nie odróżniała się od niej — taka była biała, przezroczysta, zimna.

— Wiereńko... — zaczęła matka, lecz załkała i zmilkła.

— Wiero! — rzekł ojciec, usiłując złagodzić swój ostry i twardy głos, — Wiero, powiedz, co ci jest?

Wiera milczała.

— Wiero, czyż matka twoja i ja nie zasługujemy na szczerość? Czyliż nie kochamy cię? I czyż masz kogoś od nas bliższego? Opowiedz nam swe zmartwienie i wierzaj staremu, doświadczonemu ojcu: lżej ci będzie i nam też. Spojrzyj na matkę staruszkę, jak ona cierpi...

— Wiereńko!..

— A mnie... — suchy głos drgnął, jakby się w nim coś załamało, — mnie, myślisz, przyjemnie? Czyliż nie widzę, że cię żre jakaś troska — ale jaka? Ja, twój ojciec, nie znam jej. Czyż tak być powinno?

Wiera milczała. O. Ignacy z niezwykłą ostrożnością pogładził brodę, jak gdyby bojąc się, że palce mimowoli wpiją się w nią, i ciągnął dalej:

— Wbrew mojej chęci pojechałaś do Petersburga — czyżem cię wyklął, — nieusłuchaną? albo — możesz-że powiedzieć, iż nie byłem dla ciebie dobrym? No — czegóż milczysz? Oto masz — ten twój Petersburg!

O. Ignacy zamilkł; zamajaczyło mu coś olbrzymiego, strasznego, granitowego, coś pełnego niewiadomych niebezpieczeństw i obcych, obojętnych ludzi. I tam, samotna, bezbronna, znalazła się jego Wiera, i tam zgubiono ją. Zła nienawiść do strasznego i niezrozumiałego miasta zatliła się w duszy o. Ignacego, a zarazem gniew na córkę, która milczy, uparcie milczy.

— Co tu ma do rzeczy Petersburg? — posępnie odpowiedziała Wiera i zamknęła oczy. — A mnie nic nie jest. Idźcie lepiej spać, późno już.

— Wiereńko! — jękła matka — córuchno, bądź-że szczera ze mną!

— Ach, mamo! — przerwała niecierpliwie Wiera.

O. Ignacy siadł na krześle: zaczął się śmiać.

— A więc — nic? — zapytał ironicznie.

— Ojcze, — rzekła ostro Wiera, unosząc się na łóżku, — wiesz przecie, że kocham ciebie i matkę. Ale... No — tak — trochę mi niedobrze teraz. Minie to. Idźcie lepiej spać, i jam też śpiąca... A jutro, albo kiedykolwiek — porozmawiamy.

O. Ignacy wstał gwałtownie, tak, że krzesło stuknęło o ścianę, i wziął żonę za rękę.

— Chodźmy!

— Wiereńko...

— Chodźmy, mówię ci! — krzyknął o. Ignacy, — jeżeli ona o Bogu już zapomniała, to cóż my dla niej znaczymy?

Prawie przemocą wywlókł panią Olgę. Kiedy schodzili ze schodów, pani Olga, zwalniając kroku, mówiła gniewnym szeptem:

— U-u! To ty, popie, zrobiłeś ją taką. Tę taktykę przejęła od ciebie. I ty będziesz za to odpowiadał. Ach — ja nieszczęsna...

I zaczęła płakać, często mrugając oczyma, nie widząc stopni i tak stawiając nogi, jakgdyby w dole była przepaść, w którą pragnęłaby się stoczyć.

Odtąd o. Ignacy przestał rozmawiać z córką, ale ona jakby nie uważała tego. Jak wpierw, leżała w swoim pokoju, albo też chodziła i często gęsto przecierała oczy dłońmi, jakgdyby były czemś zapruszone. I przygnębiona tem milczeniem dwojga ludzi, choć niegdyś amatorka śmiechu i żartów, nawet żona o. Ignacego cichła i mieszała się, nie wiedząc, co mówić i robić. Czasami Wiera wychodziła na spacer. W tydzień po rozmowie, wyszła wieczorem — jak zazwyczaj. I już nie oglądano jej żywą, gdyż wieczora tego rzuciła się pod pociąg, który w pół przeciął jej ciało.

Chował córkę sam o. Ignacy. Żony w cerkwi nie było, gdyż na wiadomość o śmierci Wiery sparaliżowało ją. Utraciła władzę w nogach, rękach, języku i nieruchomie leżała w napółciemnym pokoju, podczas gdy obok na dzwonnicy huczały dzwony. Słyszała, jak wyszli wszyscy z cerkwi, jak chór śpiewał przed ich domem, i usiłowała podnieść rękę, aby zrobić znak krzyża, ale ręka nie słuchała jej; chciała rzec: żegnaj, Wiero, — lecz język le-

żał w ustach olbrzymi i ciężki. I wyglądała tak spokojnie, że ktoś, spojrzawszy na nią, pomyślałby, iż osoba ta śpi, albo odpoczywa. Tylko oczy miała rozwarte.

W cerkwi na pogrzebie była masa ludzi, znajomych o. Ignacego i nieznajomych; wszyscy zebrani żałowali Wiery, która zginęła tak straszną śmiercią, i usiłowali w ruchach i w intonacyi głosu o. Ignacego doszukać się oznak ciężkiego zmartwienia. Nie lubiono o. Ignacego za to, że był w stosunkach z ludźmi surowy i dumny, nienawidził grzeszników i nie przebaczał im, podczas gdy sam, zazdrosny i chciwy, korzystał z każdej okazyi, żeby wziąć od parafianina coś nad miarę. I każdy chciał widzieć go cierpiącym, złamanym i poczuwającym się do podwójnej winy wobec śmierci córki: najpierw, jako zły ojciec, potem, jako zły kapłan, który nie mógł uchronić swego dziecka od grzechu. I wszyscy wyczekująco patrzyli na niego, a on, czując spojrzenia wparte w jego plecy, usiłował wyprostować te bary szerokie a tęgie i myślał nie o zgasłej córce, lecz o tem, żeby nie spuścić z tonu.

— Twardy pop! — rzekł, wskazując nań, stolarz Karzenow, któremu nie zwrócił dotąd pięciu rubli za ramy.

Tak więc, niezłomny i sztywny, szedł o. Ignacy na cmentarz i taki sam powrócił. I dopiero w drzwiach pokoju żony plecy zgarbiły mu się nieco; ale mogło to pochodzić ztąd, że większa część drzwi na jego wzrost była trochę za nizka. Wszedłszy z blasku, ledwo mógł rozróżnić twarz żony, a kiedy ją dojrzał nareszcie, zdziwił się, że twarz ta jest zupełnie spokojna i w oczach niema łez. I nie było w tych oczach ani oburzenia, ani smutku, — były nieme, milczały tępo, uparcie, jak i całe tłuste, bezwładne ciało, wklapnięte w pierzynę.

— No, cóż, jakże się czujesz? — spytał o. Ignacy.

Lecz usta były nieme; oczy też milczały. O. Ignacy

położył chorej rękę na czole; było zimne, wilgotne, i pani Olga niczem nie dała poznać, że wyczuwa dotknięcie. I kiedy o. Ignacy odjął rękę, patrzało na niego bez mrugnięcia dwoje oczu siwych, przepaścistych, prawie czarnych od rozszerzonych źrenic, i nie było w nich ani smutku, ani gniewu.

— No, trzeba pójść do siebie — rzekł o. Ignacy, któremu zrobiło się raptem zimno i straszno.

Wszedł do salonu, gdzie wszystko było czyste i uporządkowane, jak zawsze; wysokie fotele, ubrane w białe pokrowce, sterczały, jak umarli w całunach; na jednem z okien wisiała druciana klatka, lecz była pusta i z otwartemi drzwiczkami.

— Nastka! — krzyknął o. Ignacy, i głos własny wydał mu się brutalnym; zrobiło mu się nijako, że tak głośno krzyczy w tych cichych pokojach, zaraz po pogrzebie córki. — Nastka! — zawołał ciszej, — gdzie kanarek?

Kucharka, która płakała tak dużo, że nos jej spuchł i poczerwieniał jak burak, odparła gburowato:

— Wiadomo, gdzie. Uciekł.

— Pocoś wypuściła? — groźnie zmarszczył brwi o. Ignacy.

Nastka rozpłakała się i, ocierając twarz brzegami perkalowej chusty na głowie, bąkała przez łzy:

— Duszyczka... panienki... Czyż można było zatrzymywać ją?

I o. Ignacemu wydało się, że złotawy wesoły kanarek, śpiewający zawsze z przegiętym łebkiem, był oczywiście duszą Wiery i że, gdyby nie uciekł, nie możnaby powiedzieć, iż Wiera zmarła.

Rozgniewał się jeszcze bardziej na kucharkę.

— Precz! — krzyknął i, gdy Nastka nie mogła odrazu trafić do drzwi, dodał: — głupie stworzenie!

II.

Od dnia pogrzebu, w małym domku zapanowało milczenie. Nie była to cisza, bo cisza — to tylko niebyt dźwięków; było to milczenie, kiedy ci, co milczą, zda się, mogliby mówić, ale nie chcą. Tak myślał o. Ignacy, ilekroć wchodził do pokoju żony i napotykał przenikliwe wejrzenie, takie ciężkie, jakby całe powietrze zmieniało się w ołów i cisnęło na głowę i plecy. Tak myślał, oglądając nuty córki, w które welgnął, zda się, jej głos, — jej książki i jej portret, duży, farbami malowany portret, który przywiozła ze sobą z Petersburga. Przy oglądaniu portretu, o. Ignacy uformował sobie określony porządek: najpierw patrzał na policzek, oświetlony na portrecie, i wyobrażał sobie na nim zadraśnięcie, które było na martwym policzku Wiery i którego pochodzenia nie mógł zrozumieć. Za każdym razem myślał o przyczynie: jeżeliby to pociąg zawadził, to zmiażdżyłby całą czaszkę, a czaszka zmarłej Wiery była nienaruszona.

Może ktoś nogą zawadził, kiedy podnoszono ciało, albo też niechcący paznokciem?

Lecz strach było myśleć długo o szczegółach śmierci Wiery, i o. Ignacy przenosił wzrok na jej oczy. Były czarne, piękne, z długiemi rzęsami, które rzucały na dół mroczny cień, wskutek czego białka zdawały się szczególnie jasnemi, a oczy wyglądały, jak ujęte w czarną, żałobną ramkę. Dziwny wyraz nadał im nieznany lecz utalentowany artysta: jakby między oczyma i tym, na kogo patrzały, znajdowała się cienka, przezroczysta błonka. Było to trochę zbliżone do czarnego wieka fortepianu, na które cienką, nieznaczną warstewką legł pył letni, łagodząc

blask polerowanego drzewa. I w jakikolwiek sposób o. Ignacy ustawiał portret, oczy nieodstępnie szły za nim, lecz nie mówiły; milczały, i milczenie to było tak wyraźne, że, zdawało się, można je było słyszeć. I powoli o. Ignacy zaczął wyobrażać sobie, że słyszy milczenie.

Każdego ranka, po nabożeństwie, o. Ignacy wchodził do salonu, jednem spojrzeniem obrzucał pustą klatkę i całe znajome umeblowanie pokoju, siadał na fotelu, zamykał oczy i słuchał, jak milczy dom. Było to coś dziwnego. Klatka milczała cichutko, delikatnie, i w milczeniu tem czuć było i smutek, i łzy, i daleki zamarły śmiech. Milczenie żony, złagodzone przez ściany, było tępe, ciężkie jak ołów, i straszne, tak straszne, że nawet w najbardziej upalne dni o. Ignacy czuł zimno. Długie, zimne jak mogiła i zagadkowe jak śmierć było milczenie córki. Jakby samemu sobie nieznośnem się już stało to milczenie i namiętnie pragnęło spłynąć w słowo, lecz coś mocnego i tępego jak maszyna utrzymywało je w nieruchomości i wyciągało jak drut żelazny. I gdzieś na dalekim końcu drut zaczynał drżeć i dźwięczeć, cicho, nieśmiało, żałośliwie. O. Ignacy z lękiem i radością ssał ten rodzący się dźwięk i, wsparłszy ręce o poręcze fotela, wyciągnąwszy głowę naprzód, czekał, aż dźwięk spłynie ku niemu. Ale dźwięk urywał się i umilkał.

— Głupstwo! — gniewnie mówił o. Ignacy i wstawał z fotela, wciąż wyprostowany i wysoki. Przez okno widział zalany słońcem plac, brukowany okrągłemi, równemi kamieniami, i naprzeciwko kamienny mur długiej szopy bez okien. Na rogu stał dorożkarz, podobny do glinianego bałwana, i nie można było pojąć, poco stoi tutaj, kiedy całemi godzinami nie widać było ani jednego przechodnia.

III.

Po za domem, o. Ignacy musiał mówić dużo: ze służbą cerkiewną, z parafianami przy spełnianiu obowiązków i czasem ze znajomymi, u których grywał w preferansa; ale kiedy wracał do domu, zdawało mu się, że cały dzień milczał. Wypływało to ztąd, że z żadnym z ludzi o. Ignacy nie mógł mówić o rzeczy dla niego najgłówniejszej i najważniejszej, o której rozmyślał co noc: dlaczego Wiera umarła?

O. Ignacy nie chciał zrozumieć, że teraz nie można już dowiedzieć się tego, i był pewien, że dowiedzieć się jeszcze zdoła. Każdej nocy — a teraz wszystkie noce spędzał bezsennie — uprzytamniał sobie tę chwilę, kiedy, stojąc z żoną o cichej północy koło łóżka Wiery prosił daremnie: „Powiedz!“ I kiedy we wspomnieniach dochodził do tego słowa, dalsze wypadki wyobrażał sobie inaczej, niż się były wydarzyły. Zamknięte oczy jego, które zachowały w ciemni swej żywy, nieblaknący obraz tej nocy, widziały, jak Wiera unosi się na poduszkach, uśmiecha się i mówi... ale co mówi? I to niewymówione słowo Wiery, które mogło rozwiązać wszystko, wydawało się tak bliskiem, że, gdyby nadstawić ucha i wstrzymać bicie serca, wnet, zda się, usłyszałby je człowiek, — i jednocześnie tak nieskończenie, tak beznadziejnie dalekiem! O. Ignacy wstawał z łóżka, wyciągał przed siebie złożone ręce i, wstrząsając niemi, błagał:

— Wiera!..

I odpowiedzią na to było milczenie.

Raz wieczorem o. Ignacy wszedł do pokoju pani Olgi, u której nie był już blizko tydzień, siadł u wezgłowia

i, odwróciwszy się od jej tępego, ciężkiego wejrzenia, rzekł:

— Matko! chcę pomówić z tobą o Wierze. Słyszysz mię?

Oczy milczały, i o. Ignacy, wzmocniwszy głos, począł mówić surowo, rozkazująco, tak, jak mówił do spowiadających się:

— Wiem, myślisz, żem ja był przyczyną śmierci Wiery. Ale pomyśl, czyżem kochał ją mniej, niż ty? Dziwacznie rozumujesz... Byłem surowym, ale czyż to przeszkadzało jej robić, co chciała? Odrzuciłem godność ojca i pokornie zgiąłem kark, gdy nie zlękła się mego przekleństwa i pojechała... tam. A ty, czyżeś nie prosiła jej, ażeby została, czy nie płakałaś, stara, dopókim ci nie kazał zamilczeć? Czyż to ja urodziłem ją taką bez serca? Czym nie powtarzał jej wciąż o Bogu, o pokorze, o miłości?

O. Ignacy szybko spojrzał w oczy żony i odwrócił się.

— Cóż mogłem zrobić z nią, jeżeli nie chciała wyznać swego zmartwienia? Kazać — kazałem; błagać — błagałem. Cóż? — według twego zdania, powinienem był klęknąć przed pannicą i płakać, jak stara baba? W głowie... zkądże ja mogę wiedzieć, co ona ma w głowie? Okrutna córka, bez serca!

O. Ignacy uderzył pięścią po kolanie.

— Miłości nie miała — otóż to! O mnie niema co mówić, jam przecież... wiadomo... tyran... A ciebie kochała? Ciebie, któraś płakała... i płaszczyła się?

O. Ignacy roześmiał się niemo.

— Ko-ochała! Właśnie na pociechę dla ciebie taką śmierć wybrała. Okrutny, hańbiący zgon... Skonała na piasku, w błocie... jak p-pies, którego w pysk nogami kopią.

Głos o. Ignacego zabrzmiał zcicha i ochryple:

— Wstyd mi! Na ulicę wyjść wstyd! Od ołtarza odejść wstyd! Przed Panem Bogiem wstyd! Okrutna, niegodna córka! W grobie przekląćby cię warto...

Kiedy o. Ignacy spojrzał na żonę, była bez przytomności i ocucono ją zaledwie w kilka godzin. A kiedy oprzytomniała, oczy jej milczały, i niemożna było zmiarkować, czy pamięta, co mówił jej o. Ignacy, czy nie pamięta.

Tejże nocy — była to noc lipcowa, miesięczna, cicha, ciepła, milcząca — o. Ignacy, na palcach, żeby nie usłyszała żona i jej dozorczyni, wszedł po schodach do pokoju Wiery. Okna facyatki nie otwierano wcale od śmierci Wiery, i powietrze było suche, gorące, z lekkim zapachem spalenizny od rozprażonego przez dzień dachu. Czemś niezamieszkałem, opuszczonem wiało od izdebki, gdzie tak długo już nie gościł człowiek i gdzie drewno ścian, meble i inne przedmioty wydawały subtelny zapach powolnie rozkładających się rzeczy. Światło księżyca jasnem pasmem padało na okno i podłogę i, odbiwszy się od skrupulatnie wymytych białych desek, zmierzchowym półblaskiem oświecało kąty; czyste, białe łóżko z dwiema poduszkami, dużą i małą, wydawało się widmowem i powietrznem. O. Ignacy otworzył okno, i do pokoju szeroką strugą wpłynęło świeże powietrze, woniejące kurzem, poblizką rzeką i rozkwitłemi lipami. Z oddali ledwie dosłyszalnie dochodził śpiew chóralny: pewno jeżdżono łódkami po rzece i śpiewano. Cicho stąpając bosemi nogami, o. Ignacy, podobny do białego cienia, podszedł do pustego posłania, zgiął kolana i padł twarzą na poduszki, otoczywszy je ramieniem tam, gdzie powinna była się znajdować twarz Wiery. Długo leżał tak; pieśń potężniała coraz bardziej, potem zmilkła, on wciąż leżał, a długie czarne włosy rozsypały mu się po barkach i łóżku.

Księżyc przesunął się na niebie, i w pokoju zrobiło się mroczniej, kiedy o. Ignacy podniósł głowę i zaczął szeptać, kładąc w swój głos całą moc długo tłumionej i długo nieuświadomionej miłości i wsłuchując się we własne słowa, jakby słuchał nie on, ale Wiera.

— Córko moja, Wiero! Rozumiesz, co to znaczy: córka? Córuniu! Serce me, krwi ma, życie moje! Twój stary... stary ojciec już siwy, już słaby...

Barki o. Ignacego drgnęły i cała ogromna postać zakołysała się. Tłumiąc drżenie, o. Ignacy szeptał delikatnie — jak do małego dziecka:

— Staruszek ojciec... prosi cię. Nie, Wiereńko, błaga cię. Płacze. A nigdy jeszcze nie płakał. Twa troska, dziecino, twe cierpienia — są i mojemi. Więcej, niż mojemi.

O. Ignacy pokiwał głową.

— Więcej, Wiereńko. Cóż dla mnie, starego, śmierć? A ty... żebyś ty wiedziała, jakaś ty delikatna, i słaba, i trwożliwa! Pamiętasz, jakeś zakłuła się w paluszek i krew kapnęła, a ty zapłakałaś? Dziecko me! Przecież ty mię kochasz, bardzo kochasz, wiem to. Codzień rano całujesz mię w rękę. Powiedz, powiedz, czego się martwi twa główka, a ja — temi oto rękoma — zdławię twój smutek. Silne jeszcze, Wiero, te ręce.

Włosy o. Ignacego wstrzęsły się.

— Powiedz!

O. Ignacy wpił się oczyma w ścianę i wyciągnął ręce.

— Powiedz!

W pokoju było cicho; z otchłannej oddali przewinął się przeciągły, przerywany sygnał lokomotywy.

O. Ignacy, tocząc wokoło rozszerzonemi oczyma, jakby przed niemi zjawiło się straszne widmo okaleczonego

trupa, wstał powoli z klęczek i fałszywym ruchem podniósł do głowy rękę z rozczapierzonemi, sztywnie wyprężonemi palcami. Odstąpiwszy ku drzwiom, szepnął urwanym głosem:

— Powiedz!

Odpowiedzią było milczenie.

IV.

Następnego dnia, po wczesnym, samotnym obiedzie, o. Ignacy poszedł na cmentarz, po raz pierwszy od śmierci córki. Było gorąco, bezludnie i cicho, jakby ten dzień upalny był tylko oświetloną nocą, lecz o. Ignacy, z przyzwyczajenia, starał się trzymać prosto, surowo patrzał dokoła i myślał, że jest takim samym, jak dawniej; nie zauważał ani nowej i strasznej niemocy w nogach, ani tego, że długa jego broda stała się całkiem biała, jakby ściął ją mróz ostry. Droga na cmentarz biegła przez długą, prostą ulicę, trochę wznoszącą się pod górę; na końcu jej bielał łuk bramy cmentarnej, podobny zdaleka do czarnej, wiecznie rozwartej jamy ust, obramowanej lśniącemi zębami. Grób Wiery znajdował się w głębi cmentarza, gdzie marły dróżki, sypane piaskiem, i o. Ignacy długo musiał błąkać się śród wązkich ścieżyn, zygzakowatą linią snujących się między zielonemi pagórkami, zapomnianemi przez wszystkich i przez wszystkich opuszczonemi. Miejscami natrafiał na schylone, zzieleniałe od lat pomniki, połamane kraty i wielkie, ciężkie głazy, wrosłe w ziemię i dławiące ją z jakąś ponurą, starczą złością. Do jednego z takich głazów przytulała się mogiła Wiery. Była pokryta nową, pożółkłą darniną, ale wokoło niej wszystko było zielone.

Jarzębina wsparła się na klonie, a szeroko rozrosły krzak leszczyny wyciągał nad grobem swe giętkie gałęzie z puszystemi, chropawemi liśćmi. Siadłszy na sąsiedniej mogile i odpocząwszy, o. Ignacy rozejrzał się wkoło, rzucił okiem na pustynne niebo bez obłoków, kędy w zupełnej nieruchomości wisiał rozżarzony krąg słoneczny, — i tutaj dopiero zaczął czuć tę otchłanną, z niczem nie dającą się porównać ciszę, jaka panuje na cmentarzach, kiedy niema wiatru i nie szepczą zmartwiałe liście. I znów o. Ignacemu przyszło do głowy, że to nie cisza, lecz milczenie. Rozlewało się ono do samych ceglanych murów cmentarza, ciężko przepełzało przez nie i zatapiało miasto. I koniec jego dopiero tam — w tych szarych, uparcie i wytrwale milczących oczach.

O. Ignacy poruszył plecami, które dreszcz jął przebiegać, i spuścił oczy w dół, na grób Wiery. Długo patrzał na zżółkłe króciutkie łodyżki trawy, wyrwanej wraz z ziemią zkądś z bezbrzeżnego, pieszczonego wiatrem pola i nie mogącej jeszcze pobratać się z obcą glebą, i nadaremnie próbował wyobrazić sobie, że tam, pod tą trawą, o dwa łokcie od niego, leży Wiera. I blizkość ta zdawała się niepojętą i wlewała mu w duszę zmieszanie i dziwną trwogę. Ta, o której o. Ignacy zwykł był myśleć jako o zaprzepaszczonej na wieki w ciemnych tajnikach nieskończoności, leżała tu, obok... i trudno było zrozumieć, że jednak jej niema i nigdy już nie będzie. I o. Ignacemu zdało się, że jeżeli powie jakieś słowo, które prawie wyczuwał na wargach, albo jeżeli wykona jakiś ruch, Wiera wyjdzie z grobu i stanie tak samo wysoka, piękna, jak dawniej. I nietylko ona wstanie, lecz wstaną wszyscy umarli, tak strasznie dotykalni w swem majestatycznie-zimnem milczeniu.

O. Ignacy zdjął czarny kapelusz o szerokich skrzydłach, rozgarnął faliste włosy i rzekł szeptem:

— Wiero!

Zrobiło mu się nijako, że może go słyszeć ktoś obcy, i stanąwszy na mogile spojrzał powyżej krzyżów. Nikogo nie było, i już głośno powtórzył:

— Wiero!

To był dawny głos o. Ignacego, ostry, nakazujący, i dziwnem się zdało, że z taką mocą wypowiedziane żądanie zostaje bez odpowiedzi.

— Wiero!

Głośno i nakazująco wołał głos, a kiedy milkł, przez chwilę miało się złudę, że w dole dźwięczy niewyraźna odpowiedź. I o. Ignacy, jeszcze raz obejrzawszy się naokoło, odgarnął włosy z ucha i przylgnął niem do ostrej, kolącej darniny.

— Wiero, powiedz!

I z przerażeniem uczuł o. Ignacy, że w ucho jego sączy się coś grobowo-zimnego i mrozi mózg, że Wiera mówi, ale mówi wciąż tem samem długiem milczeniem, Staje się ono coraz trwożniejszem i bardziej przerażającem, i kiedy o. Ignacy z wysiłkiem odrywa od ziemi głowę, bladą jak u trupa, zdaje mu się, że całe powietrze drży i wibruje tętniącem milczeniem, jakby na tem strasznem morzu rozkołysała się dzika burza. Milczenie dusi go; lodowemi falami przewala się przez jego głowę i pręży włosy; rozbija się o jego pierś, jęczącą pod temi razami. Drżąc całem ciałem, rzucając naokoło ostre i raptowne spojrzenia, o. Ignacy powoli podnosi się i długim, mozolnym wysiłkiem usiłuje wyprostować plecy, nadać dumny pozór drżącemu ciału. I to mu się udaje. Z umyślną powolnością o. Ignacy otrząsa z kurzu kolana, kładzie kapelusz, trzykrotnie żegna grób, odchodzi równym, twardym krokiem, ale nie poznaje znajomego cmentarza i gubi drogę.

— Zabłądziłem! — uśmiecha się, stając na rozgałęzieniu ścieżek.

Ale stoi ledwie sekundę i, bez myśli, skręca nalewo, dla tego, że nie można czekać ani stać. Milczenie wypędza. Wstaje ono z zielonych mogił, oddychają niem posępne szare krzyże, cienkiemi, duszącemi potokami zionie ze wszystkich szczelin ziemi, syconej trupami. Coraz to prędszemi stają się kroki o. Ignacego. Ogłuszony, błąka się po tych samych ścieżkach, przeskakuje przez mogiły, zaczepia o kraty, chwyta rękoma za kolące blaszane wianki, rwie się w strzępy miękka sukni jego materya. Tylko jedna myśl o wyjściu została mu w głowie. To tędy, to tamtędy rzuca się i nakoniec biegnie bez hałasu, wysoki, niezwyczajny, w rozwiewającej się sutannie i z płynącemi na wietrze włosami. Gorzej, niż trupa powstałego z grobu, przeląkłby się każdy, napotkawszy tę dziką postać biegnącego, skaczącego, wymachującego rękoma człowieka, ujrzawszy jego wykrzywioną twarz obłędną, usłyszawszy zgłuszony chrap, wychodzący z jego ust otwartych.

W całym pędzie, wybiegł o. Ignacy na placyk, na którego krańcu bielała niewysoka cerkiewka cmentarna. U podwoi na niziuchnej ławce drzemał dziadek, wyglądający na pielgrzyma zdaleka, a koło niego, skacząc sobie do oczu, kłóciły się i łajały dwie zgrzybiałe żebraczki.

Kiedy o. Ignacy podchodził do domu, ciemniało już; w pokoju pani Olgi błyszczało światło. Nie rozbierając się i nie zdejmując kapelusza, zakurzony, oberwany, o. Ignacy szybko wbiegł do żony i padł na kolana.

— Matko... Ola!.. zlituj-że się nade mną! — załkał. — Ja waryuję.

I walił głową o skraj stołu, i łkał burzliwie i z umęczeniem, jak człowiek, który nigdy nie płacze. I podniósł głowę, pewien, że zaraz stanie się cud, i żona zacznie mówić, i zlituje się nad nim.

— Kochana!

Całą ogromną postacią pochylił się ku żonie — i napotkał spojrzenie siwych oczu. Nie było w nich litości, ani gniewu. Być może, iż przebaczyła i żałowała go, ale w oczach nie było ani współczucia, ani przebaczenia. Były nieme, milczały.

. . . .

I milczał cały mroczny, opustoszały dom.

DZWONY NA TRWOGĘ.

I.



szystko się paliło w to lato skwarne i złowieszcze. Paliły się całe miasta, osady i wsie; lasy i pola już ich nie chroniły: las, sam bezbronny, zajmował się pokornie, i ogień czerwoną płachtą pełzał przez wyschłe łąki. W dzień, w gryzącym dymie kryło się ogniste, bezpromienne słońce, a w nocy w rozmaitych częściach nieba buchała niema łuna, kiwała się w milczącym, fantastycznym tańcu, i dziwne, niepewne cienie ludzi i drzew pełzały po ziemi, niby gady nieznane. Psy przestały ujadać gościnnem szczekaniem, zdala wabiącem podróżnika, obiecującem mu dach i miłe przyjęcie; wyły przeciągle a żałośliwie, lub też posępnie milczały, kryjąc się po dołach. I ludzie, jak psy, spoglądali na siebie złemi, przerażonemi oczyma i głośno rozprawiali

o podpaleniach i tajemniczych podpalaczach. W jednej dalekiej wiosce zabito starca, który nie mógł opowiedzieć się, dokąd idzie, a potem kobiety płakały nad trupem i żałowały jego siwej brody, pozlepianej zczerniałą posoką.

W to lato skwarne a złowieszcze mieszkałem w pewnym obywatelskim domu, gdzie było dużo starych i młodych kobiet. W dzień pracowaliśmy, rozmawiali i mało myśleli o pożarach, lecz, gdy zaczynała się noc, lęk nas ogarniał. Właściciel majątku często wyjeżdżał do miasta; wtedy nie sypialiśmy po całych nocach i, szukając podpalacza, chodziliśmy naokoło zabudowań, otaczając je lękliwą pieczą. Przytulaliśmy się do siebie i rozmawiali szeptem, a noc była milcząca, i budynki sterczały ciemnemi, obcemi masami. Wydawały nam się nieznajomemi, jak gdybyśmy ich nigdy przedtem nie oglądali, i strasznie wątłemi — jakby oczekującemi na ogień, jakby dla niego przyszykowanemi. Raz, w szczelinie ściany błysnęło nam coś jasnego. Było to niebo, lecz myśmy myśleli, że to ogień, i kobiety z krzykiem rzuciły się do mnie, wtedy prawie dziecka, błagając o obronę.

...A ja sam z przerażenia przestałem oddychać i nie mogłem ruszyć się z miejsca...

Czasami późno w nocy wstawałem z gorącego, rozmamranego posłania i przez okno wyłaziłem do ogrodu. Był to stary, majestatycznie-ponury ogród, odpowiadający najsilniejszej burzy tylko mrukiem przyciszonym; dołem było w nim ciemno i grobowo-cicho, jakby na dnie przepaści, a górą szedł niewyraźny szmer i szelest, zbliżony do jakiegoś dalekiego poważnego rozgwaru. Kryjąc się przed kimś, następującym mi niemal na pięty, skradającym się za mną i zaglądającym mi przez ramię, przedzierałem się na kraniec ogrodu, gdzie na wysokim wale sterczał płot, a za płotem, daleko hen na dół, biegły pola, bory i tające się w mroku osady. Wysokie, posępnie-milczące lipy rozstę-

powały się przede mną i między ich grubemi czarnemi pniami, przez szczeliny płotu, przez przerwy między liśćmi, widziałem coś strasznego a niezwykłego, coś, co niepokojącą zmorą napełniało mi serce i drobnym dreszczem przebiegało nogi. Widziałem niebo, nie ciemne, spokojne niebo nocne, lecz różowe, jakiego nigdy niema ani w dzień ani w nocy. Potężne lipy stały poważnie, milcząco i, jak ludzie, czekały na coś, a niebo czerwieniało niezwykle, i purpurowemi drgawkami przebiegały przez nie złowrogie odblaski płonącej w dole ziemi. Powoli buchały i płynęły wzwyż kłębiące się kolumny, a w tem, że były takie milczące, podczas gdy w dole wszystko jęczało, takie nieśpieszące się i majestatyczne, podczas gdy dołem wszystko się miotało, — była zagadka i ta sama straszna nienaturalność, co w różowym kolorycie nieba.

Jakby opamiętawszy się, wysokie lipy wszystkie naraz poczynały porozumiewać się wierzchołkami i w takiż raptowny sposób milkły, krzepnąc na długo w posępnem oczekiwaniu. Robiło się cicho, jakby na dnie przepaści. Daleko za sobą czułem nasłuchujący dom, pełny przerażonych ludzi, wokoło mnie czujnie tłoczyły się lipy, a przed nami milcząco kołysało się czerwono-różowe niebo, jakiego nigdy niema ani w dzień, ani w nocy.

I dlatego, że widziałem je nie w całości, lecz tylko przez luki między drzewami, robiło mi się jeszcze straszniej i niezrozumialej.

II.

Była noc, i drzemałem niespokojnie, gdy w ucho wpadł mi nagle tępy, urwany dźwięk, jakgdyby idący z pod podłogi, wpadł i zakrzepł w mózgu, niby okrągły kamień.

Za nim wdarł się drugi, równie krótki i ważki, i głowa stała się ciężką i obolałą, jakby w nią padał gęstemi kroplami roztopiony ołów. Krople wierciły i przepalały mózg; było ich coraz to więcej i niezadługo gęstym deszczem rwanych, gwałtownych dźwięków napełniły mi głowę.

— Bam! Bam! Bam! — rzucał zdaleka ktoś wysoki, mocny — a niecierpliwy.

Otworzyłem oczy i zrozumiałem odrazu, że to dzwon na trwogę i że pali się najbliższa osada Słobodyszcze. W pokoju było ciemno, i okno było zamknięte, lecz na straszne wołanie całe wnętrze, wraz z meblami, obrazami i kwiatami, jakgdyby wyszło na ulicę, i nie czułem ani ścian, ani sufitu.

Nie pamiętam, jakem się ubrał, i nie wiem, dlaczego pobiegłem sam, zamiast z ludźmi. Albo zapomnieli o mnie, albo mnie nie przyszło do głowy, że oni istnieją. Dzwon na trwogę wołał nagląco, głucho, jakgdyby dźwięki padały nie z przezroczystego powietrza, lecz wyrzucała je niezmierzona grubizna ziemi, — i pobiegłem.

Gwiazdy zgasły mi nad głową, przytłumione różowym blaskiem, i w ogrodzie było dziwnie jasno, jak nie bywa nigdy ani w dzień, ani w królewskie noce księżycowe, a gdy podbiegłem do płotu, przez luki spojrzało na mnie coś jaskrawo-czerwonego, burzliwego, rozpacznie szarpiącego się. Wysokie lipy, jakby obryzgane krwią, drżały okrągłemi liśćmi i trwożliwie zaginały je ku sobie, lecz mowy ich nie było słychać pod krótkiemi a silnemi razami rozkołysanego dzwonu. Teraz dźwięki były wyraźne i regularne i pędziły z szaloną szybkością, jak rój rozpalonych kamieni. Nie krążyły w powietrzu, jak gołębie cichego wieczornego dzwonienia, nie rozpływały się w niem pieszczącą falą uroczystego hymnu — leciały prosto, jak groźne zwiastuny klęski, niemające czasu obejrzeć się po za siebie i łyskające rozszerzonemi lękiem oczyma.

— Bam! Bam! Bam! — leciały z niepohamowanym rozpędem, mocne wyprzedzały słabe, a wszystkie razem wpijały się w ziemię i przeszywały niebo.

Tak prosto jak one, biegłem i ja przez wielkie, zorane gleby, niepewnie migocące krwawemi refleksami, jak łuska olbrzymiego czarnego zwierza. Nad mą głową, na strasznej wysokości, miękko leciały pojedyńcze jasne iskry, a przede mną wichrzył się straszliwy pożar wioskowy, gdzie na wspólnym stosie giną domy, zwierzęta i ludzie. Tam, za najwyższą linią czarnych drzew, to okrągłych, to ostrych jak włócznie, zygzakowato wzbijał się oślepiający płomień, wyginał dumnie szyję, jak koń rozszalały, skakał, odrzucał od siebie ogniste strzępy i chciwie schylał się na dół po nową zdobycz. W uszach szumiało mi od szybkiego pędu, serce uderzało szybko i głośno, a wyprzedzając jego uderzenia, w skroń i pierś waliły mię bezładne dźwięki dzwonów na trwogę. I było w nich tyle rozpaczy, jakgdyby nie dzwon miedziany huczał, lecz w przedśmiertnych drgawkach kołatało serce przebolesnej ziemi.

— Bam! Bam! Bam! — wyrzucało z siebie rozpalone płomienisko, i trudno było uwierzyć, że te rozkazujące i rozpaczne krzyki wydaje dzwonnica kościelna — taka maluchna i cienka, taka cicha i spokojna, jak panienka w różowej sukience.

Padałem, opierając się rękoma o grudy zeschłej ziemi, które rozsypywały się w moich rękach; wstawałem i znów biegłem, a naprzeciwko mnie biegł ogień i nawołujące dźwięki alarmu. Słychać już było, jak trzeszczy drzewo, żarte ogniem, i krzyk ludzki różnych odcieni, z dominującemi w nim nutami rozpaczy i strachu. I kiedy cichł wężowy syk ognia, wyraźnie wyodrębniał się przeciągły, jęczący głos: to zawodziły kobiety i ryczało w panicznym strachu bydło. Bagno zatrzymało mię. Szerokie zarosłe bajoro, daleko ciągnące się na prawo i lewo. Wszedłem

w wodę po kolana, potem po pas, lecz bagno ssało mię, i wróciłem na brzeg. Naprzeciwko, całkiem blizko, kłębił się ogień i wyrzucał w niebo chmary złocistych iskier, podobnych do ognistych liści tytanicznego drzewa; w czarnem obramieniu tataraku i sitowia, ognistemi, lśniącemi zwierciadłami błyszczała błotnista woda — a dzwon alarmowy wołał rozpaczliwie w męce śmiertelnej:

— Chodź! Chodź-że!

III.

Biegałem po brzegu, poza mną miotał się czarny mój cień, a gdy nachylałem się nad wodą, wymiarkowując głębokość dna, z czarnej otchłani patrzało na mnie widmo ognistego człowieka, i nie mogłem poznać siebie w wykrzywionych rysach jego twarzy, w rozwichrzonych włosach, jakby wyprężonych na czaszce jakąś straszną siłą.

— Co to, co to jest? Boże! — błagałem, wyciągając ręce.

A dzwony wołały. Dzwon już nie błagał — wył jak człowiek, jęczał, dławił się. Dźwięki traciły swą wyrazistość i waliły się na siebie szybko, bez oddźwięków, mrąc, rodząc się i znów ginąc. I znów nachyliłem się ku wodzie i obok swego odbicia ujrzałem drugie płomienne widmo, wysokie, sztywne i, co zwiększyło mój strach, jednak podobne do człowieka.

— Kto to? — krzyknąłem, oglądając się. Koło ramienia mego stał człowiek i milcząc patrzał na pożar. Twarz jego była blada i mokra, nieprzyschła jeszcze krew lśniła na policzkach, odbijając ogień. Ubrany był

zwyczajnie po chłopsku. Być może, iż znajdował się już tutaj, gdy przybiegłem, wstrzymany, jak i ja, przez bagnisko; być może, przyszedł później — ale nie zauważyłem jego przyjścia i nie wiedziałem, kto on taki.

— Pali się, — rzekł, nie odwracając od ognia oczu. Odbicie płomienne skakało w nich, potęgując jeszcze ich wielkość i szklaność.

— Ktoś ty? Zkąd? — spytałem. — Jesteś krwią zawalany.

Długiemi, chudemi palcami dotknął swego policzka, potem popatrzał na nie i znowu wparł oczy w ogień.

— Pali się, — powtórzył, nie zwracając na mnie uwagi. — Wszystko się pali.

— Nie wiesz, jak się tam dostać? — spytałem, odsuwając się; domyślałem się, że to jeden z waryatów, których tak dużo zrodziło to złowieszcze lato.

— Pali się! — odparł. — Oho-ho-ho! — zawołał i zaczął się śmiać, patrząc na mnie dobrotliwie i kiwając głową. Coraz to częstsze uderzenia dzwonu raptownie ścichły, i głośniej poczęły trzeszczeć płomienie. Ruszały się jak żywe, długie ręce — jakby w znużeniu, wyciągały się ku zmilkłej dzwonnicy. Teraz, zblizka, wydawała się ona wysoką i zamiast różowego miała już czerwone ubranie. U góry ciemnego otworu, gdzie znajdowały się dzwony, zjawił się nieśmiały, spokojny ognik, podobny do płomyka świecy, i bladym promykiem odbił się w ich miedzianych piersiach. I znów roztętnił się dzwon, ziejąc ostatnie, nieprzytomnie-rozpaczne krzyki, a ja znowu jąłem szarpać się na brzegu, a za mną szarpał się mój czarny cień.

— Idę! Idę! — odpowiadałem komuś, wołającemu mię... A wysoki człowiek siedział spokojnie poza mną, objąwszy rękoma kolana, i głośno śpiewał, wtórując dzwonowi:

— Bam!.. Bam!.. Bam!..

— Zwaryowałeś! — krzyczę doń, a on śpiewa wciąż głośniej, radośniej:

— Bam!.. Bam!.. Bam!..

— Zamilcz! — błagałem.

A on uśmiechał się i śpiewał, kiwając głową, i w szklanych jego oczach rozpalał się ogień. Był straszniejszy, niż pożar, ten obłąkaniec, i odwróciwszy się, zacząłem biedz równolegle z brzegiem bajora. Lecz nie zdążyłem zrobić jeszcze kilku kroków, gdy obok mnie bez szelestu wyrosła jego długa sylweta w rozwiewającej się koszuli. Biegł milcząc, jak ja, długiemi, nieznającemi zmęczenia krokami, i milcząc biegły przez zorane pole nasze dwa czarne cienie.

W agonii przedśmiertnej dusił się dzwon i krzyczał, jak człowiek, który nie czeka już pomocy, któremu ostatnia zgasła już nadzieja. I milcząc biegliśmy — hen, kędyś w mrok, a koło nas szyderczo skakały nasze czarne cienie.

PRZEŁOŻYŁ Jan Wroczyński. L. Andrejew.

Z Pawła Verlaine'a.

GODZINA KOCHANKÓW.

Czerwony księżyc u niebiosów brzega;
Łąka, w tańczących oparów pomroce,
Usypia mglista, a żabka rechoce
Wśród trzcin zielonych, które dreszcz przebiega.

Kwiat wodny stula swe wodne kielichy;
Topole, zwarte w szeregu i sztywne,
Rysują w dali cienie mgliste, dziwne;
W krzakach świetlików rój błąka się cichy.

Puhacz się zbudził i w cichym rozpędzie
Przeszywa ciemność skrzydłem wiosłującem.
Zenit rozbłyska mdłych blasków tysiącem —
Biała zapala się Wenus. — Noc wszędzie.

(POÈMES SATURNIENS).

PO TRZECH LATACH.

Otworzyła się furtka wązka i chwiejąca.
Wszedłem: droga w ogródku tak mi dobrze znana,
Oświetlona łagodnym blaskiem, który zrana
W każdej kropelce rosy krzesze iskrę słońca.

Wodotrysk, tak jak dawniej, ciszę srebrnie zmąca.
Nic się nie odmieniło: malutka altana
Kryta winem, ławeczka trzciną wyplatana,
I stara osiczyna wiecznie się skarżąca.

Róże drżą tak jak pierwej; lilie, tak jak pierwej,
Wielkie, dumne, za wiatrem chylą się bez przerwy.
Zda się, każdego ptaka zna już moja dusza.
I nawet odnalazłem ów posąg Welledy,
Której gips poczerniały zwolna się rozkrusza:
Stoi, choć wątła, w nikłym zapachu rezedy.

(POÈMES SATURNIENS).

ŻAŁOSNY DŹWIĘK ROGU...

Żałosny dźwięk rogu idzie przez knieję
I, zda się, boleścią jęczy sierocą,
U stoku wzgórz kona, zdjęty niemocą,
Aż wiatru błądzący dech go rozwieje.

Duch wilczy w tym głosie płaczem szaleje,
Co wzrasta, gdy zorze zachód ozłocą,
Gdy słońca konanie przed cichą nocą
Zarazem i słodycz i smutek sieje.

I skargę tę niżej tuląc do ziemi,
Śnieg cicho płatkami sypie długiemi
Skróś zorzy zachodniej krwawe purpury;
Westchnieniem jesieni powietrze dyszy —
I słodką jest chwila tej sennej ciszy,
Gdy blade pejzażu drzemią kontury.

(SAGESSE).

PRZEŁOŻYŁA Helena Stattler.



Fragment z KANTORYI
Łukasza della Robbia.

Dolina mroku.



„Wszystko się w życiu mści, i kara przyjść musi za wszystko, choćby nie było winy.“

Z listu przyjaciela.

Nie wiem, kto jesteście wy — ściągający ze mnie wyznania.

W pokurczonych cieniach tej sali, o której domyślam się, że jest trybunałem, — widzę mgławe piętna waszych twarzy i czarne nieruchome postacie.

Nie przemawiam do was, jako sędziów.

Słowa me rzucam w przestrzeń pozbawioną czasu.

Tajemniczość roztacza się nade mną, jak Ocean nad gałązką koralu, który się rozwija według nieznanych sobie praw i pod ciśnieniem ogromu, którego nigdy macką nie obejmie.

W mojej świadomości zatarła się różnica światów, w dyfuzyi ciągłej ducha mojego z Niewiadomem.

Chciejcie darować, że nie trzymam się prostej opowieści. Idę w labiryncie za połyskującą w ciemnościach nicią, jakiekolwiek są jej zagięcia.

Być może, umysł inny wybrałby drogę bezpośrednią, ale ja nie mógłbym kroku postąpić w przepaścistym i ogłuszającym wirze podziemnych lawospadów.

Z mojego dzieciństwa i młodości napisać mógłbym niejedną rozprawę stanowiącą klucz do zagadnień o tworzeniu się przeznaczenia.

Życie moje i cel mój są dla mnie sfinksową zagadką, której ja, drugi Edyp, rozwiązać nie będę się kusił.

Widzę jakby śnieżne wierzchołki gór, niezwiązane między sobą niczem prócz morza mroku, z którego zdają się wyrastać.

Opowiem z monotonią i prostotą chorego dziecka, które chciałoby zasnąć, a lęka się tych strasznych widziadeł w zamurowanej głęboko piwnicy.

Pamiętam się w sypialnym wagonie pędzącego pociągu — lecz cel mej podróży tak się zatarł w umyśle, jakobym go nie znał nigdy.

W mdłem oświetleniu nocnych lamp spoglądałem na bliskie mi istoty. Nie kładłem się lub może wstałem przebudzony.

Staruszka — krewna mej żony — spała przy ścianie na lewo, po przeciwnej stronie moja żona i dziecko. Dalej drzemał nieznajomy mężczyzna otulony w podróżny płaszcz.

Dziecko swe kocham miłością gwałtowną—chcę— aby osiągnął to, na czem ja się osunąłem i z zawrotną szybkością staczam się w dół. I wdzięczny jestem tej

konieczności, która gniotąc marzenia moje uczyniła z istoty prześwietlonej matkę mego syna.

Ciemną, tragiczną rolę w życiu mojem odegrał pewien człowiek, z którym nieostrożnie zawarłem sojusz braterstwa, żłobiąc mu tunel w podziemne tajniki ducha, — i który przez to począł wywierać wpływ demoniczny, uwodząc łatwowierną miłość — —

Pozwólcie, abym tej zasłony nie odchylał, rozwodząc się nad sadyzmem w mistyce, a co nazwaćby można kąpielą ciepłą w krwi aniołów.

Ten opętał ubóstwianą przeze mnie kobietę, do której nie śmiałem się zbliżyć, jak do niedosiężnych gwiazd. Magnetyzując, zasypał lodozwałem, znieprawił w pysze i nicości przeczystą, wspaniałą duszę jej.

W snach ciemnych, gorączkowych, błąkałem się niby wilkołak po tym borze, który szumiał uroczystą sonatą wieczornych modlitw — widząc przez zawieruchę oświetlone okna i tęskną zapatrzoną ku mnie postać.

I oto widziałem się wśród niskich i nieznanych sobie komnat—gdzie z poza okien czerniały gąszcze prawiecznych lip; podłogi wyłożone dywanami, a ściany w makatach i arrasach, okrwawionych ogniem tlącego się kominka.

Meble staroświeckie w stylu cesarstwa, portrety kasztelanów i babek w robronach.

Stałem długo, zapatrzony w młodą prześliczną damę w białej sukni z niebieską szarfą. Jej złowieszcze oczy przerażały mnie — świecąc jakby dwie groty piekieł — i wspomniałem, że ukochana moja miała w swym

rodzie prababkę, która po lasach z pewnym duchownym mordowała schwytane wiejskie dziewczęta.

Na zegarze bronzowym biła godzina wpół do drugiej — i dźwięk ten ocucił mnie — — — — — — ujrzałem rękę moją, która cięła szyję człowieka śpiącego.

Głowa potoczyła się na ramiona, a z otwartych żył trysnęła krew.

W ściśniętej pięści trzymałem mój szeroki hiszpański nóż — na którym oglądać możecie napis: Alvaro Garcia Albacete.

Los dziwnie zdarzył spotkanie dwóch wrogów, niewiedzących o sobie, w półmroku pędzącego pociągu — i ja nie widziałem jego twarzy — aż podnosząc za włosy ściętą głowę.

I nie chcę już trudzić zapytaniem sfinksa, jakim sposobem znaleziono w zaryglonej od wewnątrz komnacie ściętą głowę? tego, co był sam jeden — o mil tysiąc ode mnie.

I jakim sposobem żona moja widziała przez szybę wagonu mego ducha, który z głową krwawiącą nieznanego jej człowieka pędził wśród zamieci śnieżnej?

I na to wszystko zebraliście stanowcze, mnie samego przekonać gotowe dowody,— szczególniej te plamy krwi na poduszkach wagonu i otulony w płaszcz kadłub nieznajomego.

Pociąg zdawał się szybować po powietrzu. W ciszy patrzyłem na rozwarte nieśpiące oczy mej żony — a głos obcy snuł w nas tę opowieść jakby na pustyni Sądu Ostatecznego.

I nie pamiętam już nic.

Ocknąłem się aż tu przed wami.

Zda mi się, że pociąg z zawrotną szybkością leci i z tą salą i ze wszystkiem, co kiedykolwiek poznałem, — i z tem, co mi przeznaczono w najdalszych reinkarnacyach przecierpieć, — — pędzi po stromej pochylni ku miejscowości ciemniejszej, niż ta, z której przybywa.

Tylko białe wierzchołki gór z obojętnością wniebowziętych patrzą na otulone w mgłach doliny.

A wszystko się mści — i kara jak runięcie kopuły kościelnej spaść musi na bezwinnych.

Mądrą mi się wydaje ta myśl i wypisaną jakby z grobowca chaldejskich magów.

Tadeusz Miciński.

Ogród Śmierci.



Z łąk zielonych, z złotego pola
schodzisz w cichy ogród mistyczny:
tam na progu Śmierć biała stoi
w cyprysowym wieńcu na czole.

Stoi biała — i lodowate
nieśmiertelne dłonie wyciąga
do widziadeł, wspomnień, pamiątek...
I do serca swego przyciska

sny daremne, zgasłe pragnienia,
latorośle zwarzone mrozem,
zeschłe, sztywne liście jesienne,
malowane smutną czerwienią;

białe, lekkie ostatnie róże,
co skonały w złotych warkoczach
i na piersiach pobladłych dziewic,
lilie zimnym potem zroszone.

I wyciąga do nas ramiona
marmurowe, tuli do serca,
i tracimy bytu świadomość,
umieramy nazawsze w Śmierci...

Ale śnimy. Jako zielone
algi na dnie fal oceanu,
jak korale bladoróżowe,
śnimy, śnimy w Ogrodzie Śmierci.

I czujemy, jak nad oczyma
zamkniętemi i nad ustami,
nad sercami, co bić przestały,
krąży jeszcze cień pocałunków.

Śnimy, śnimy pieśni gorące
purpurowo-piórych słowików,
i księżyce od słońc jaśniejsze,
złote morza, kwiaty ze światła.

Śnimy rzeczy nie z tego świata,
niezrównane, boskie, przecudne,
sen poetów śnimy ogromny,
lecz umarli, w Ogrodzie Śmierci.

PRZEŁOŻYŁA Anna Bronisławska. Enrico Nencioni.

Z psychologii sztuki.



SPRAWIE ROZSĄDKU ŻYCIOWEGO. Względna skromność, zasadnicza i mądra przezorność w rzeczach erotyzmu, przezorność nawet myślowa, stać się może wielkim rozsądkiem życiowym, nawet dla bogato uposażonych i całkowitych natur. Dotyczy to przedewszystkiem artystów, jest jedną z ich najlepszych mądrości życiowych. Bynajmniej niepodejrzane głosy odzywały się już w tym sensie, że wspomnę tylko Th. Gautier, Flaubert'a, Stendhal'a. Artysta jest bodaj z rodzaju tych, których konieczność skazuje na silną zmysłowość, człowiekiem wogóle zanadto pobudliwym, każdy jego zmysł jest zbyt łatwo dostępnym podniecie, nawet zdaleka dolatującej sugestyi podniecenia. Lecz mimo to, stojąc zwykle pod całkowitą władzą swego zadania życiowego, swego dążenia do mistrzowstwa, jest w rzeczywistości umiarkowanym, jeśli nie całkowicie powściągliwym człowiekiem. Tak mu nakazuje dominujący w jego naturze instynkt: on mu nie pozwala zubażać siebie w ten sposób.

Ostatecznie biorąc, jedna i ta sama siła zużywa się w artystycznej koncepcyi i w akcie płciowym, gdyż wogóle istnieje tylko jedna siła. Tu się zatracać, tu się rozdawać i zaprzepaszczać jest u artysty rzeczą godną pogardy; wskazuje to już nietylko na brak instynktu, lecz na całkowity opad woli, i może być poprostu piętnem dekadencyi. W każdym razie zubaża to jego sztukę do nieobliczonych wprost granic.

Artyści *nie są* ludźmi wielkich namiętności, mimo wszystko, co w siebie i w ludzi wmówić pragną. Dzieje się to dla kilku powodów. Przedewszystkiem, brak im wstydu przed samym sobą (oni żyjąc, przyglądają się sobie, oni czatują, czyhają na samych siebie; ci ludzie są zbyt ciekawi). Następnie, brak im wstydu wobec wielkiej namiętności (oni ją wyzyskują twórczo). Wreszcie, ich wampir, — talent ich, nie pozwala na tę rozrzutność siły, która zwie się namiętnością. Mając talent, jest się i ofiarą swego talentu: człowiek żyje pod wampiryzmem swego talentu.

Nikt nie przezwycięża swej namiętności tem, że ją twórczo przedstawia, lecz naodwrót może ją przedstawić dlatego, że ją w sobie już pokonał. (Goethe poucza wprawdzie inaczej; lecz bodaj że w tym wypadku pragnął on nie rozumieć samego siebie, czyniąc to z powodów — *delicatezzy*.)

Ukrywa się tu znów nietylko pozorna sprzeczność z uwagami wygłoszonemi powyżej: 1) o tak niesłychanie łatwej pobudliwości artystów, i 2) o tem, że miłość („płciowa,“ akcentowane było najwyraźniej) stanowi najpotężniejszy bodziec życia, niechybnie twórczego w wybujałości swojej. A więc artysta, stanąwszy, dzięki pobudliwości i wrażliwości swojej, tuż, tuż przed owemi wrotami sztuki, „które same otwierają się przed zakochanym,“ winienby w przezorności mądrej cofać się co rychlej, aby, uchowaj Boże, nie ponieść szwanku na swej fachowości?.. Czy taki „artysta“ nie trąciłby mocno przezornym i oszczędnym rzemieślnikiem, który woli powolną lecz pewniejszą drogę „miarki do miarki“? Jest w tem niesmak, który milczeniem przełknąć się nie da. Drugi niesmak tkwi w zbyt już

częstem wynoszeniu artysty ponad wszelkie człowieczeństwo, w tej „osobnej rubryce“ stwarzanej dla niego co krok, nawet w sprawach funkcyj fizyologicznych. Artysta, który nie przeszedł przez wszystkie ognie człowieczeństwa, jest chyba — żałosnym typem dzisiejszego literata, którego mnóstwo drobnych warunków społecznej towarzyskości (a przedewszystkiem jego własna fachowość) odsuwa na pewien dystans od ustawionego stołu życia, jako — łakomego widza. Czy w tej perspektywie i na tem stanowisku zrodzić się może mocne i głębokie odczucie wszystkiego, co ludzkie, jest rzeczą wątpliwą (choć również nie wykluczoną, bo zależną od siły tych tęsknot do życia i od potęgi intuicyjnej, ale żadną miarą od roztropności.)

Czy, zamiast powoływać się na nakazy rozwagi i roztropności, na przezorne imperatywy ostrożnego talentu, nie należałoby raczej wejrzeć w życie i skład duchowy samotników i spróbować zrozumieć, dla czego ci ludzie nie nadają się do pospolitych namiętności, ani do tych, które się pospolicie zwą „wielkiemi“? Czy nie należałoby się powołać na tę fatalną moc wewnętrznego życia, na fascynującą potęgę marzeń, które z objawów zewnętrznego życia czerpią to tylko, co w nich jest z ducha, i póty tylko, póki w nich jest jeszcze coś z ducha? Czy nie należałoby wskazać na tę ślepą siłę, którą niszczy i szczęście osobiste, i siły ludzkie, i nawet ów talent produkcyjny, gwoli wewnętrznej pracy, ciągłemu odmładzaniu i kwitnieniu ducha, ustawicznemu rozrostowi i dojrzewaniu? na to fatum życiowe, pozwalające poświęcać własnemu szczęściu tylko najbłahsze, poziome godziny wyczekiwania na nagłe rozblaski wszystkich czarownych zwierciadeł ducha? — Jeśli przed oczyma marzyciela staną te zwierciadła, wyrwie się niechybnie z ramion kochanki, a uczyni to nie gwoli życiowej mądrości, bez roztropnych wyrachowań artysty, bez wiedzy i woli nawet, gdyż tak mu nakazuje wampir, — nie talentu bynajmniej! — lecz stokroć potężniejszy wampiryzm marzenia, poezyi dla niej samej, pozwalającej mu oglądać cały przepych życia tylko tam w spotęgowanych blaskach zwierciadeł marzenia, całą jego głąb' — tylko na dnie duszy własnej, uświadamiać sobie nawet całą potęgę i niedolę swej miłości dopiero w widmowem jej odbiciu. — I tak oto w miłości tych ludzi tkwi zawsze ziarno tragedyi, są oni fatalni dla swoich kobiet...

Zstąpiwszy znacznie niżej, między bardziej ludzkie sprawy i pospolitsze charaktery, nietrudno zauważyć, że artyści nawet do miłostek bardzo średnio się nadają, czemu nie przeczą bynajmniej rozmaite anakreontyki, które są najczęściej swawolą po niewczasie... Lawirować w gąszczu ludzkim lekko, dumnie a swobodnie umieją

tylko ludzie z wyraźną przewagą instynktu praktycznego. Kto żył choć trochę życiem wewnętrznem, nauczył się na błahe nawet podniety reagować mocniej, głębiej, a przez to samo i powolniej, przynajmniej w stosunku do zewnętrznych bodźców. A to czyni najczęściej niedołęgą w płytkim wirze spraw codziennych, i tworzy to smutne tło, na którem tem jaskrawiej odbija się nieraz ironia pragnień. Ci ludzie nie mają dość lekkości do życiowego tańca, i choć im Bachus tak chętnie dopomaga, pozostają przecie w tyle, jak Sylen na ośle. W samotności piszą za to anakreontyki, lub, co częściej się zdarza, wywierają złe i dokuczliwe zemsty na sobie, na życiu, na kobietach i na ośle swego sentymentu, — bo ci ludzie są nieuleczalnie sentymentalni. Mimo to, a może właśnie dla tego, stają się łatwo cynicznymi; lecz ich cynizm jest już głębszy, boleśniejszy, i płoszy czerstwe, swawolne, a sprośne stado bystrych kozłów i małp zwinnych.

Dalibóg, moraliści mają tu mało powodu do załamywania rąk!.. Żądna miłości Venus, umiejąca być cyniczną heterą w objęciach męża lub moralisty, daje artyście uroczyste święto piękna, wzbudza cześć prawie boską, rozpala bardziej serce i ducha niźli chucie. — Nimfę, — jeśli który z nich na nimfy chętnie zerka, — porywa im najczęściej z przed nosa pierwszy lepszy moralista. — Zaś Dafne?.. — Mitologiczna Dafne stała się oklepaną anegdotą, wyzbyła się nagości i pozwala się jedynie oglądać poprzez dekolt sukni balowej; wiedzie nieśmiertelnie nudny żywot w ckliwych marzeniach banalnych rymopisów i przy ich pomocy pragnie w nas wmówić, że owidyuszowa przemiana odbyć się może w salonie.

Oto jest miłość hygieniczna dla „talentów!“ — Balzac surowo przestrzega utalentowanego młodzieńca przed miłością, natomiast radzi mu serdecznie pisywać listy miłosne. Przyznajmy szczerze: czy ten wampir „talentu“ nie jest najpospoliciej zwykłą ćmą, — ot, trupią główką, symbolizującą, co jest w sercu i życiowych instynktach człowieka? Oni mają już tylko jeden instynkt i zmysł jeden, który jest ich słuchem i wzrokiem, ich sercem i krwią ich żył: „dominujący instynkt talentu,“ co pożarł już człowieka.

O ileż piękniejszymi są ci, których ponosi jeszcze życie i porywa miłość! I o ile głębszymi tamci inni, których życie wewnętrzne tak całkowicie, tak po brzegi wypełnia, że pozwala Afrodytom, Nimfom i Dafnom wszelkim odbić się tylko w jego powierzchni jak w zwierciedle, — i nic ponad to!..

Afrodyte i Dafne są jednak upartemi kobietkami, one rade się przejrzeć i w takiem lustrze. Co ujrzą, gotowo je w miły błąd wprowadzić: — tam w głębi spoczywa zgoła inny obraz! Każdy

z tych marzycieli jest Pigmalionem, który swój ideał kobiety sam tworzy, sam kształci i sam duchem swoim ożywia. A ta jest oblubienicą, której trudno się sprzeniewierzyć, niepodobna złamać wiary bez tej rozterki, co jest przekleństwem życiowej miłości, jej trumną przed ślubnym ołtarzem...



huć i rozkosz tkwi w dionyzyjskiem upojeniu, nie brak ich i w apolińskiem. Wszakże musi być pewna różnica tempa w obu tych stanach... Nadmierny spokój pewnych stanów podniecenia (ściślej mówiąc zwolnienie poczucia czasu i przestrzeni) przejawia się chętnie w wizyach o spokojnych gestach, wśród spokojnych dusz. Styl klasyczny przedstawia ów spokój, uproszczenie i skupienie; najwyższe poczucie potęgi tkwi w typie klasycznym. Ciężkie reagowanie, wielka świadomość, — zupełny brak uczucia walki. — —

Ażeby być klasykiem, należy posiadać wszystkie napozór sprzeczne uzdolnienia i pożądania; winne one jednak chodzić w jednem jarzmie i zjawiać się o właściwej porze, aby umiejętność zażywania literatury, sztuki i polityki potęgować do właściwych wyżyn i subtelności; — (winne się zjawiać *uprzednio*, jako pierwszy bodziec.) Całokształt pewnej kultury (czy też stan ogólny narodu) należy odzwierciedlać w swej najgłębszej i najwnętrzniejszej duszy; i to w czasie rozkwitu tych właściwości, kiedy one nie są jeszcze przebarwione cudzoziemczyzną (lub kiedy są jeszcze w całkowitej zależności od wpływów obcych.) Jednem słowem, należy być nie odruchowym (reaktywnym), lecz syntetyzującym i naprzód wiodącym duchem, mają-

cym w obliczu wszelkich zjawisk swe twarde i zdecydowane „tak!“ — nawet gdy nienawiść w grę wchodzi.

Czy współdziała tu rzeczywiście najwyższa wartość osobista?.. Należałoby może rozważyć, czy nie wchodzą tu w grę przesądy? Czy moralne wyżyny nie są w koniecznej i istotnej sprzeczności z typem klasycznym?.. Czy moralne monstra nie są z konieczności romantykami, zarówno w słowie jak i w czynie? — Ta przewaga jednej cnoty nad drugą (jak u moralnego monstrum) zajmuje zasadniczo wrogie stanowisko wobec klasycznej potęgi, polegającej na równowadze. Przypuściwszy, że na pewnych wysokościach moralnych jest się mimo wszystko klasykiem, można śmiało wnioskować, że z drugiej strony posiada się też i immoralność na odpowiedniej wyżynie. Byłby to może wypadek Szekspira (o ile okazałby się on rzeczywiście lordem Baconem.) — Czy poza przeciwieństwem twórczego i odtwarzającego (czynnego i odruchowego) ducha nie ukrywa się przeciwieństwo klasycznego i romantycznego typu?



RZEMORALIZOWANIE SZTUK. — Sztuka jako wolność od moralnego zacieśnienia i zaściankowej „optyki małego kąta,“ lub jako szyderstwo z nich... Ucieczka na łono natury, gdzie piękno z grozą się łączy... Koncepcya wielkiego człowieka... — Kruche, zbyteczne, luksusowe dusze, które jedno tchnienie już mąci: „piękne dusze“... — Zbudzić i ożywić wyblakłe ideały w całej ich bezlitosnej tężyźnie i brutalności, niby pyszne potwory, jakiemi były w rzeczywistości. — Tryumfująca błogość wszystkich przemoralizowanych ar-

tystów przy psychologicznem wnikaniu w zakłamanie i komedyanctwo wbrew woli. — Fałszywość sztuki. Obnażyć jej istotną immoralność. — Wywlec na światło dzienne zasadnicze potęgi „idealizacyi“ (a więc: zmysłowość, podniecenie, nadmierny animalizm).



SPRAWIE PRZYSZŁOŚCI. PRZECIW ROMANTYCE I WIELKIEJ NAMIĘTNOŚCI. — Do klasycznych upodobań należy nieodłącznie pewien chłód, przejrzystość i tężyzna; logika przedewszystkiem, szczęście w duchowości, „trzy jedności,“ skupienie, nienawiść uczucia, niemieckiego *Gemüth,* *) francuskiego *esprit,* niechęć do wszelkich powikłań,

*) To słowo „Gemüth“ w całkowitem brzmieniu niemieckiem zyskało nieprawe obywatelstwo we wszystkich niemal językach. Jako psychologiczne znamię rasy, zgoła nie znajduje ono słownego równoważnika w innych mowach. Pojęcie to mówi o skłonności do smętku, roztęsknień, nastrojowości, połączonych najczęściej z pewną dozą opieszałej woli i cichej rezygnacyi; wszystko to prowadzi do łatwych, w duchową treść niezawsze bogatych dostrojeń się do objawów zewnętrznego życia. Gemüth wyklucza towarzyską żywość, dowcip, wylaną serdeczność: cofa raczej to wszystko na dno cichej melancholii, niegłośnego współczucia i ledwie świadomej ironii względem wszystkiego, co ludzkie. Już to samo przywodzi na myśl dobre wino w przytulnym kącie cichej gospody... Gemüth, w najszlachetniejszem pojęciu, oznacza wysubtelnioną zdolność uduchawiania wszystkiego, dar wyczuwania duszy z rzeczy i zjawisk... Wreszcie, w wulgarnem znaczeniu, zwłaszcza w przymiotnikowej formie, znaczy Gemüth (-lich) tyle co: ujmujący, miły, łatwo dopasowujący się do poziomu lada jakiej inteligencyi. *(Przyp. tłóm.)*

chwiejności, rozwałęsania w formie, wszystkich mętnych przeczuć; z drugiej strony, niemniej zdecydowana nienawiść do wszystkiego, co króciutkie, gładkie, ładne i poczciwe. Nie należy igrać z artystycznemi formami; należy życie przekształcać, aby ono swój wyraz i formę znaleźć sobie potem musiało.

Jest pewna wesoła komedya, która nas, cośmy przejrzeli, bawić dopiero zaczyna. Mianowicie uroszczenia współczesnych Herdera, Winkelmana, Goethego, Hegla, iż oni to odkryli ponownie ideał klasyczny. A równocześnie Szekspir!.. I to samo pokolenie wyrzekło się w tak czelny sposób klasycznej szkoły francuzów! jakgdyby najistotniejszych rzeczy nie można było zarówno tu jak i tam się nauczyć... Chciano jednak „natury,“ „naturalności“: — o tępoto! — Zdawało się ludziom, że klasycyzm jest pewnego rodzaju naturalnością.

Należy bez przesądów i bez wszelkich miękkości przemyśleć, na jakiem podłożu wyrosnąć może ideał klasyczny. Stężenie, uproszczenie, wzmocnienie woli nawet w kierunku zła: te rzeczy w tym oto szeregu należą do siebie nieodłącznie. Jednem słowem: logiczno - psychologiczne uproszczenie. Wzgardzenie wszelką drobiazgowością, równie jak wielkiemi zlepkami, oraz wszystkiem, co niepewne.

Romantycy niemieccy protestowali nie przeciw klasycyzmowi, lecz przeciw rozumowi, oświeceniu i smakowi 18 stulecia.

Zmysłowość romantyczno - wagnerowskiej muzyki. Jej przeciwieństwo do klasycznej zmysłowości.

Pożądanie jedności (ponieważ jedność tyranizuje widza i słuchacza,) a zarazem nieudolność tyranizowania ich rzeczą najgłówniejszą: mianowicie zwartością i skupieniem dzieła (przez zaniechanie zbyteczności, rozjaśnianie, skracanie, upraszczanie). Natomiast obezwładnianie słuchacza

i czytelnika wielkiemi masami (Wagner, V. Hugo, Zola, Taine.)



est to kwestya wewnętrznej mocy (zarówno pojedynczego człowieka jak i narodu), gdzie pada jego sąd: „piękne.“ Uczucie pełni wezbranych sił pozwala przyjąć pogodnie i ochotnie wiele takich rzeczy, które zmrozić mogą wątłego ducha. Poczucie siły wyrokuje „piękne“ o rzeczach i stanach, które dla instynktu niemocy są nienawistne i wstrętne. Węch uprzedzający nas, z czem dalibyśmy sobie radę, gdyby oblekłszy się w ciało wystąpiło przed nami jako niebezpieczeństwo, problem lub pokusa, — ten węch szczególny określa nasze estetyczne „tak.“ („To jest piękne“ — jest więc probierzem wewnętrznej mocy.)

Wynika z tego, biorąc rzecz ogólnie, iż zamiłowanie do rzeczy zagadkowych i groźnych jest oznaką siły, podczas gdy smakowanie w ładnem, miłem, gładkiem, znamionuje słabiznę i wątłość ducha. Upodobanie do tragedyi jest właściwością silnych czasów i tęgich charakterów: wymownem *non plus ultra* takiej właśnie epoki jest Boska Komedya. Bohaterskie tylko dusze umieją w tragicznem okrucieństwie mówić do siebie „tak“: są one dosyć twarde na to, aby nawet cierpienie odczuwać jako rozkosz... Przypuśćmy natomiast, że słabi zapragną korzystać ze sztuki, która nie dla nich była stworzoną. Cóż uczynią wówczas, aby tragedyę sobie uprzystępnić i smak w niej znaleźć? Oto postarają się przemycić w nią swe własne *uczuciowe wartości,* jako „tryumf obyczajności“ lub „społecznego ładu“

jako „naukę o marności życia," jako „wezwanie do rezygnacyi" (lub w końcu to na poły medyczne, na poły moralne wyładowanie afektu w sensie Arystotelesa.) Wreszcie, sztuka rzeczy groźnych, o ile pobudza nerwy, może mieć wartość bodźca dla słabych i wyczerpanych. Jest to między innemi powód do dzisiejszego przeceniania muzyki wagnerowskiej.



UDZIE STWORZENI.—Mówiąc, iż dramaturg (lub artysta wogóle) stwarza prawdziwe charaktery, wpadamy w piękne złudzenie i przesadę, dzięki którym święci sztuka zgoła niezamierzone i nadmierne już tryumfy. W rzeczywistości rozumiemy prawdziwych, żywych ludzi bardzo niedostatecznie i uogólniamy nader powierzchownie, przypisując im taki lub inny charakter. Temu zgoła niedoskonałemu naszemu stanowisku wobec człowieka odpowiada i „twórczość" artysty pod tym względem: robi on równie powierzchowne zarysy człowieka jak powierzchowną jest nasza znajomość ludzi. Zbyt wiele świecidełek i mamideł jest w tych artystycznie stworzonych charakterach; to nie są bynajmniej żywe i cielesne twory natury, lecz coś podobnego do owych namalowanych ludzi, o wiele za chudych: nie należy ich oglądać z blizka. Zwykło się nawet mawiać: charakter pospolitych ludzi przeczy sobie często, stworzony przez dramaturga jest natomiast jakby pierwowzorem, który miała na widoku natura; — lecz i to powiedzenie jest z gruntu fałszywe. Prawdziwy człowiek jest czemś zgoła *koniecznem* (nawet w tak zwanych społecznościach), niezawsze

jednak pojmujemy tę konieczność. Człowiek wymarzony, artystyczne widmo, pragnie uchodzić za coś koniecznego, jednakże wobec tych tylko, którzy i żywego człowieka zdolni są pojąć w surowych, nienaturalnych uproszczeniach psychologicznych. Kilka mocnych, często powtórzonych rysów, na to wiele światła, mnóstwo cienia i półmroków naokół, czyni zadość takim wymaganiom. Jesteśmy łatwo skłonni do uważania widma twórczej wyobraźni za prawdziwego, koniecznego człowieka, gdyż w stosunku do żywych ludzi zadowalamy się stale widmem swej wyobraźni i domysłów, grubą sylwetką, cieniem postaci, całkowicie dowolnym skrótem wzamian za całość.

Że malarz lub rzeźbiarz daje „ideę" człowieka, jest czczą gawędą i ułudą zmysłów: twierdząc coś podobnego, dajemy się tyranizować oku, gdyż ono z ciała ludzkiego widzi tylko powierzchnię, tylko skórę, a wszakże i wnętrze chociażby tego ciała tylko należy również do idei. Sztuka plastyczna wypisuje charakter ducha na skórze ciała, poezya, posiłkując się ku temuż celowi słowem, rzeźbi charakter w dźwiękach. Punktem wyjścia sztuki jest naturalna *niewiedza* człowieka o swojem wnętrzu (zarówno co do ciała i co do charakteru): sztuka nie jest stworzona dla fizyków i filozofów.

Czemże sztuka może tak bardzo nie zadowalać fizyków i filozofów? — Nad tem warto się dłużej zastanowić... Czy tem, że w opisywaniu danej kategoryi zjawisk duchowych, nawet w dowolnie przez siebie zakreślonych granicach, nie jest dosyć wyczerpującą, ścisłą, nieubłaganą, konsekwentną? że w swym głodzie prawdy nie jest dosyć rzetelną? że to, co podaje tu i ówdzie za swój cel (analiza duszy), jest w rzeczywistości jej środkiem tylko (i to jednym z wielu!), że ostatecznym i prawdziwym jej celem jest osiągnięcie wrażenia, a więc nawet wrażenia prawdy kosztem samej prawdy? że wreszcie swą intuicyą i twórczością wymyka się z pod

wszelkiej kontroli, mimo że aż nazbyt często jest tym kuglarzem, któremu należałoby właśnie jak najczęściej w garść zaglądać?

Ostrożność ta jest aż nadto zrozumiała, słuszną natomiast byłaby tylko wówczas, gdyby sztuka rościła sobie pretensye, aby jej zdobycze w dziedzinie psychologii były bezpośrednio wpisywane do księgi wiedzy ludzkiej. Tymczasem sztuka jest tu znacznie skromniejszą, acz pod innemi względami sięga o wiele wyżej. — Jeśli w danej dziedzinie (charakterystyki psychologicznej) artysta nie jest dla fizyka i filozofa dosyć wyczerpującym, zmudnym i marudnym, to dla tego przedewszystkiem, że stoi pod nieubłaganym nakazem całości swego dzieła, pod nieświadomą tyranią swej twórczej idei, niepozwalającej mu nawet wówczas, gdy na złotą żyłę natrafi, przebywać przy niej dłużej i pilniej. Jeżeli badacz naukowy z całym aparatem dzisiejszych środków pomocniczych zapuszcza się powoli, chwiejnie, ostrożnie i stopniowo w coraz to głębsze światy, — artysta psycholog podobny jest do nurka, co się nieraz na ślepo w ciemne rzuca otchłanie, przynosząc i muł zwyczajny, i robactwo głębin brzydkie, i, w całych kłębach nikczemnych glonów, może ukwiał szlachetny, może perłę na małżowinie, i może te nieznane jeszcze, ślepe twory, co tylko bez światła i tylko pod wielkiem ciśnieniem głębi życie swoje mają...

Żaden z wielkich artystów psychologów nie dawał i dawać nie mógł charakterów ludzkich tak wszechstronnie i całkowicie zaokrąglonych, aby zdołał niemi w zupełności zadowolić analityczny umysł badacza, lecz bodaj żaden z nich nie zamierzał tego uczynić... Wszystkie charaktery ludzkie stwarzane przez artystę stoją oczywiście do życia w stosunku dowolności; jednakże tkwi w nich inna wewnętrzna harmonia i konieczność: logika twórczości, której korzenie tkwią w osobniczej duszy. W stosunku do realności, stworzony charakter ludzki jest więc tylko możliwością, tylko prawdopodobieństwem i zawsze tylko ułomkiem, w stosunku do twórcy jest koniecznością, a w perspektywie jego dzieła nawet całokształtem. I kto wie, czy ta podwójna logika życia i twórczości nie wyciska właśnie na wszystkich rysach „stwarzanych" charakterów tego piętna problemu, charakteru zagadki, nakazującego wprost pytajnika, który wyzywa niechybną potrzebę odpowiedzi, rodzi konieczność zastanowienia się nad sobą?

Widmowe charaktery stwarzane przez artystę *zmuszają* do wnikania w tysiączne tajemnice duszy, potrącają wszystkie struny wspomnień, ożywiają wszystkie trupy uczuć, dobywają z żywych jeszcze kwiatów uczuć niejedną gąsiennicę fałszu, a z owoców „ży-

ciowych doświadczeń“ toczące je robactwo zgnilizny, budzą z uśpienia wszystkie nasze złe i dobre moce: i tak oto „mamidły“ oraz „błyskotkami“ artystycznego odtwarzania wiodą nas w najciemniejsze tej duszy labirynty... Po odpowiedź? po świadectwo prawdzie? po rozwikłanie „sprzeczności?“ W tych ciągłych pytaniach, które w nieskończonym łańcuchu rodzą coraz to nowe, w tem *zmuszaniu* do wgłębiania się w ludzką i własną duszę, wyczerpuje się w zwykłych warunkach zadanie artysty psychologa. Jeśli co nadto ma on do powiedzenia, to chyba jako doktryner, wreszcie jako badacz, lecz ani słowa jako artysta. Dzieło, które nie pozostawia po sobie dłuższego podźwięku poruszonych strun naszej duszy, które milknie bez echa melodyi, rozwiewa się bez kwietnej woni nastroju, kończy się zamkniętym widnokręgiem bez dalekich perspektyw, problemów, zagadek, symbolu, jednem słowem dzieło, które zadowoliłoby fizyka i filozofa, przestaje być tem samem utworem sztuki. — I w tem jest może nierzetelność artysty, jak nierzetelnem jest jego rzemiosło. Sztuka rodzi tylko głód duszy, lecz nigdy go nie zaspokaja (oczywiście, o ile zwraca się do głębszych trochę natur). Nic więc dziwnego, że analitycznego badania duszy ludzkiej zadowolić nie może. Z drugiej jednak strony, t. z. „psychologia uczuć“ wiedzą ścisłą bynajmniej nie jest i opiera się tyleż na zbiorowych zewsząd doświadczeniach, ile na wewnętrznem spojrzeniu badacza, na jego „darze“ psychologicznej analizy. Tembardziej, niewolno mu lekceważyć takich imion jak La Rochefoucauld, Shakespeare, Chateaubriand, Stendhal, Dostojewski, jeśli nie jako mistrzów, to jako bezdennej skarbnicy zawsze głębokich pytań, wciąż jeszcze żywych zagadnień.

Niewolno i dla tego jeszcze, że, warunki życia uczonego oraz kierunek jego umysłu powodują z konieczności pewne przytłumienie tych pierwiastków uczuciowych współżycia i współdrgania wewnętrznego z cudzemi namiętnościami, które twórczemu artyście dają klucz do serc i charakterów ludzkich. Przedmiotowe grupowanie materyału psychologicznego, węszenie wszędzie tego, co się właściwie w nozdrzach ze sobą przyniosło: woni i odorów klinicznych, pochopność do wtłaczania wszystkich objawów w ramy gotowego systemu, lub zrodzonej w klinice teoryi: — wszystko to nie przemawia bynajmniej za nieomylnością ich analizy, zwłaszcza jeśli idzie o tajemnicę charakterów indywidualnych.

W żadną dziedzinę sztuki nie wkrada się może tyle nieporozumień, ile w tę właśnie dziedzinę twórczą psychologii. — Chociażby, owo pominięte wprzódy milczeniem „czajenie się“ i „czyhanie“ na

własne i cudze uczucia, owo „wyzyskiwanie“ własnych i cudzych namiętności: wszystkie te czarne piętna artyzmu wydają mi się raczej modnym przesądem, w który dał się uwikłać i Nietzsche. Wprawdzie bractwo z cechu uprawia liczne eksperymenty psychologiczne, skomplikowanym aparatem pozy i patosu gnębi bezlitośnie swe kobiety, wprawdzie każdy właściciel ładnych wąsów uważa się za mistrza kobiecej psyche, każdy osiwiały oszust chełpi się znawstwem ludzkiej natury, wprawdzie niejeden pisarz, wyzyskawszy swą wyobraźnię doszczętnie, gotów popełnić lichwiarski rabunek na żywem jeszcze (!) uczuciu własnego serca: — ale czy to wszystko ma choć cokolwiek wspólnego z takiem zrozumieniem własnych i cudzych uczuć, jakie odbijać się powinno w dziele artystycznem? dziele twórczem?

Te płomykowe wybłyski ukrytych wewnętrznych bodźców cudzej duszy udzielają się naszej nieświadomie i *dlatego* może z tą siłą żywiołową, jaką posiadają wyłącznie wrażenia jeszcze nieuświadomione, jeszcze niedostrzegalne, zaledwie głucho odczute. One *wyłącznie* niosą ze sobą iskrę twórczą, tę pociągającą głąb' zagadki, tę fatalną zaraźliwość dla wrażliwej psychiki artysty (która nie jest nigdy w stanie bezwzględnej równowagi), one wreszcie rodzą ten dziwny objaw „naśladowczego musu“. Nie należy go sobie oczywiście wyobrażać jako sugestyjny automatyzm wyzwolony bezpośrednio widokiem wzoru; jest to zwykły stosunek wrażenia do reakcyi, w danym wypadku do reakcyi twórczej: jej czas i rodzaj jest całkowicie nieobliczalnym. Lecz nawet i wówczas odtwarza ów „mus“ tylko początkowo z surową naiwnością dany wzór, niebawem potęguje się on do stanu wizyjnych wprost skojarzeń, jak u somnambulika, gdzie kilka najprostszych bodźców (w danym wypadku kilka wyczutych i zapamiętanych bodźców cudzej psyche) wystarcza do wywołania wizyjnych obrazów, do odtwarzania całych scen i szmatów nowego życia z jakąś ślepą lecz bezwzględną logiką konieczności. Co było początkowo „musem naśladowczym“, staje się w ten sposób niemniej żywiołowym popędem twórczym, który na surową kanwę naśladownictwa rzuca barwny obraz nowego życia. Kanwa pierwotna zostaje nim całkowicie przysłoniętą. Przy pewnem napięciu i trwałości doprowadza ten stan do przepołowienia osobistości: na widza, o zwykłej normalnej psychice, widza zdumionego, który patrzy, pyta i bada (a więc mimo wszystko głównemi ruchami kieruje), oraz na twórczego aktora, co poruszony sprężyną nowej duszy gra z całą potęgą żywiołowego rozmachu... I tu dopiero zaczyna się analiza!

„Czajenie się“ i „czyhanie“ na siebie i ludzi, „wyzyskiwanie“ własnych i cudzych namiętności (jednem słowem, cały ten aparat zewnętrznej optyki i natychmiastowej reakcyi, zaczynającej odrazu od najwyższych stanów psychologicznego uświadomienia: od analizy) jest, jako poza demonicznego psychologizmu, wprawdzie modną, lecz całkowicie chybioną grą, gdyż świadczącą wprost przeciwnie o najrzetelniejszym braku wszelkich danych do odczucia i zrozumienia ludzkiej duszy.

„Czajenie się“, „czyhanie“... i t. d., a zwłaszcza wyzyskiwanie cudzych bólów i namiętności, może być galwanizowaniem stępiałej wrażliwości i opieszałej wyobraźni, łaknącem widoku bólu tam właśnie, gdzie samoistna treść ludzka najbardziej pociąga: u tych jeszcze własnych, jeszcze świeżych, jeszcze niezakłamanych, a więc najbardziej bezbronnych natur, — łaknącem takiego bólu na to tylko, aby tą krwią gołębią podnieść zgrzybiałego ducha i raz jeszcze ocknąć sumienie.

„Czajenie się“, „czyhanie“... i t. d., może być wreszcie pospolitem natręctwem zbieracza „wzorków“, niecierpliwością jego kliszy fotograficznej, spreparowanej na krótko i wyłącznie na kalejdoskopowe bezmyślności dnia: na „obrazki w słońcu“ i banalności w cieniu.

Wszystko, co jest prawdziwą, co jest twórczą psychologią, zjawia się znacznie później niźli pierwsze na-poły nieświadome i niekrytyczne wrażenia, zjawia się na innej, zwykle niespodzianej i nieobliczonej wprost drodze; przychodzi tem później, „im głębszą jest studnia, im dłużej kamień pada, zaczem dna dosięgnie“: nawiedza tem pewniej, im większym jest cudowny dar początkowych złudzeń, ta uparta i wbrew wszelkiej lepszej wiedzy ustawicznie odmładzająca się naiwność w stosunku do życia, ta niezniszczalna młodzieńczość duszy, która, nie wykluczając największej głębi myśli, pozostanie zawsze węgielnym kamieniem wszelkiej sztuki.

Można prześliznąć się przez życie przezornie i mądrze jak wąż, a przynieść w zdobyczy zimną i pustą duszę gadu. Można przejść przez ciernie zawodów niedołężnie i boleśnie jak niezdarne dziecko, a przynieść ze sobą, prócz poranionych stóp i dłoni, największą mądrość życia, bo jego *spotęgowanie*: sto dusz i sto światów w krwawych nieraz piersiach!

Psychologia mistrzów jest zemstą bogów na życiu i ludziach... Psychologia „talentów“ jest może odwetem zawiedzionych idealistów, zemstą na dawnych ołtarzach i na samym sobie.



DUCHOWIENIE SZTUKI. Sztuka podnosi głowę, ilekroć wpływ religii się zmniejsza. Podejmuje ona mnóstwo zrodzonych przez religię uczuć i nastrojów i staje się przez to głębszą, bardziej uduchowioną; dźwiga i podnosi na duszy, wznieca zapał i oddanie się, czego wprzódy dokonaćby nie zdołała. Gdy wzbierające powoli bogactwo uczuć religijnych wzrośnie do potężnego prądu, zrywa wówczas swe tamy, zdobywając w ten sposób nowe dziedziny i światy. Wzrastając, wiedza zachwiała jednak dogmatami religii i tchnęła wszędy głębokie zwątpienie: uczucie wyparte przez oświatę ze sfery religijnej przerzuca się na sztukę, gdzieniegdzie na politykę, tu i ówdzie nawet na naukę. Ilekroć w dążeniach ludzkich postrzegamy wyższe, ponure zabarwienie, można podejrzewać, że tkwi w nich jako pozostałość coś z mrocznych cieni świątyń, coś z woni kadzielnych i widmowych lęków.



DZMYSŁOWIENIE WYŻSZEJ SZTUKI. Nasze uszy, dzięki ustawicznemu ćwiczeniu intelektu przez współczesny rozwój muzyki, stają się coraz to bardziej intelektualnemi. Znosimy dziś daleko większą siłę tonu, znacznie więcej „hałasu“, niźli nasi przodkowie, ponieważ jesteśmy o wiele łepiej wyćwiczeni w dosłuchiwaniu się we wszystkiem zamie-

rzeń twórcy. W rzeczywistości, zmysły nasze tępieją powoli, dzięki ustawicznemu doszukiwaniu się tego, „co znaczy“ zamiast tego, „co jest“; przejawia się to stępienie między innemi w bezwarunkowem panowaniu temperatury tonów. Do wyjątków należą dziś uszy, które są w stanie czynić subtelniejsze rozróżnienia, naprzykład między *cis* i *des*. Pod tym względem uszy nasze zgrubiały niewątpliwie. Następnie, zdobywa sobie muzyka wrogie zmysłom wprzódy, brzydkie strony świata; jej zakres i potęga rozszerzyły się przez to zdumiewająco, zwłaszcza jeśli idzie o danie wyrazu rzeczom wzniosłym, groźnym i tajemniczym: — muzyka spółczesna udziela głosu rzeczom i zjawiskom, które wprzódy były całkowicie nieme. Podobnież i wielu malarzy uczyniło oko intelektualnem, wychodząc daleko poza te granice, jakie zakreślało dawniejsze wyłączne rozkoszowanie się barwą i kształtem. I tutaj rozszerzyła się sztuka na dziedziny i zjawiska uważane wprzódy za brzydkie. — Jakaż jest konsekwencya tego wszystkiego? Im bardziej myślącemi stają się oko i ucho, tem pewniej zbliżamy się do granicy, gdzie one zmysłowemi już być przestają, gdzie rozkosz artystyczna przeniesioną zostaje do mózgu, zmysły stają się tępe i słabe, symbol zastępuje byt — i oto na tej drodze zbliżamy się z takąż pewnością do barbarzyństwa jak na każdej innej. Tymczasem pocieszamy się jeszcze: świat jest szpetniejszy niźli kiedykolwiek, lecz *oznacza* on najpiękniejsze światy. W miarę wszakże jak się rozwiewać i ulatniać pocznie ta ambrowa woń znaczenia, coraz rzadszymi będą ci, którzy ją jeszcze odczuć zdołają: pozostali zatrzymają się wreszcie przy nagiej brzydocie i spróbują zażywać ją bezpośrednio, co im się oczywiście nigdy udać nie może. W Niemczech naprzykład, daje się spostrzegać dwojaki prąd kultury muzycznej: z jednej strony, garstka wykwintnych z coraz to wyższemi, wybredniejszemi wymaganiami, wsłuchująca się coraz to sub-

telniej we wszelkie znaczenia, — z drugiej, olbrzymia większość, która z roku na rok staje się mniej zdolną do pojmowania rzeczy ważkich a znaczących, nawet w formie zmysłowej brzydoty, i wreszcie sięga z coraz większą lubością po to, co samo przez się jest brzydkie i wstrętne, to jest, po wszystko nisko zmysłowe w muzyce.

To uduchowienie sztuki aż po za granice zmysłowości odbywa się więc przedewszystkiem na drodze przeładowania, przeciążenia symbolu z zewnątrz, to jest, ze strony widzów i słuchaczów, dzięki stosunkowi współczesności do dzisiejszej sztuki. Sprzyja mu przedewszystkiem dzisiejsza niezdolność do tego umiaru artystycznej rozkoszy, umiejącego smakować zarówno w obrazie symbolu jak w jego perspektywach duchowych, zarówno w zmysłowo cielesnej wizyi jak w przeczuciach i dalach myślowych.

Z drugiej strony, czy ta ambrowa woń marzenia może się ulotnić całkowicie? Czy to uduchowienie sztuki, pociągające za sobą jej odzmysłowienie, może się odbywać w nieskończoność, czy samo pojęcie symbolu nie zakreśla tu pewnych granic? Symbol nie pociąga za sobą czynności chłodno-refleksyjnej, syntetyzującej, która od zmysłowej strony zjawiska prowadzi wprost do abstrakcyi. Czyni to raczej alegorya, która w rękach artysty jest zawsze czemś chłodnem, dziełu sztuki z zewnątrz narzuconem, zwracającem się niemal wyłącznie do pamięci i erudycyi. W braku pospolitych konwencyj, zarówno plastycznej jak i duchowej natury, alegorya staje się zimnym trupem. Symbol ma *własne* życie, jest bezpośredniem wcieleniem i zobrazowaniem własnych myśli artysty, uderza przedewszystkiem w wyobrażeniowo-uczuciowe struny widza i słuchacza; zrodzony z obrazu i uczucia, pociąga za sobą symbol i w najwyższe czynności ducha kładzie coś z obrazów, uczuć i wizyj, a tem samem rodzi nie refleksye, nie pochopność do abstrakcyi, lecz niejasne przeczucia, odgadnienia: odczucia tego, co się kryje w dalekiej, czasem nieskończonej perspektywie symbolicznego obrazu. Przy pewnej długowieczności sztuki symbolicznej, i do symbolu wkraść się może pewien chłód intelektualny, i on zacznie apelować do pamięci i erudycyi słuchaczy, przyczem pierwotny, emocyonalny i wizyjny jego charakter skostnieje w konwencyi i stanie się wreszcie dostępnym tylko dla szczupłej garstki, która jedynie na drodze rozumowej po-

trafi wykrzesać zeń życie. O coś podobnego zda się pomawiać Nietzsche symbolistykę dzisiejszej muzyki dramatycznej, która „jest wtedy tylko możliwą, gdy muzyka *wyrobiła* już sobie wielką mnogość symbolicznych środków przez pieśń, operę i tysiączne próby malarstwa tonów.“



szyscy posiadamy dziś sumienie *pracowitego wieku:* nie pozwala nam to poświęcać sztuce najlepszych godzin rannych, chociażby to była sztuka najwyższa i najbardziej tego godna. Sztuka uchodzi dziś za rzecz wytchnienia i rozrywki: poświęcamy jej resztki naszego czasu i sił naszych. Jest to, niestety, stan ogólny, który zasadniczo zmienia stosunek sztuki do życia. Ilekroć zwraca się ona do nas, żądając pewnej ofiary czasu i sił naszych, ma przeciw sobie sumienie ludzi pracowitych i czynnych; pozostają jej niemal wyłącznie próżniacy i ospali, którzy już z natury swej nie mogą mieć nic wspólnego ze sztuką, a wszelkie jej wymagania uważają za pretensyonalne uroszczenia. Wróżyłoby to koniec sztuki: ten brak powietrza i swobodnego oddechu. Lecz oto wielka sztuka próbuje w pewnem zgrubieniu i zdrobnieniu zastosować się do dzisiejszej atmosfery, która jest właściwem środowiskiem tylko dla małej sztuki: sztuki wytchnienia i radosnych rozrywek. Nawet artyści wielkiej sztuki obiecują dziś wytchnienie i rozrywkę, i oni zwracają się do znużonych, i oni proszą już tylko o wieczorne godziny pracowitego dnia, — zupełnie tak samo, jak ci artyści, których jedynym celem jest rozrywka i zabawa, jedynem marzeniem zwycięztwo nad chmurną troską

zmęczonego czoła. Jakichże środków i podstępów używają ich wielcy towarzysze? Oto mają w kołczanach swoich najgwałtowniejsze środki podniecające, wobec których nawpół-umarły wzdrygnąć się jeszcze musi; posiadają oszołomienia, otumanienia, wstrząsy tragiczne i łzawe skurcze, któremi odnoszą zwycięstwo ponad znużeniem, darząc zmęczonego spóźnionym przelewem nadmiernej żywotności, olśniewającemi zachwyty i nadludzkiemi przerażeniami. Czy należy może gromić wielką sztukę za te niebezpieczne jej środki: operę, tragedyę i muzykę spółczesną? czy należy może odwrócić się od tej podstępnej grzesznicy dzisiejszej?.. Dalibóg, nie! — i ona wolałaby stokrotnie żyć w czystem środowisku i porannej ciszy, i zamiast szukać zmęczonych, zwracać się do wyczekujących, niezużytych, siłą tryskających, porankowych dusz swoich widzów i słuchaczy. Dziękujmy jej raczej, że woli żyć tak, jak dziś jedynie żyć może, niźli całkiem nas opuścić. Lecz przyznajmy i to jeszcze: jeśli nastaną czasy, które wprowadzą znów do życia radosną, pełną, świąteczną uciechę, wówczas ta dzisiejsza, ta nasza sztuka na nic się tym czasom nie przyda.

Powiedzmy dokładniej: *środki*, używane przez dzisiejszą sztukę zmienić się mogą, i z biegiem czasu zmienić się nawet muszą, bo każda epoka i jej atmosfera kulturalna będą zawsze wyciskały swe piętno na sztuce. Wszakże owoc i istota tej sztuki, jej właściwe twórcze dno, pozostaną, bez względu na szatę zewnętrzną. Przeminie tylko ta „sztuka", pod której szatą nie ukrywają się wspomniane już tylokrotnie trwałe, niezmienne i wiekuiste pierwiastki życia i duszy, zginie wszystko, co nie jest prawdziwie i głęboko twórcze. Środki w czasie i przestrzeni zmieniać się będą ustawicznie, a te dzisiejsze zmienić się muszą niekoniecznie dla tego, że staną się zbyt przerażającemi dla arkadyjskich czytelników przyszłości, lecz może wprost naodwrót, że raczej nudzić będą. Dla przykładu wspomnijmy niektóre powieści Stendhala i Balzaca. Ich zewnętrz-

ny, fabularny aparat jest chyba niemniej przeładowany romantycznemi „okropnościami“. Stendhalowski np. „Klasztor Kartuzów“ jest dzięki temu miejscami wprost uciążliwy do czytania (bynajmniej nie dla tego, że straszny); a czyż ta powieść nie żyje wciąż jeszcze, mimo swej zawiło-romantycznej, sztyletowo-drabinowej fabuły, która nas raczej nuży niż przeraża?.. Środki sztuki zamierają i więdną z konieczności jako narząd, co swoją czynność i przeznaczenie wypełnił: stają się obumarłą skorupą owocu, którą trzeba przegryźć, aby się dostać do zawsze żywego ziarna i nasienia przyszłości.

Ostatecznie, wycieczka Nietzschego zwraca się głównie przeciw operze i muzyce dzisiejszej, a więc znowu przeciw Wagnerowi. Współczesnej tragedyi we właściwem jej znaczeniu nie mamy. Widma, zbrodnie i wszelkie grozy tragedyi Szekspirowskiej nie mają ze współczesnością nic wspólnego, a jeśli jako *środki* straciły w znacznej mierze swą moc „przerażeń“, to dla tego, że i te *środki* z czasem powiędły... Należy więc być bardzo ostrożnym w potępianiu środków sztuki, które są tylko cegiełkami budowy zewnętrznej; — tem ostrożniejszym, że gotowiśmy się znaleźć tuż obok tych, co polecają zawsze i wszędzie letnią wodę mierności.

Jeżeli można mówić poważnie o wyłącznych „przerażeniach“ i „wstrząsach“ dzisiejszych utworów, to chyba w tem tylko znaczeniu, że w dzisiejszej sztuce słowa uderza dziwna dysharmonia między „małemi“ namiętnościami szarego bytu, a „kurczowem“ reagowaniem na nie. Nie należy wszakże zapominać, że właśnie ta szarość zewnętrznego życia pozwala namiętnościom wnikać głęboko i tkwić uparcie, a niemożność wyładowania ich w czynie tak łatwo je wyolbrzymia w myśli, w słowie, w geście, i ryjąc po ciemnych głębiach duszy, tak łatwo całą naturę dzisiejszych ludzi wzburza, że słaby zkądinąd bodziec wystarcza do wywołania zgoła nieproporcyonalnych odruchów (wypotwornianie doli i niedoli miłości, święcenie prawdziwych orgij wyrzutów sumienia i t. p.). Wszak tych ludzi wyróżnia od ich przodków znacznie większe uświadomienie wartości życiowych i najdrobniejszych procesów wewnętrznych, a zarazem brak woli jako skutek automatyzmu pracy, nawyknień i całego bytowania. „Wiek nerwowy“ nie jest tylko łatwym celem dla moralistów, on faktycznie stwarza tych „rozczochranych“, „rozwichrzonych“, „roztarganych wewnętrznie“, stwarza zaś nietylko jako pastwę i żer dla zdrowych a przebiegłych bestyj. Przez usta tych nieszczęśliwych wyrywa się nieraz beznadziejny krzyk dzisiejszej duszy, wywołany sumą ohyd współczesnego życia, które w trzeźwą, spokojną i solidną naturę wsiąkają biernie jako koniecz-

ność i na dnie nieporuszonej duszy układają się solidnie jako nieświadoma już obłuda. Wszak dosyć spojrzeć bez uprzedzenia na przeróżnych „immoralistów", aby ujrzeć to, co wprost na dłoni leży: że właściwie nadczułość i rozbolałość serdeczna tak nieraz twardo z nich mówi, że dla tych immoralistów moralność nie jest dosyć moralną. Czy tacy nie muszą być „roztargani" wewnętrznie? Oni, co wszystko tak doskonale czują, tak doskonale nieraz wiedzą... zda się na to tylko, aby przy całkowitym braku woli grząść podobnie jak wszyscy inni we wszelakich fałszach i brudach życia?

Czy taki stan dusz może się nie odbijać na sztuce? Czy nie będzie on z konieczności wyciskał na jej środkach pewnego piętna: tych właśnie „przerażeń i wstrząsów"?

Oczywiście, że krzyk głośny i gest obfity same przez się sztuki nigdy nie uszlachetniaja, są jednak jej piętnem czasu; dla moralisty piętnem smutnem, dla przyszłości zgoła obojętną, na poły już obumarłą skorupą, i tylko skorupą.

O długowieczności ziarna zawyrokuje to, co ono ze sobą do skorupy zabrało: czy głęboki i trwały ból człowieka, wraz ze wszystkiem, co ból z duszy ludzkiej dobywa, — czy też tylko robaka fałszu, który prędzej ziarno stoczy, nim skorupa zwietrzeje.

Tak więc o środkach dzisiejszych dzieł sztuki decyduje nietylko większy niźli kiedykolwiek nacisk duchowej atmosfery, większa niźli kiedykolwiek tyrania przepracowanych głów i znużonych serc, ale w znacznej mierze i to, że one, czytelniku, *de te fabulam narrant!*

A jeżeli mimo wszystko i ci przepracowani, a garnący się do sztuki, i ci jej twórcy (nie wyłączając Nietzschego, który bynajmniej nie przemawia w jutrzenkowej ciszy i do porankowych dusz), — jeżeli oni wszyscy tak świadomie tęsknią do spokoju, który jest piętnem każdego arcydzieła: do dumnego spokoju uświadomionego życia, do cichej, prawie niemej potęgi rzeczy wiekuistych, — to czyż ta tęsknota jest rzeczywiście przeczuciem arkadyjskich czasów dla ludzkiego ducha i jego sztuki? Czy nie jest ona raczej—znowuż tylko uświadomionym bólem, który każe nieraz nam dzisiejszym przekreślać samych siebie? znowuż tylko uświadomionemi niedostatkami, temi „oczyma, przez które człowiek ogląda ideał"?

TŁÓMACZENIE I DOPISKI
Wacława Berenta.

Fryderyk Nietzsche.


JS

Przypływ.

Ty może przejdziesz, jak mijają fale,
W grę żywiołową rzucane odwiecznie.
Czyliż ma każda perły i korale
Ławicom skalnym zostawiać koniecznie
I miotań swoich słonecznym przepychem
Kałuże barwić na wybrzeżu cichem?

Nie jest-że wolą Siły w głębiach skrytej,
Co niezliczoność fal rodzi bez końca,
Niezamącone jednej z nich błękity
Wichrom powierzać i szaleństwom słońca
I, zanim przejdzie próg wieczności nowej,
W jej rozpętaniu śnić sen purpurowy?

A dusza twoja czyliż nie jest właśnie
Takim królewskim snem ciemnej wieczności?
Dziś równa niebu blaskiem — jutro zgaśnie,
Nim się na brzegach żywota rozgości —
I, jako fale, niknąc, wracające,
Tem się uświęci, że odbiła słońce!

Delfinom złotym, orłom oceanu.
Będzie rozchwianą od wichrów kołyską,
I mewom błędnym w groźny czas orkanu
W puchu tęczowych grzyw da przytulisko,
A skrzydła gorzką tak pogryzie pianą,
Że już na zawsze razem z nią zostaną.

Ha! Lecą ptaki — białe widma burzy!
Na wodach zwiewne wykwitają mlecze.
Nie tobie falo w głąb' skalnych przedmurzy
Uciekać! Tysiąc innych fal uciecze,
A ty zostaniesz, ty mocna i jedna,
Z chmur mewy zgarniać i delfiny ze dna!

Ty może przejdziesz, jak mijają fale,
W grę żywiołową rzucane odwiecznie.
Czyliż ma każda perły lub korale
Ławicom skalnym zostawiać koniecznie
I miotań swoich słonecznym przepychem
Kałuże barwić na wybrzeżu cichem?

Michał C. Bielecki.

Dusza i ciało.

I.

Podlatuj, duszo moja, ku wyżynnym świtom!
Bądź zwiastującą słońce tęczą burz; jeziorem,
w którem księżyc swój srebrny kąpie włos wieczorem,
bądź zwierciadłem stęsknionym gwiazdom i błękitom!

ukochaj orły — górna ich bowiem kołyska!
i świt kochaj, co słońca pożogę roznieci,
ukochaj zmierzch, bo gwiazdy przygasłe rozświeci,
piorun kochaj, choć niszczy — bo potęgą błyska!

i dusze te ukochaj, co, z ziemskości sideł
wyrwawszy się, płomienną wichurą swych skrzydeł
w przepaść strącają nocne z piedestałów bogi!
Lecz biada ci, zaiste, na zawrotnym szlaku
jeśli słońcu spojrzawszy w twarz, zadrżysz od trwogi:
ja w proch mą własną stopą zdepczę cię —
robaku!

II.

Rozkosznie nagie ciało blask mi ciepły pieści,
a zaś duszę — tęsknotą skrzydlatego gońca —
w błękitną nieskończoność wysłałem — do słońca,
wsłuchany, jaką z wyżyn pieśń mi wyszeleści...

Pocałunki ogniste na mą pierś nikczemną
rzuca słońce, na które dusza moja padła,
naga — w świetle niezmiernem z trwogi drżąc — wybladła,
w bolesnym wstydzie tęskniąc za otchłanią ciemną...

I nagle — że na głowę mi słońca pożoga
nie spadła! — usłyszałem stąpanie — i trwoga
wstrząsnęła mną — tak kroczy niezwalczony potwór!
Było, jakby ogromne pękły gdzieś wrzeciądze
i olbrzym druzgocący wypadł przez ich otwór —
i słyszałem kroczącą lwiemi kroki — — żądzę!!!

Campanella.

O słonecznej cud-królewnie i o rybaku — baśń.

Cud-królewna złotowłosa, piękna jak zorza,
Siedzi w słońcu na tarasach nad brzegiem morza.

Włosów swoich zwój grający, warkocz harfiany,
Opuściła na topiele, na srebrne piany,

I tak siedzi zasłuchana w słoneczną ciszę,
A warkocze jej grające fala kołysze.

Modre oczy cud-królewny, dwa Boże gońce,
Wyleciały na niebiosa, na złote słońce,

Wyleciały jak orlice śmiałemi loty,
Utonęły w tarczy słońca, w jasności złotej. —

Biały żagiel, skrzydło śnieżne, błysnął w oddali...
Łódź rybacza mknęła chyżo po modrej fali.

Szybowała z ciepłym wiatrem jak lotna mewa
Do królewny, której warkocz na fali śpiewa.

I zapytał młody rybak ze swojej łodzi:
„Ktoś ty, Pani zadumana w słońca powodzi?

„Ktoś ty, Pani krasą lica podobna róży,
„Która patrząc w oko słońcu płatków nie mruży?

„Otom rozwiał na wsze wiatry żagle tęskniące,
„Szukający oczu jasnych wpatrzonych w słońce...

„Umęczone moje serce i żagle moje, —
„Zaż przy twoich stopach, Pani, tęskność ukoję?“

Cud-królewna z swego brzegu odrzekła smutnie,
A głos dzwonił nad wodami jak złote lutnie:

„Nie rozumiem ciebie, Panie, ciemne twe słowa,
„Noc wieczysta lice twoje przede mną chowa.

„Mrok tajemnic mię otacza, groza bez końca!
„Tęsknię jeno a wyglądam, nie widzę słońca!

„Ślepe oczy ślę na błękit skargą daremną,
„A szumiące wielkie morze płacze nade mną...“

I powracał na głębiny żagiel, ptak biały,
A warkocze cud-królewny na falach grały.

Bronisława Ostrowska.

Myśl.

Myśl nieba nie dosięgnie — rozbije się, wstrzyma
Na złotym kręgu słońca, jak tarczy olbrzyma,

— Ale może w przetworów zawiśnie ogromie
Jako gwiazdy dalekiej tajemnicze płomię.

Myśl wieczności nie zgłębi — lodowate mroki
Wyrzucą ją ze siebie, jak topielca zwłoki.

— Ale może z otchłani, co jej grobem będzie,
Pierwej kotew swej łodzi straconą dobędzie.

Stanisław Wyrzykowski.

Poeta.

W chwili, gdy siebie samego objąć chciał geniusz natury,
Ciebie zrodził, poeto! Od niego wywodzisz swój ród.
W sercu twem zamknął żywioły; twej myśli potężny dał rzut,
Większym cię czyniąc władyką, niż ci, których zdobią purpury.

Wiecznie ten sam, choć odmienny, — jak obłok rzucony
[w lazury,
Błędne ścigasz gwiaździce, choć wiesz, że daremny to trud;
Znów, — niby leśne źródliska, napój rzeźwiący i chłód
Wiecznym dajesz wędrowcom, co znają przepaście i góry.

W głąb', jako morze bogatą, — we własną duszę wpatrzony,
Jesteś nurkiem i tonią — taki już cudny twój los.
Połów swój ludziom oddajesz, nie bacząc, co z nim uczynią.

W złoto-li perłę oprawią, porzucą-li skarb nieceniony —
Wielki bogaczu! ty wiesz, że zawsze jest pełen twój trzos.
Wiesz, że rozrzutne twe serce jest Boga jedyną świątynią.

Maryan Zbrowski.

Dom „pod tonącą gwiazdą.“



ojko padł ciężko z powrotem na łóżko, piana wystąpiła mu na usta, wykrzywione, drgające, z których dobywał się potworny, nieludzki ryk jak gdyby konającego zwierzęcia. Nawykłem w szpitalu do wielu rzeczy, ale tego widoku znieść nie zdołałem, włosy zjeżyły mi się na głowie, trząsłem się całem ciałem, i przyszło mi na myśl niewyraźne wspomnienie, żem kiedyś w Czechach słyszał kobietę z ludu, mówiącą: „strachy mnie obłażą...“ I mnie teraz obłaziły strachy. Przemagając się gwałtem, udzieliłem choremu najpilniejszej pomocy, a gdy się tak dalece opamiętał, że przestał jęczeć i krzyczeć i nieruchomie leżał na łóżku, uciekłem, jak ścigany przez widma, z domu „pod tonącą gwiazdą.“

Przemogłem się po godzinnem mniej więcej bieganiu

bez celu po ulicach — był to rezultat wszystkich różnorodnych, gwałtownych, wstrząsających wrażeń tego dnia — i wróciłem do Rojka, aby przy nim noc spędzić. Nie mogłem go przecież zostawić bez dozoru, a oprócz pani Celestyny, mającej już zbyt wiele zajęcia z Wirginią i spółmieszkankami swemi, nie było nikogo w domu; zajmująca się zazwyczaj skromnem gospodarstwem Rojka jakaś małomówna, nawpółgłupowata kobieta z pierwszego piętra przydać się mogła zaledwie o tyle, o ile trzeba było zamieść, posłać łóżko i przynieść wody lub węgli. Zostałem tedy sam u Rojka — i, wbrew wszelkim oczekiwaniom, chory spędził noc tę bardzo spokojnie. Leżał w letargicznem jakiemś obezwładnieniu, a pod rano w sen zapadł ciężki. Sam nie zdołałem oka zmrużyć ani na chwilę. Ciągle te „strachy mnie obłaziły," a największym z nich było to, żem zaczynał jakoś nazbyt jasno pojmować ową „rozkosz, wynikającą ze świadomości popełnionej zbrodni"! Miałem chwilami uczucie, że pragnąłbym jej doznać, że zazdroszczę zbrodniarzom. Było to jak błyskawica nagła nad otchłaniami i bezdennemi wodami, błyskawica odsłaniająca ich ukryte, groźne, ale przewspaniałe, śmiertelnie nęcące czary i cuda. Wówczas chwytałem się za głowę, jak gdyby bojąc się o resztkę swego rozumu. A potem, gdym te myśli odpędzał od siebie i zażegnywał, wydawało mi się, że widzę oczy lorda Angusa, adepta wiedzy tajemnej, patrzące na mnie i jak gdyby rozpoznające we mnie jednego z tych, którzy pragną „wtajemniczenia"! Dawne marzenia i tęsknoty, aby poznać się z kimś, coby mnie przeprowadził przez tajemniczy próg, za którym leży świat nieznany, jęły burzliwie roić mi się w duszy. Nie były to zatem próżne marzenia, tacy ludzie żyli, można było zetknąć się z nimi na odludnych ulicach, można było odgadnąć ich, wejść z nimi w sojusz!! — W głowie mi się kręciło, a gdym patrzał przez okno na starą, odwiecz-

ną noc, odmłodzoną białemi gwiazdami, miałem sam duszę pełną gwiazd; w ciemności mrowiły mi się przed oczyma długie karawany ciągnących przez bezbrzeżne przestworza duchów i tworów nadludzkich, aniołów i larw, geniuszów i potworów; wszyscy przywoływali mnie skinieniami, wszyscy jakby witali między sobą; w głębi bezmiernej zadrgała, zdało się, olbrzymia, mglista, przezrocza a jednak nieprzenikniona zasłona, kryjąca prawdy najwyższe, i serce burzliwą, szaloną zabiło mi nadzieją, że kiedyś zdołam unieść choć skraj jej skraju! Pół stulecia przeżyłem i przemarzyłem w tę krótką noc!..

Rano pobiegłem do domu, rzuciłem się na łóżko, znużony śmiertelnie, i w głęboką, tępą zapadłem niepamięć...

Dwa dni chorowałem i dopiero pod wieczór tego drugiego dnia zdołałem podnieść się i pójść do domu „pod tonącą gwiazdą“. Wstąpiłem naprzód do Wirginii. Była już prawie zdrowa, choć rany trzeba było jeszcze przewiązać; za to na duchu upadła bardzo.

— Dałam mu wiedzieć przez chłopaka od szewca na dole, — rzekła, — że mu przebaczam i że go proszę, aby przyszedł. Potem posłałam mu większą część tych pieniędzy od pana. Pieniądze przyjął i obiecał, że wpadnie do mnie, — ale nie przyszedł. Arsenek, chłopak od szewca, widział go dziś po południu na skwerze za kościołem Notre-Dame; siedział pod drzewem z młodą kobietą. Ach, panie, jakażem ja nieszczęśliwa!

Umilkła i pogrążyła się w zadumie. Siedziała ze spuszczonemi oczyma, nie wiedziała, co do niej mówię, o co ją pytam, odpowiadała krótko, z roztargnieniem, byle co. Opuściłem ją w tem smętnem znużeniu, którego nie ukrywała, i zaszedłem do „klatki obłąkanych.“ Tam był spokój zupełny. Antonia zaplatała sobie włosy i z uśmiechem zadowolenia przeglądała się w swem lusterku, biedna margrabina kołysała skraj swej kołdry, a pani Celestyna

przygotowywała jakiś pokarm. Miły, pełny rezygnacyi jej uśmiech wywarł na mnie wpływ dobroczynny poprostu; jej spokój i rzeźkość przy pracy podziałały na mnie kojąco. Ta kobieta miała siłę i odwagę do walki, która zowie się życiem. Porozmawialiśmy chwilę cicho o „naszych pacyentach“ — i poszedłem do Rojka.

I tam znalazłem tym razem wszystko dobrze, przynajmniej względnie. Był wprawdzie niezmiernie osłabiony, ale straszliwe wzburzenie minęło; skarżył się tylko, że ma wszystkie członki jakby zbite i połamane. Powiedział mi, że wydaje mu się prawdziwą rozkoszą leżeć bez ruchu, jak zwalone drzewo. Żaden z nas nie zrobił najlżejszej wzmianki o niedawnej okropnej scenie, o strasznych jego wspomnieniach i spowiedzi przerażającej. Ja też byłem jak „zbity“ i nie miałem ochoty do rozmowy. Wyjąłem z kieszeni kupioną po drodzę gazetę i zacząłem z niej coś czytać głośno. Ale nic nie zajmowało ani mnie, ani Rojka — i rzuciłem dziennik na ziemię.

— Jeżeli chcesz mi pan coś przeczytać, — rzekł Rojko, — w takim razie otwórz, proszę, dolną szufladę sekretarzyka. Jest tam zielono oklejona teka, a w niej trocha zapisanych papierów. Śród nich znajdziesz pan kopię małego arcydziełka de Quincey'a: „Lewana i trzy najświętsze matki boleści.“ Umiem ten utwór prawie na pamięć, ale posłuchałbym chętnie, gdybyś mi go pan chciał przeczytać.

We wskazanem miejscu znalazłem rękopis i zacząłem czytać głośno. Z początku, tylko dla tego, że Rojko o to prosił, wkrótce wszakże treść tak mnie zajęła, że zapomniałem o wszystkiem, prócz tego, co czytałem. Podaję tu wolny przekład, który sporządziłem sobie kiedyś później, bo utwór ten nie przestał już nigdy zajmować mnie głęboko. Oczarował mnie, w poważnem słowa znaczeniu, odrazu w ciągu pierwszego tego czytania.

Lewana i matki bólu.

Częstokroć w Oksfordzie widywałem we śnie Lewanę. Poznawałem ją po rzymskich jej symbolach. Któż to jest Lewana? Czytelniku, który nie masz zbyt wiele czasu na zdobywanie wielkiej uczoności, nie rozgniewasz się zapewne, jeśli ci to powiem. Lewana była to bogini rzymska, która spełniała przy nowonarodzonem dziecięciu pierwszą posługę uszlachetniającej łaskawości, obrazując w postępowaniu swem wielkość, która człowiekowi wszędzie jest właściwą, oraz dobrotliwość mocy niewidzialnych, które i w świecie pogańskim zstępują niekiedy, aby mu być podporą. W samej chwili narodzin, zaledwie niemowlę po raz pierwszy odetchnęło powietrzem smutnej naszej planety, kładziono je na ziemi. Wnet potem wszakże, aby tak wzniosłe stworzenie nie czołgało się w prochu dłużej nad okamgnienie, ojciec, w zastępstwie bogini Lewany, albo jaki blizki krewny, w zastępstwie ojca, podnosił dziecię w górę, nakazywał mu, aby z wysoka obejrzało się dokoła, jako król całego tego świata, i zwracał czoło jego ku gwiazdom, mówiąc w sercu, być może: „Patrzcie, oto coś większego niż wy!“

Symboliczny ten obrządek wyobrażał obowiązki Lewany. I tajemnicza ta pani, która nigdy przed nikim nie odsłoniła twarzy (wyjąwszy mnie, we śnie) i zawsze działała przez zastępców, otrzymała nazwisko od słowa łacińskiego (które dotąd jest słowem włoskiem): l e v a r e, podnosić w górę.

Oto jest wyjaśnienie nazwiska Lewany. Ztąd poszło, że wielu uważało Lewanę za opiekuńczą moc, czuwającą nad wychowaniem dzieci. Ona, która przy narodzeniu niemowlęcia znieść nie mogła nawet udanego, obrazowego poniżenia istoty oddanej pod czcigodną jej opiekę, zdołałażby ścierpieć istotne poniżenie dziecka, wynikające

z nierozwijania wrodzonych mu zdolności? Czuwa tedy nad wychowaniem człowieka. — — Przez wychowanie Lewany rozumieć wszakże należy nie nędzną ową maszynerye, poruszającą się przy pomocy elementarzy i gramatyk, lecz potężny system zogniskowanych sił, ukryty w głębokiem łonie życia ludzkiego, który, przez namiętność, walkę, pokusę, energię odporną, oddziaływa nieustannie na dzieci, nie zatrzymując się ani we dnie ani w nocy, podobnie jak nie zatrzymuje się ani na okamgnienie samo potężne koło tych dni i nocy, których chwile, niby niezmordowane, migające w przelocie szprychy wiecznie się obracają. Jeżeli wszakże przez takie pomocnice dokonywa Lewana dzieła swego, jakąż głęboką musi mieć cześć dla oddziaływania bólu! Ale ty, czytelniku, myślisz zapewne, że dzieci wogóle nie podlegają takiemu bólowi jak mój? Nie chcę twierdzić, że powszechnie są doń zdolne. Ale jest więcej, niż przeczuwacie, takich, które umierają z żalu. Opowiem wam zwykły przypadek. Przepisy szkoły w Eton wymagają, aby chłopiec spędził tam lat dwanaście. Wychodzi ztamtąd w ośmnastym roku życia, wstępuje tedy w szóstym. Dzieci, oderwane w tym wieku od matek i sióstr, często bardzo umierają. Mówię tylko to, co wiem. Choroby ich żaden wykaz nie nazwie żalem — a jednak jest n i m ona. Żal tego rodzaju i w tym wieku zabił dzieci więcej, niż kiedykolwiek liczono jego ofiar. Dla tegoto Lewana styka się często z mocami, które wstrząsają ludzkiem sercem; dla tego także ukochała tak namiętnie ból.

„Te panie,“ szeptałem cicho do siebie, patrząc na pomocnice, z któremi rozmawiała Lewana, „są to Boleści, a jest ich trzy, jako są trzy Gracye, które pięknem zdobią życie człowieka; trzy również są Parki, które tkają ciemne arrasy życia ludzkiego na tajemniczych swoich krosnach, zawsze w barwach poczęści żałobnych, a nie-

kiedy, gniewnie, tragicznym szkarłatem i czernią; trzy również są Furye, które, na wołanie, przychodzą z drugiej strony grobu mścić winy spełnione po tej stronie; a niegdyś trzy tylko były również Muzy, które dostrajały harfę, trąbę i lutnię do wielkich nawrotów namiętnej twórczości ludzkiej. To zaś są Boleści, które znam wszystkie trzy.“ Ostatnie słowa mówię teraz, w Oksfordzie mawiałem: „z których jedną znam, a dwie pozostałe poznam aż nadto pewnie.“ Bo już w wiośnie mojej młodości widywałem (mglisto rysujące się na ciemnem tle mych snów) niewyraźne kontury tych sióstr straszliwych. Te siostry — jakże mam je nazwać? Jeżeli powiem poprostu „Boleści,“ nazwa mogłaby łatwo zostać źle zrozumianą, ktoś mógłby pomyśleć, że mowa o boleści osobistej, o poszczególnych wypadkach boleści, podczas gdy ja potrzebuję terminu wyrażającego potężne abstrakcye, które wcielają się we wszystkie indywidualne cierpienia serca ludzkiego, i staram się przedstawić je w uosobieniach, to jest, odziane w ludzkie właściwości życia i obdarzone funkcyami przypominającemi ciało. Nazwijmy je tedy „Matkami boleści.“ Znam je doskonale i przewędrowałem wszystkie ich królestwa. Trzy są to siostry z jednej tajemniczej rodziny; drogi ich rozbiegają się daleko od siebie, ale państwo ich nie ma kresu. Widywałem je zatem często, jak rozmawiały z Lewaną; niekiedy rozmawiały o mnie. Więc one mówią? Oh, bynajmniej! Potężne widziadła, jak one, gardzą niedoskonałościami mowy. Mogą wydawać głosy przez narządy człowieka, kiedy mieszkają w ludzkich sercach, ale między sobą nie znają ani głosu, ani dźwięku; wieczne milczenie panuje w ich królestwach. Nie mówiły, gdy rozmawiały z Lewaną, nie szeptały, nie śpiewały, choć nieraz mi się zdawało, że mogłyby były śpiewać, bo często na ziemi słyszałem tajemnice ich rozwiązywane na harfie i tamburynie, na cymbałkach i organach. Jak Bóg,

któremu służą, wyjawiają one życzenia swe nie dźwiękami, które giną, nie słowami, które błądzą i zawodzą, lecz znakami na niebie, przewrotami na ziemi, falowaniami ukrytych rzek, znakami heraldycznemi, rysującemi się na tłach ciemności, i hieroglifami wyrytemi na błonach mózgowych. One wirowały bezładnie, jam liczył ich kroki, One telegrafowały z oddali, jam odczytywał ich sygnały. One spiskowały, moje oko w zwierciadłach ciemności śledziło ich knowania. Ich były symbole, słowa są moje.

Czem są te siostry? Co robią? Opiszę ich postać i obecność, jeżeli postacią nazwać można to, co ciągle rozpływało się w konturach, albo jeżeli obecnością było wieczne wyrywanie się na przód lub znowu wieczne cofanie się między cienie.

Najstarsza z trzech sióstr zwie się *Mater Lachrymarum*, Matka łez. Ona to dzień i noc wyrzeka i szaleje, przywołując znikłe oblicza. Stała w Ramie, kędy słychać było głos biadający, — głos Racheli opłakującej dzieci swe i odrzucającej wszelką pociechę. Stała w Betlehem, onej nocy, gdy miecz Heroda pustoszył kolebki Niewiniątek, gdy wstrzymane zostały na wieki drobne kroczki, których dreptanie, posłyszane na górze w dziecinnych pokojach, budziło w kochającem sercu domowych owe bicia radosne, niepozostające bez echa nawet w niebiosach. Oczy jej są to słodkie, to przenikliwe, to namiętne, to senne, na przemiany; często wznoszą się ku obłokom, często wyzywają niebo. Na głowie nosi dyadem. A ze wspomnień dziecięcych wiedziałem, że może z wiatrami ulatać daleko, gdy usłyszy szlochy litanij lub grzmot organów, albo gdy ujrzy procesyę chmur letnich. Ta siostra, najstarsza, nosi u pasa klucze, mocniejsze od papieskich, otwierające każdą chatę i każdy pałac. Siedziała, wiem to napewno, przez całe przeszłoroczne lato u łoża ślepego żebraka, tego samego,

z którym tak często i tak chętnie gwarzyłem, i którego ośmioletnia, zbożna córka, o słonecznej twarzyczce, oparła się pokusom zabaw i wiejskiego wesela i wędrowała całemi dniami po pylnych gościńcach z nieszczęsnym ojcem swoim. Za to zesłał jej Bóg wielką nagrodę. W wiosennej porze roku, gdy jeszcze jej własna wiosna kwitła najbujniej, powołał ja z powrotem do siebie. Ale ślepy ojciec ciągle ją opłakuje; zawsze jeszcze śni mu się o północy, że mała rączka, która go prowadzała, spoczywa dotąd w jego ręce, i zawsze budzi się w ciemnościach, które teraz nową, głębszą stały się dlań ciemnością. Taż sama Mater Lachrymarum siedziała przez całą zimę czterdziestego piątego roku w łożnicy jednego z królów i wyczarowywała mu przed oczyma córkę (niemniej zbożną i kochającą), która odeszła do Boga niemniej przedwcześnie i nagle, i zostawiła po sobie ciemność niemniej głęboką. Za pomocą kluczy swych, wślizguje się Matka łez, widmowy gość nieproszony, w komnaty bezsennych mężów, bezsennych kobiet, bezsennych dzieci, od Gangesu do Nilu, od Nilu do Mississippi. A ponieważ jest pierworodna w swym rodzie i ma królestwo najrozleglejsze, uczcimy ją tytułem „Madonny.“

Druga siostra zowie się *Mater Suspiriorum*, Matka westchnień. Ona nigdy nie stąpa po obłokach, nie ulatuje daleko z wichrami. Nie nosi żadnego dyademu. Oczy jej, gdyby można je było dojrzeć, nie byłyby ani słodkie, ani przenikliwe; żaden człowiek nie zdołałby odczytać w nich jej dziejów; znalazłby tylko bezładne mnóstwo zamierających snów i szczątków zapomnianego szału. Ale ona nie podnosi nigdy oczu; głowa jej osłonięta podartym zawojem, zwisa zawsze na piersi, chyli się zawsze ku ziemi. Nie płacze. Nie jęczy. Wzdycha tylko co jakiś czas niedosłyszalnie. Siostra jej, Madonna, bywa częstokroć gwałtowna, rozszalała, miota się z zapalczywością najwyż-

szą przeciwko niebu i żąda zwrotu swych ukochanych. Matka westchnień nie krzyczy, nie wyzywa, nie śni nawet o buntowniczych aspiracyach. Jest pokorna aż do nikczemności. Ma łagodność istot beznadziejnych, szemra niekiedy, ale tylko we śnie. Szepcze, ale tylko do siebie o zmroku. Podnosi głos niekiedy, ale tylko w odludziach równie posępnych jak ona, na ruinach miast, gdy słońce odeszło na odpoczynek. Ta siostra odwiedza paryasów, galerników, wygnańców wymazanych z księgi pamięci, zgnębionych pokutników, wpatrzonych wiecznie w samotny grób, wydający im się zwalonym ołtarzem jakiejś dawnej krwawej ofiary, na którym żadne już objaty, ani ubłagalne i przebaczenia żądne, ani wywołane chęcią zadośćuczynienia, nic pomódz nie mogą. Niewolnik, spoglądający w południe z bojaźliwym wyrzutem na słońce zwrotnikowe i jedną ręką wskazujący na ziemię, tę wspólną naszą matkę, a dla niego macochę, drugą zaś na biblię, dla niego zamkniętą i zapieczętowaną; — kobieta, siedząca w ciemnościach, bez miłości, która mogłaby zbawić jej głowę, bez nadziei, którąby rozjaśniła jej samotność, cierpiąca, ponieważ zrodzone z niebios popędy, które budzą w niej zarodek świętych tkliwości, zdeptane zostały przez konieczności społeczne, i płoną teraz mdło, i dogorywają niby lampy grobowe w starożytności; — mniszka, ograbiona z niepowrotnej wiosny życia przez złych krewnych, których Bóg osądzi; — wszyscy więźniowie w ciemnicach; wszyscy zdradzeni i wszyscy odrzuceni; wszyscy wywołani ze społeczeństwa przez prawa tradycyjne; wszystkie dzieci klątwy dziedzicznej, — wszyscy Matkę westchnień za nieodstępną mają towarzyszkę. I ona nosi klucz; ale mało go potrzebuje. Bo królestwo jej jest przedewszystkiem pośród namiotów Sema i śród bezdomnych włóczęgów pod wszystkiemi niebami. — — —

Ale trzecia siostra, która zarazem jest najmłodszą

— — — cicho! szeptem jedynie mówmy o n i e j. Królestwo jej nie jest wielkie, inaczej plemię nasze dawnoby nie istniało; ale w państwie tem wszystka władza do niej należy. Głowa jej, uwieżona jak głowa Cybeli, wystrzela prawie po za dościgłość wzroku. Nie zwisa ona nigdy; i oczy jej, wzniesione tak wysoko, mogłyby być niewidoczne przez oddalenie. Ale, będąc, czem są, nie mogą być niewidoczne. Przez potrójną krepę, która osłania jej głowę, bucha dzikie światło płomienistej nędzy, nie gasnące nigdy, rankiem ani wieczorem, o południu ani o północy, podczas przypływu ani podczas odpływu. Ona bluźnierczo wyzywa Boga. Ona jest matką lunatyzmów i rodzicielką myśli samobójczych. Korzenie jej potęgi leżą głęboko; ale plemię, którem rządzi, jest nader nieliczne. Bo zbliżać się ona może tylko do tych, którym najwewnętrzniejsze konwulsye wywróciły ode dna głąb' natury, do tych, których serce drży, a mózg zatacza się śród sprzysiężenia burz wewnętrznych i zewnętrznych. Madonna posuwa się niepewnym krokiem, szybko lub zwolna, ale zawsze z wdziękiem tragicznym. Matka westchnień przemyka się trwożnie i ukradkiem. Ale najmłodsza siostra nieobliczalnemi zbliża się ruchami, tygrysim spada skokiem. Nie nosi ona żadnego klucza, bo, chociaż rzadko zjawia się między ludźmi, wysadza siłą drzwi, w które wogóle wolno jej wstąpić. A imię j e j jest *Mater Tenebrarum* — Matka ciemności.

To były tedy *Semnai Theai* czyli Wzniosłe Boginie, to były Eumenidy czyli miłościwe Panie (z trwożnie pojednawczem pochlebstwem zwane tak w starożytności), które nawiedzały me sny w Oksfordzie. Madonna mówiła. Mówiła tajemniczą swą ręką. Dotykając mej głowy, zagadnęła Matkę westchnień, a to, co mówiła, przełożone ze znaków, których nikt (z wyjątkiem we śnie) odczytać nie zdoła, brzmiało, jak następuje: „Patrz! oto ten, którego-m już

w dziecinnych jego latach poświęciła ołtarzom swoim. Oto ten, którego zdawna wybrałam za kochanka; zaprowadziłam go na błędne drogi, uwiodłam go, ukradłam niebu młode jego serce i swojem je uczyniłam. Przeze mnie stał się bałwochwalcą; pod moim wpływem, z upragnieniem namiętnem, ubóstwił robaka ziemnego i do robaczliwego modlił się grobu. Świętym był mu grób; miłą ciemność jego, świętą jego zgnilizna. Przygotowałam dla ciebie tego młodego bałwochwalcę, droga, szlachetna siostro westchnień! Weź go teraz ty, przyciśnij do serca i przygotuj dla naszej straszliwej siostry. A ty“ — dodała, zwracając się do *Mater Tenebrarum*, — „ty, siostro zła, która wiedziesz na pokuszenie i nienawidzisz, weź go od niej. Bacz, aby berło twe ciężko spoczęło na jego głowie. Nie ścierp, aby kobieta ze swą tkliwością zbliżyła się doń w jego ciemnościach. Odpędź odeń każdą słabość nadziei, spal każdą słodycz miłości, wysusz zdrój jego łez, przeklnij go tak, jak tylko ty przeklinać umiesz! W ten sposób, wyjdzie z ognia doskonałym; w ten sposób ujrzy rzeczy, których nie powinnoby się widzieć, ujrzy widowiska, które są ohydą, pozna tajemnice, których wysłowić niepodobna. W ten sposób, czytać będzie mógł prawdy starożytne, prawdy smętne, prawdy wielkie, prawdy straszliwe. W ten sposób, zmartwychwstanie, zanim umrze, i spełni się posłannictwo, które nam Bóg powierzył — mianowicie, aby udręczać serce jego, dopóki zdolności jego ducha w pełni się nie rozwiną.“ — — —

Doczytawszy, spojrzałem na Rojka. Siedział na łóżku, nieruchomie utkwiwszy we mnie oczy. Wyraz jego spojrzenia był zagadkowy.

— Dręczyły mnie te trzy siostry, — rzekł. — Czy nie zdumiewa to pana, że de Quincey mógł tak pisać, jakby znał mnie i moje losy. Czytałem owe smutne prawdy, serce moje było w owym ogniu, ale zdolności mego du-

cha żadnej z tych mąk nie odniosły korzyści. Teraz dokoła mnie mrok, mrok, mrok... o, Mater tenebrarum! Cały-m już twój! Przegrałem, padłem, zginąłem...

Oczy miał jakby szklane, rękoma rzucał błędnie dokoła siebie, jakgdyby padając istotnie i chcąc uchwycić się czegoś. Z westchnieniem tak ciężkiem, jak wówczas w kościele św. Juliana, gdy pierwszy raz go ujrzałem, w głębokie zapadł omdlenie.

Od tego dnia nie opuszczałem już prawie Rojka; wiedziałem, że śmierć jego jest blizka. Właściwie mówiąc, zamieszkałem u niego. Nie wiem, czy wiedział o tem; był zupełnie apatyczny, nie mówił nic, patrzał tylko przed siebie w tępem jakiemś osłupieniu. Ja sam prawie nie żyłem, atmosfera tego domu, pełna boleści i tajemnicy, ciężyła mi nie do wypowiedzenia. Zdawało mi się nieustannie, że widzę mrowiące się w niej cienie, postacie, widziadła. Zwłaszcza trzy opisane przez de Quincey'a siostry straszyły mnie z każdego ciemnego kąta, a niekiedy miałem wrażenie, że Matka ciemności kładzie mi na skroniach groźne swe ręce. Przerażała mnie zielona zasłona w przedpokoju, za którą niepotrzebne walały się sprzęty: tam, dla mej wyobraźni, kryła się zawsze Mater tenebrarum — — —

Pewnego rana zapukała do drzwi pani Celestyna. Otworzywszy, w ogromnym znalazłem ją niepokoju.

— Panie, — szeptała, — na Boga, pójdź pan ze mną! Myślę, że stało się wielkie nieszczęście.

Pobiegłem za nią niezwłocznie. Na korytarzu pani Celestyna ciągnęła dalej:

— Przez cały dzień wczorajszy widziałam Wirginię raz tylko, wczesnym rankiem. Była zapłakana, blada, i robiła wrażenie istoty nad miarę nieszczęśliwej. Na pytanie moje, co się stało, odpowiedziała, że życie nieznośnym stało jej się ciężarem. Ów wojskowy nie przyszedł już i kazał jej powiedzieć w grubiański sposób, że wogóle już

nie przyjdzie. Pobiegła do niego, zbił ją na ulicy, zrobiło się z tego widowisko dla gawiedzi. Na moje namowy, aby pogodziła się z losem, odpowiadała tylko gniewnemi spojrzeniami. Zamknęła drzwi przede mną. Zaczęłam pukać, przeczucie jakieś nie dawało mi spokoju. Odtąd pukałam już trzy razy, nikt się nie odzywa, nikt nie widział Wirginii. Boję się, że popełniła samobójstwo.

Staliśmy już przede drzwiami, pani Celestyna zapukała znowu kilkakrotnie, a w końcu, zaniepokojona, jęła bić we drzwi pięściami. Przemawiałem do Wirginii z poza drzwi, aby się przynajmniej odezwała. Nie było żadnej odpowiedzi. Tymczasem, na hałas, jaki robiliśmy, jęli się zbiegać sąsiedzi i jeden z nich zawołał:

— Niema wątpliwości, że popełniła samobójstwo! Patrzcie, dziurka od klucza zatkana jakimś gałgankiem! Tak robią wszyscy, którzy chcą udusić się czadem węglowym!

Przez chwilę była martwa cisza po tych słowach, wnet potem wszakże zgiełk powstał ogromny, i zanim się spodziałem, drzwi mieszkania Wirginii zostały wysadzone. Mocny zapach gazu i czadu, wydobywający się z pokoju i napełniający korytarz, przekonał nas w okamgnieniu, że sąsiad ów miał słuszność. Zabrzęczały okna, rozbite przez pierwszych, którzy ich dopadli, i po chwili rozglądaliśmy się po pokoju. Dwie żelazne fajerki, napełnione popiołem i nawpół spalonemi węglami, objaśniły nas, w jaki sposób Wirginia śmierć sobie zadała. Leżała uduszona na łóżku; tuż obok na stoliku stała fotografia owego wojskowego, uwieńczona kwiatami; koło fotografii leżało serce woskowe, przebite wielką szpilką, a na stole widniały wypisane kredą splecione inicyały L. i W.

Po pierwszych okamgnieniach przerażenia i zgrozy, towarzyszących zawsze śmierci, podczas gdy nadaremnie próbowałem przywołać Wirginię do życia, zaczęli się nie-

którzy wyśmiewać z sentymentalizmu tej podstarzałej już kobiety. Ja wszakże z panią Celestyną nie śmieliśmy się; tragiczna ta śmieszność wzruszała nas raczej.

Zanim zamknięto drzwi i posłano po komisarza policyi, obejrzałem się mimowoli po pokoju. Oczy me zabłądziły ku oknu; klatka, w której śpiewało zawsze małe ptaszę, była otwarta i próżna, Wirginia przed odebraniem sobie życia, darowała mu wolność. Miałem wrażenie, jakgdyby ucha mego dobiegł piękny akord, cichy, przeciągły, jakieś słodkie zadrgnienie strun pośród wrzawy brutalnych głosów dnia powszedniego. Przypomniałem sobie małego śpiewaka; sennie, marząco mignął mi w wyobraźni, zdało mi się, że widzę go lecącego do świątyni zadumanych borów, kędy fiołki leśne w cieniu nad strugą łagodnie pachną, i nie wiem, przez jakie powiązanie obrazów przyszedł mi zaraz potem na myśl brat nieszczęsnej Wirginii, ów brat zmarły młodo, tam daleko, w tej starożytnej, smętku pełnej ziemi bretońskiej, kędy podziś u praodwiecznych morza brzegów druidyczne dęby szumią głęboko... Biedna Wirginia! Nie powróci już zatem nigdy do kraju swego dzieciństwa i niewinności, nie uklęknie pokutnie nad grobem tego czystego, bezgrzesznego młodziana, który ją, tarzającą się w nierządzie i kale, kochał tak tkliwie! Czy nie poniosło może maluchne śpiewne ptaszę ostatniego pozdrowienia tej, mimo całą nędzę i upadek, wrażliwej jeszcze duszy tam daleko, nad zieloną mogiłę młodego seminarzysty? — —

Wróciłem do Rojka. Hałas i krzyki w domu dochodziły poniekąd aż do jego pokoju; nie pytał o nic, ale powiedział, tak ot, bez związku z czemkolwiek, jakby sam do siebie:

— Śmierć weszła do domu.

Przez cały ten dzień był bardzo słaby i robił wrażenie zupełnego somnambulika. Nie tknął jadła, nie za-

żądał kropli wody. Chwilami miał na twarzy tę samą osłupiałość, co wówczas, gdym go spotkał na wybrzeżu i gdy mi powiedział „że oni z nim znowu po długim czasie mówili.“

Czułem przez cały dzień niewyraźny jakiś niepokój, potem jęła ogarniać mnie senność. Wyrwały mnie z półdrzemki liczne kroki na korytarzu i pomieszane głosy. Odgadłem łatwo przyczynę i wyszedłem przede drzwi: przyszli po zwłoki biednej Wirginii, które miano odnieść do Morgi. „Żegnaj, biedaczko!“ szepnąłem i powróciłem do pokoju. Zapanowała zupełna cisza i w izdebce, i w domu. Zdawało mi się, że Rojko śpi twardo, i sam po krótkiej chwili zasnąłem również głęboko. Nagle zabrzmiał mi w uszach śmiech tak straszliwy, taki przenikający, taki — rzekłbym — nieziemski, że nigdy nic podobnego nie słyszałem. Krew zastygła mi w żyłach, a mróz przebiegł ciało. Wytrzeszczonemi oczyma rozglądałem się dokoła w ciemnym już pokoju, zbierając rozpierzchłe jeszcze i niewyraźne myśli. Był to Rojko, on to śmiał się tak obłąkańczo. Przyskoczyłem do niego. Chwyciłem go za rękę.

— Co pana skłania do takiej wesołości? — spytałem zdumiony i poruszony.

Trząsł się jeszcze długo od śmiechu.

— Zaśmiej się także, przyjacielu, — rzekł wreszcie. — Wiedz, że po długiej dobie znowu byłem ich świadom. Widziałem i słyszałem...

Zaśmiał się znowu, acz z mniejszem już obłąkaniem, a gdy się uciszył, ciągnął dalej:

— Tam gdzieś, w tem ciemnem przestworzu, na jednej z tych gwiazd, ku którym z taką bezbrzeżną spoglądamy tęsknotą, widziałem umierające stworzenie, stworzenie w rodzaju człowieka, a umierające, jako ja tu umie-

ram... I ten umierający nie był zupełnie opuszczony. Ktoś był przy nim, jako pan jesteś przy mnie, ktoś go pocieszał, jako pan mnie pocieszasz niekiedy... Zda się, że wiele i długo cierpiał tam na tej gwieździe, tak spokojnie i pogodnie świecącej śród naszych nocy! Przyjaciel ów podniósł opadającą głowę umierającego i rzekł mu: „Odchodzisz, i nareszcie twój żal i ból, twoje wszystkie cierpienia skończą się! Wyzwolenie cię czeka. Nie zapadniesz w nicość i mrok. Wznieś oczy tam ku tym gwiazdom jaśniejącym. Na jednej z nich zrodzisz się znowu. Tam nie zaznasz już łez i westchnień, i to będzie twoją nagrodą!“ I ten przyjaciel-pocieszyciel podniósł rękę i wskazał gwiazdę zielonawego blasku, wędrującą w szacie gloryi cichej przez nieskończone przestworza z wiernym druhem swym, bladym księżycem, i poznałem w tej gwieździe, o ironio bogów, poznałem w tej gwieździe — naszą ziemię!

Rojko wybuchnął znowu obłąkanym śmiechem, jakiego przedtem nigdy u niego nie słyszałem, a śmiech ten ku przerażeniu memu, zmienił się w rzężenie agonii, i zanosząc się tym nieludzkim, kurczowym, demonicznym ryhotem, nawpół nim uduszony, Rojko skonał w mojem objęciu! — Puściłem jego trupa, który nagle ociężał straszliwie, i cały drżący z przerażenia i współczucia, więcej wszakże z przerażenia, uciekłem z pokoju, nie zamknąwszy nawet za sobą drzwi, jak sobie teraz dokładnie przypominam. O piętro niżej, niedaleko drzwi nieboszczki Wirginii, zatrzymałem się na chwilę, aby odetchnąć. Przypominam sobie teraz, również zupełnie dokładnie, żem tam poczuł dym i zakasłał. Ale nie zwróciłem na to uwagi i nie zastanawiałem się, zkąd dym pochodzi. Wszystko, co widziałem, słyszałem, czułem, było jak za mgłą i we wszystko mieszała się groza tego śmiechu, którego odgłos brzmiał mi ciągle w uszach, myśli, pamięci. Odetchnąłem

chwilę i uciekłem dalej. Jak bez zmysłów, biegałem po ulicach, potrącałem ludzi, po dziesięćkroć narażałem się na wpadnięcie pod konie i powozy. Na któremś wybrzeżu zatrzymałem się, zapatrzyłem w szumiącą wodę i odzyskałem wreszcie trochę rozwagi. Wracałem powoli ku domowi „pod tonącą gwiazdą.“ Było już późno, i zdumiał mnie, na sąsiednich ulicach, zawsze tak pustych, ruch o tej godzinie stanowczo już niezwykły! Ludzie zbiegali się zewsząd. Fala ich unosiła mnie. Skręciłem na rogu w znaną ulicę. Dom „pod tonącą gwiazdą“ stał przede mną straszliwie oświetlony. Górne jego piętra paliły się płomieniem. Płomienie buchały ze wszystkich okien, z okien Rojka, z okien Wirginii, z okien „klatki obłąkanych.“ Stałem jak w słup obrócony. Tłum przycisnął mnie do jakiejś ściany i musiałem stać jak przykuty, nie mogąc przebić się przez mnóstwo ludzi, stłoczonych przede mną. Patrzałem tępo na szerzący się ogień i zdawało mi się, że śnię. Słyszałem naokół opowiadania; ktoś objaśniał z całą stanowczością, że w tym płonącym domu odebrała sobie życie gazem węglowym jakaś kobieta. Gdy po jej śmierci ludzie wpadli do pokoju, nikt podobno nie zauważył, że już się tam rzeczy zatliły. W nocy, długo tlący się ogień wybuchł gwałtownie i z niesłychaną rozszerzył się szybkością. Niepodobna już było dostać się na wyższe piętro, gdzie podobno udusiły się trzy staruszki. Gdy przyjechała straż ogniowa z drabinami, ta część domu była już pono cała w ogniu. Także jakiś mężczyzna chory spalił się tam podobno, a jeżeli ktoś był przy nim podówczas, zginął również niewątpliwie...

Słuchałem jak w śnie tego wszystkiego. Nie mogłem odwrócić oczu ani na chwilę od buchających dziko płomieni, i zdało mi się, że w zawalającem się oknie Rojka widzę trzy olbrzymie cienie, tajemnicze, otulone zawojami czarnego dymu, owe trzy odwieczne prządki,

owe trzy „matki boleści“... A ponad całym zgiełkiem ludzi, ponad łoskotem pracujących maszyn pożarnych, ponad dzikiem wyciem wichru i pożaru, brzmiał mi ciągle jeszcze straszliwy, grozy pełny, szalony, demoniczny śmiech tego nieszczęśliwego, konającego człowieka...



PRZEŁOŻYŁ Miriam. Juliusz Zeyer.

IV.

Purchawka, prócz tych oględzin pospolitego, zewnętrznie na rzecz patrzącego ogółu, była przedmiotem i bliższych, poufalszych wywiadów, zaprawionych ciepłym, serdecznym, z przewodu pokarmowego idącym oddechem. Bywalcy redakcyjni, siwi ze znawstwa społeczno - pięknościowościowego, stronnicy i poplecznicy zaufańsi, protektorzy, mecenasi, wspólnicy cisi oraz jawni, tytułem nadzwyczajnego, dodatkowego premium, mogli purchawkę badać, wypytywać, roztrząsać, dotykać i klepać, stosownie do stanu swego osobistego rozciekawienia, któremu jednak winien był przewodniczyć cel ogólnego, społecznego dobra.

Niektórzy z gości, o skromniejszym popędzie wywiadowczym, a więc i o słabszej idei ogólnej, przypatrywali się jeno purchawce, lub zadawszy jej kilka niezbędnych, utartych pytań o ubiegły, obecny i przyszły stan wszechświata, mieli dosyć; inni, szczegółowsi, bardziej ogółowi chcący służyć i już znacznym pocztem zasług względem niego położonych wytrawni, badali ją ze ścisłością większą, zadając jej pytania natury tak osobistej, do głębi sięgającej, że aż nieprzyzwoicie o tem mówić.

— Co pani sądzi o wpływie sztuki na społeczeństwo? — badał feljetonista Miłoskrobski.

— O wpływie sztuki?.. — namyślała się purchawka. — O wpływie sztuki nie mogę sądzić, ale feljeton o sztuce...

— A, feljeton?.. no cóż? — drgnął ciekawie badacz.

— Zrazu rusza... ale potem...

— Cóż potem? no, no..?

— Pan daruje, ale tak trudno mi mówić.

— W imię dobra ogółu, powiedz pani.

— Niech już lepiej woźny panu to opowie — rzekła purchawka całkiem zawstydzona.

Feljetonista, z ogniem w oczach, wybiegł indagować Tomasza, ale już nie wrócił.

Jego miejsce zajął najzasłużeńszy pono i najruchliwszy członek redakcyi, pan Ogółoduch. Ale ten postąpił z purchawką jeszcze osobiściej.

— Co pani sądzi o szczęściu? — spytał między innemi, paurząc z pod oka na jej białe wypukłości.

— Czy ja wiem? — rzekła zmęczonym głosem wieśniaczka: — może... być na wsi i leżeć pod krzakiem, albo w trawie zielonej...

— Hm, hm?.. A obowiązki? a zadania? a potrzeby społeczne?.. Oj, pstro w główce, pstro!..

— Ach, dobry panie, ja tak mało mam potrzeb społecznych... ani męża nie mam, ani owoców, ani...

— Ale masz — tu Ogółoduch zniżył głos do szeptu, — masz taką białość, która... która jest potrzebą ogólną i warto ją spotrzebować...

To mówiąc, tak jakoś znienacka i ogólnie schwycił purchawkę za białość, że aż z oburzenia, wstydu i strachu krzyknęła i zemdlała.

W redakcyi zrobił się zamęt. Wszyscy dyskretni poplecznicy, którzy powychodzili byli z pokoju, przybiegli, a w ich liczbie Tomasz, najprzytomniejszy, bo z feljetonem. Feljeton był tym razem niedzielny, silniej działający, i w jakiejś butelce z nalepioną etykietą: *strach na wróble, przeszkadzające korzystać ze smacznych i pożywnych owoców.* Prócz feljetonu, Tomasz dźwigał (i wlókł częściowo) ów przyrząd hydrauliczny, którego już skutków zdrowotnych doświadczał król Ryszard Lwie - Serce, za czasów oblężniczych niestrawności pod Jerozolimą.

Skrzętne zastosowanie tych dwóch unarodowionych środków (stracha na wróble i enemy Lwiego - Serca) wróciło purchawce przytomność i trochę sił życiowych, ale, niestety, zaufanie jej ku opiekunom, jak barwa zmiętoszonego motyla, uległo starciu.

Nawet najbliższy jej tu „grzeczny pan,“ któremu zawdzięczała wydobycie z paki i otrzepanie z otrąb, nie mógł jej utraconej wiary w ogół przywrócić. Ważne jakieś obowiązki trzymały go na

mieście, i w wypadkach wyżej opisanych udziału nie brał. Gdy wrócił, i purchawka z płaczem opowiedziała mu wszystko — i wyczerpujące nudy pytań i owo targnięcie się na jej białość, — wzruszył tylko ramionami i rzekł:

— Głupstwo barwa! Grunt — ciepło i serca bicie ku ogólnemu dobru. Ot, wiesz co?.. ale zgadnij?.. Familiensternostwo, na moje trzy słowa, urządzają dla ciebie specyalny raut, spe-cy-al-ny!.. Cóż ty na to?

— Ach takbym już chciała być na wsi... Raut?.. Nie, nie pójdę.

— Pójdziesz — rzekł twardo rautoman. A gdy purchawka, niemile tą twardością zdziwiona, milczała, dodał: — Przedewszystkiem ogół.

— Ogół? Mam dość tego ogółu. Nie pójdę.

— Pójdziesz, albo cię zgniotę. Raut — aut!

I sylf podniósł groźnie kułak.

Biedna purchawka, ujrzawszy ten symbol zależności, a głównie dotknięta szorstkim tonem, który nagle z pod ogólnych ciepłostek jej grzecznego opiekuna zionął, jakoby z piwnicy, gdzie się nagromadzone dobro ogólne przechowuje, — biedna purchawka upadła na duchu i szepnęła z poddaniem:

— To już niech będzie... ten raut.

— *Fertig!* — zawołał zwycięzca. — *Avancez! Saluez vos patrons!..* Idziemy.

V.

Wieczorem, w godzinach rautowych przyjęć, wszechmożny rozprowadzacz kleksów szedł z purchawką i pilnie baczył, żeby jej, teraz już jako dobro ogólne, nie przejechano lub nie zakleksowano błotem. Gdy obzierała się, czy gdzie nie zoczy sadowników, ku którym po trosze było jej tęskno, tłómaczył, że w mieście ich niema, a jeżeli są, to chodzą jak sami dziedzice, albo i lepiej.

— Dlaczego? — spytała. — Czy tu tak dużo owoców?.. Nigdzie ich nie widzę.

— Dziecko! Owoców nie widzisz, bo wszystkie idą na sprzedaż. Tu nic darmo na bruk nie spada, nawet śmiecie i stare od-

padki, nawet stara, zużyta poezya z kleksami... Gdy kleks... nie— sadownik twój nasprzedaje tego, wówczas goli brodę, obcina poły i jest obywatelem.

— Połowicznym? — spytała naiwnie i mimowoli.

— Patrzaj, to nieźle powiedziane... byłoby w innych warunkach. Połowiczny, bo bez połowy pół. Nieźle... w oderwaniu, w innych warunkach... Tylko, proszę cię, takich dowcipów drugi raz nie powtarzaj! Połowiczny, czy nie połowiczny — jest całym dziedzicem i *fertig*.

— Dziwne...

— Jakto dziwne? A spryt? a zabiegłość? a ruchliwość? a obrót kapitałów?.. to nie dziedzictwo? i nie piękne dziedzictwo?

— Naturalnie — poprawiła się purchawka przez uległość i małe w tych rzeczach rozumienie.

— Taki naprzykład Familienstern Joachim... Myślisz, że on nie pięknie trzęsie, już nie gruszkami, jak twój sadownik, ale samymi dziedzicami, właścicielami grubych, spróchniałych drzew genealogicznych?.. tak trzęsie, że wszystkie owoce spadają na jego podwórko.

— I leżą tam? To dlatego nie widać ich na ulicy?

— Dziecko? Gdyby owoce leżały, toby zgniły. Tu właśnie przychodzi obrót kapitałów. Owoce te, odleżalsze, składa się na ołtarzu publicznego dobra, co w zamian sowicie się opłaca, ponieważ daje Familiensternowi możność życia w wielkiej harmonii ze społeczeństwem: a to mu potrzebne dla zdrowia, bo jest bardzo sercowy i nie mógłby wyżyć bez uznania wszystkich jubilatów, genealogów i godowców...

— Godowców?.. Któż to jest?

— Kiedy mi przerywasz... A tak mi się zaokrągliła charakterystyka, że tylko składać i na maszynę... Godowcy to są filantropowie, którzy, przez nadmiar spożytych owoców za zabawami przepadając, z drugiej strony nie chcą, by przepadł ogól, i dlatego połączyli taktownie jedno drugiem i zajmują się urządzaniem godów, jubileuszów, uroczystości dla dobra ogółu. Sam Familienstern jest po części godowcem, bo i on dba o zabawę ogółu ideowo, dając liczne u siebie koncerty i rauty. Ale jak wszyscy ludzie z poświęceniem, żyje, co do własnej osoby, umiarkowanie, prawie ascetycznie. Czy wiesz, że chodząc tak koło owoców, sam na swoją potrzebę ich nie używa... Melony tylko lubi pasyami, to jego słabostka, a i któż bez niej? I patrz, co za dziwny ten ogół: cały bez wyjątku łakotny, za użyciem goniący i pełen zdrożności, a nikomu, nawet

swemu dobroczyńcy, ich nie wybacza! Za ten smak do melonów, czy wiesz, jak nazywają Familiensterna?.. Me - lo - no - ma - nem!

— Dziwne — rzekła purchawka.

— Jakto dziwne?.. Nie — rzeczywiście to jest dziwne.

Tak rozmawiając, weszli w gościnne progi miłośnika melonów i trafili na chwilę, kiedy właśnie co tylko został jeden taki melon spożyty, tak, że jeszcze woń tego egzotycznego, ale od czasu wypraw krzyżowych na Jerozolimę unarodowionego owocu zalatywała i mieszała się z dogasającym wtorem do jakiejś też co tylko skończonej melodyi. Śpiewak, O md'Leon Mellone (potomek króla Ryszarda z nieprawego serca — doszeptywał na ucho gospodarz, przedstawiając go: — urodzony w Irlandyi, kształcony we Włoszech!) — odśpiewał był cudną, pełną gorącego ciepła dumkę angielską o niejakim Robin - Hood'zie, który ze swymi *merrymen*'ami, czyli optymistami *(as they were called)*, tak optymistycznie i sprytnie zajmował się bandytyzmem, że zasłużył sobie na względy i uznanie samego króla Ryszarda Lwie - Serce. Odśpiewawszy pieśń, Mellone, teraz na wszystkie strony błyskał gorsem i dziękował za brawa i różne inne oznaki rozrzewnień. Wtórzysta, ociągając się ze wstaniem od melodykonu, jedną rękę miał zajętą przebieraniem w czarnych, jak atrament, i zestroszonych, nakształt jarmużu, włosach, lub też skubał nią wąsy, na jego bladą twarz, niby kleksy, chlapnięte; drugiej zaś ręki palcami gmerał w klawiszach, oddając pierwszeństwo czarno - melancholijnym... W salonie zapanował jakiś smętek eklesiastyczny, jakaś nieukojność Robin'owskich pragnień, bezowocność nasycenia wszelkim owocem, chociażby to był melon najsłodszy, i znikomość najtrwalszej przyjaźni z królami...

Wejście nowego, a poniekąd głównego dziś gościa, purchawki, wraz z jej opiekunem, przerwało ten nastrój sercowy. Gospodarz oddał lokajowi spodek z melonem, wstał i przywitał purchawkę nader ciepło i serdecznie, jako dobrą znajomą. Następnie, wszem wobec ją przedstawiwszy, oprowadzał, zaznajamiając kolejno z najpiękniejszemi ozdobami swego salonu.

Było tu trochę arystokracyi, trochę finansów, trochę ambasady, trochę literatury i trochę sztuki. Większość była w smokingach, czyli w kurteczkach bez pół, połowicznie a nawet i ćwierci organizmu nie przyodziewających.

Arystokratom przedstawiona była purchawka wszystkim: i baronowi Akcyonaszowi, i trzem głowom trzech pokoleń Jubileuszów, i hrabinie Oktawie, i hrabiemu Festynowi, i Rocznicy Zwykłej, i Rocznicy Przestępnej, i wszystkim innym bez wyjątku, ponieważ ary-

stokracya, złotu podobna, czy w mniejszej, czy w większej ilości — zawsze ma swoją wartość sprzedażną.

Inaczej z finansami. Tu ma salonowe znaczenie tylko grubość, tłustość lub żarłoczność, posunięta do najdalszych, prawem dozwolonych granic. Dlatego, bliżej klepnąć purchawkę mogli tylko niektórzy, jak Bauch, Fett, Hajfisz, Dywidenda i Kajman.

Co do ambasady, to ze względów polityki międzynarodowej, niedyplomatycznie byłoby kogoś pominąć. Więc też gospodarz, z grzecznym i równomiernie ciepłym wyrazem, rzucał purchawce wszystkie ich po cudzoziemsku brzmiące i obcopoddańcze, ale z dawien - dawna w serdeczności narodowej obsiedlone nazwiska: Persstern, Hondurasberg, Honolilien, Palestynat, Heim, Stein i Berdyczew.

Trochę literatury purchawka już znała: z Ranoskrobskim spędziła noc, Miłoskrobskiego feljeton dotąd jej się, jako pełne przykrego wstydu wspomnienie, odbijał; Ranoskrobski naskrobał o niej wzmiankę i poza tem, sennością trapiony, nie miał pochopu do czulszych wywiadów i był jej miły; Miłoskrobski zaś, najwidoczniej wskutek zeznań Tomasza, patrzał na nią złem okiem, tylko jednem i tylko z góry. Co do innych, albo przelotnie widzianych, albo zgoła obcych literatów, poetów i artystów, byli przedstawieni jej panowie: Doremiskrobski, Mikrobski, Skrobski, Kropski, Pski, Pskel, Pskot, Psik i Piski.

Nie licząc O md'Leona Mellone, jego wtórzysty o włosach jak jarmuż, imitatora międzynarodowych pieśni dziadowskich, ur Weselyi'ego, czecha kształconego na Węgrzech, oraz panów Swojera i Rypindra, wykonawców opery narodowej „Upiór Wojewody" (w kawałkach), — najgłówniejszym sztuki popisowej okazicielem był specyalnie uproszony Amfitryniusz Wołoduch.

Ten ostatni, rozpatrywany jako zjawisko społeczne, był okrągławy, nieduży i czerstwy, a z taką tych cech równomiernotą, która nie dając mu dźwigać „młotka pracy" na własnych barach, wkładala mu na nie — zali nie cięższe? — posłannictwo kierowania trzonkiem ku najśrednicowszym, najowocniejszym pożytkom; z oczu wyzierała mu rozsądna, bez palączki i łapcapesu pobudliwa jarość: nie był jak ci łakomi, co, dobra ogólnego się dorwawszy, chodzą ze czkaniem albo i gorzej, i nie był jak owi, którzy z dóbr wyzuci, na czczościach cieńczeją: żył pożywnie lecz bez grymasów, przeto — nawet dziś — kiedy wszystkie stopnie wywiednictwa przeszedłszy, miał objąć posadę starszego uwiednika i już siwiał, — nawet dziś, jak mówiono, o ile mu regulamin i rozwaga nakazywały trzonka ru-

szać, nawet i dziś nieruszona część dóbr społecznych wyciągała ku niemu klucze od najosobistszego wywiadu.

Na purchawkę spojrzał uważnie, badając, jakąby z niej mógł mieć owocność? Ale przyzwyczajony działać z taktem i z zastanowieniem, na razie nic nie rzekł, zlekka tylko jej białej skórki dotknął, a tak w miarę, tak dobrze i subtelnie, że przypomniał jej motyla, ogród... I wpadła w nastrój jakiś taki dziwnie oddawczy: coś ją popychało do Wołoducha i szeptało: powierz mu biel naskórka i wszystko, on to oszacuje w miarę, jak nikt, do dna sięgnie a nie przeceni... odnajdziesz siebie...

— Co pani woli? — zagadnął gospodarz: — czy pieśni dziadowskie, czy kawałek opery, czy też odrazu przystąpimy do łaskawie zapowiedzianej nam przez pana Wołoducha improwizacyi?

— Wybierz to ostatnie — szepnął jej do ucha opiekun: — dasz dowód smaku i zasłużysz się wpływowej osobistości.

— To niech już będzie ta impro...

— Impro... Bardzo dobrze! — zawołał gospodarz i splecionemi dłońmi wyłogów smokinga dotykając, połowicznie zgięty, podszedł do improwizatora i, z miłą suggestyjnością zgodę onegoż wymodliwszy, dał znak gościom do zajęcia miejsc najwygodniejszych, do ocukrzenia świeżo nalanej kawy i do przerwania rozmów.

VI.

Na grzbiet berżerki pulchną i bez kostek rękę położywszy i głaszcząc aksamit, jakoby to był karczek uwodzonej damy, improwizator tak zaczął:

Poezya blada
Piękności szuka,
Lecz nie posiada:
Użyć — to sztuka!

— Brawo! brawo! — odezwały się liczne głosy, odrazu wzięte.

— Co za spryt wysłowienia! Jaki wdzięk francuski!

— *Lecz nie posiada,* słyszałeś pan?.. c'est parfait!

— Pst, panowie, proszę nie przerywać: das kommt später... — prosił gospodarz, zwracając się do ambasadorów.

— Pst, pst!..

Poezya kradnie
Piękno jak zbrodzień:
A my się ładnie
Bawimy codzień.

— *Nota bene* wenn man kann — szepnął otyły Fett (finanse) do Hajfisza (item).

Powszednia *blaga*
Sił nie wymaga
I daje święte
Dolce far niente.

— O nas mowa — rzekł literat Skrobski do ucha Kropskiemu. Obaj panowie zadarli głów i wyprostowali się. Toż samo porozumiawcze zdanie zostało wymienione pomiędzy poetami Pskim a Psikiem i Mikrobskim a Piskim, przyczem dwaj ostatni panowie, prócz zadarcia głów, łyknęli jeszcze kawy. Tylko siedzący z boku literat Siewka pomyślał, że jemu nie tak znów łatwo jest i bezpiecznie wyjmować codzień glisty z jamy ustnej Kajmana.

O nad - etyczna
Słodkości tycia,
Tyś to wytyczna
Naszego życia!

— To jest powiedziane mocno — rzekł półgłosem Festyn, arystokrata, do hrabiny Rocznicy Przestępnej.

— Oui, c'est trop fort — odmruknęła Rocznica.

— Muss einer nach Karlsbad — pomyślał Bauch (finansista) zupełnie cicho.

Kto dnie z tej dudki,
Jest weselutki
I zdrów jak rydz: je
Wszystkie prymicye.

— O nas mowa — rzekli znów do siebie literaci, poeci i ar-

tyści: Doremikrobski, Kropski, Pski, Pskel, Pskot, Psik i Piski, przyczem zadarli głów i popili kaw.

— No, no, no — to jest chybnięte — rzekł Dywidenda do Kajmana: — zawsze tam z tych prymicyj zostanie coś i dla nas do podziału, he, he, he...

Kajman w odpowiedzi rozwarł usta, błysnął w czerstwości twarzy białkami wielkich zębów, kłapnął niemi i rzekł:

— Hmm!

Poezya chora
Nas nie omami.
Per bacco! fora
z pesymizmami!

— Wie pani hrabina, jabym każdego pesymistę piętnował — zauważył Szeląg, bardzo wytarty w świecie pedagog, do hrabiny Oktawy, której dzieci uczył optymizmu.

— Pourquoi faire? — zdziwiła się hrabina.

Gdy życie tętni,
On najnamiętniej
Śni o dusz kulcie...
A niech zje ból cię!

— O, niech ich ból trzaśnie, niech ich napiętnuje — mówił dalej zawzięty pedagog. — Słyszała pani hrabina: *on najnamiętniej śni o dusz kulcie* — toż to najoczywistsza ruja i porubstwo!

— Ruja? qu'est-ce?

— Ruja to, z przeproszeniem pani hrabiny, konkubinat, a porubstwo, według słownika wileńskiego, to zdrada małżeńska. Pojmuje pani hrabina, że rozszerzanie takich tendencyj wprost gubi młodzież i prowadzi społeczeństwo do konkubinatu.

— Pst! pst! — prosił gospodarz.

Gdyby się skrzepłym
Dusz kultem żyło,
Cobym ja z ciepłem
Robił? co z siłą?

Do psa się chmurzyć!
Hej — życie więdnie:

Dbajmy, jak użyć
W bród a oględnie!

Łzy? płacze?.. Ach, nie!
Niech mi zapachnie
Pończoszką, tiulem,
To się rozczulę.

W głąb' sięgać chwatszy!..
O, niech popatrzy
Taki ciemięga,
Jak się to sięga!

Tu zgromadzeniem, nie wyłączając poważnego Szeląga, wstrząsnął jeden dreszcz, i wszyscy, jak na komendę, mlasnęli językami i przełknęli ślinę. Literat Skrobski i poeta Piski zaczęli na nutę operetkową przywtarzać sobie: *Jak się to sięga,* co słysząc O md'Leon Mellone, choć nie rozumiał słów, też zawtórował i zamlaskał, a to znów pociągnęło do wtóru wtórzystę; przykład ten zaraził Kajmana, cieszącego się soczystym barytonem, Akcyonasza, Baucha i Dywidendę... Zanucił i hrabia Festyn, i najmłodszy z Jubileuszów, i Honolulien ambasador, i Heim... Tylko, ze względu na dobry ton, milczała hrabina Oktawa, i milczał Hajfisz, z powodów ichtyologicznych.

Nawet sam deklamator, nadzwyczajnie podniecony, gdy wrzawa nieco ucichła, z gorącem ciepłem w oczach recytował dalej:

Hej, pod poziomy
Sięgać aż do den,
Gasić oskomy
Na starą modę,

Kryć ślad kopytek
W pozór gołębi:
To mi pożytek,
To mi szczyt głębi!

— *Szczyt głębi* — nonsens — mruknął Sternik do milczącego Hajfisza, swego pana.

Rafał z Urbino

Najgłębszy z mistrzy,
Oszukaniną
Żył, jak filistrzy.

W dzień konfitury
Słodził (miał popyt),
A w noc do góry
Zadzierał kopyt.

Śpieszmy więc bystrze
„Żyć“ całą chęcią,
„Życia“ my mistrze
Minorum gentium.

Niech raz się utrą,
Te prawdy cztery:
Jedz, pij, gwałć, jutro
Wyciągniesz giry!

— Tfu, brzydkie słowo — splunął Bauch w siebie, po cichu. Sypnęły się oklaski.

— Przyjmij pan moje zupełne uszanowanie — rzekł wzruszony ambasador Honolulien. A i wszyscy starali się jakkolwiek wyrazić dank improwizatorowi, który, pulchną, bez kostek, rączką batyst wyjąwszy, ocierał czoło, aureolą siwych włosów okolone.

VII.

Purchawka nie zdawała sobie sprawy z wrażeń. Było jej niedobrze i tęskno do wsi.

— Co pani sądzi o sztuce? — zagadnął najbliższy sąsiad Sternik.

— Nie wiem — odparła cokolwiek opryskliwie: — może to swoboda odejść, gdzie się podoba...

— Modernizm!.. Pani dawno w Warszawie?

— Od wczoraj.

— I już zarażona!.. Pozwolę sobie zwrócić pani uwagę, że

sztuka nie może być takiem sobie lawirowaniem, sztuka musi mieć kierunek... sztuka musi być podporządkowana ogólnym, społecznym przepisom...

Purchawka zdobyła się na tyle sił, że kiwnęła na swego opiekuna.

— Proszę mnie wyprowadzić — szepnęła mu do ucha: — mdli mnie.

I wyszli do niewielkiego buduaru, którego samotność i cisza zaraz ją wytrzeźwiły.

— No cóż, jakże znajdujesz raut?

— Nie... Lepsza wieś. Zdaje mi się, że tu za dużo tej sztuki... I tacy tu wszyscy czarni. Tylko ten pan od impro... ma białe włosy i bardzo mi się podobał... taki miły w zetknięciu...

W tej chwili doleciały ich tony skocznych narzekań jakiegoś bardzo skrzywdzonego mazura.

— „Upiór Wojewody,“ opera swojska — chodź, nie wypada się odosabniać.

— Ach, proszę, błagam... zostaw mnie tu...

— Oj ty, purchawko — rzekł niechętnie opiekun i wyszedł.

Pupilka, zostawszy sama, odetchnęła z tak nieumiarkowanem zadowoleniem, na jakie tylko jej na próżniaczych odłogach wyrosła istota mogła się zdobyć. Samolubnie i cicho przeglądała sobie jakieś album z fotografiami: było tam trochę arystokracyi, trochę finansów, trochę literatury i dużo ambasadorów. Zatopiona w tem zajęciu, nagle poczuła coś jakby szelest motyla i woń owocowego drzewa.

— Nie przeszkadzam? — szepnął żarliwie Amfitryniusz.

— Ach!

— Pani dawno pisuje w historyi?.. Mówił mi opiekun...

— Tak, nic wielkiego... trochę uwag...

— A uważa też pani na swoją białość? W sąsiedztwie atramentu tak łatwo o kleksa.

— Czy ja wiem?..

— A gdzie pani nocuje?

— Na wystawie.

— Tem bardziej. A szkoda byłoby... Takie to wszystko pani ma bielutkie... takie bielutkie... Można pogłaskać?.. Tak... Czy ma też pani już ustalone zapatrywanie swoje na *szczęście?*

— Ja sądzę, że... przepraszam, pan mnie tak ścisnął?.. sądzę, że szczęściem jest leżeć na słońcu, pić soki ziemne, kąpać się w deszczach, pachnieć... Pan ma taki miły zapach owocowy...

— Owocowy?.. owocny raczej: jestem dużo zajęty chodzeniem koło owoców... tak. Hm... zapach, jako szczęście? Możebym się i zgodził na to określenie, ale to dla mnie za mało... Dodajmy więc: i myśleć o ogóle... niechże się pani nie lęka... no... tak. To, co pani powiedziała o leżeniu i piciu, to jest szczęście, ale indywidualne, pasorzytne...

— A jakież jeszcze może być leżenie?

— Społeczne, wytwórcze — leżenie, w którem się jedno podporządkowywa drugiemu, mocniejszemu... i z tego powstaje wytwórczość i twórczość, która jest sztuką... No, nie bój się, przybliż do mnie tę swoją sztukę białą... wypukłą...

— Moja wypukłość jest sztuką?.. Więc i ja jestem... ach!

— O tak, jest sztuką twoja białość taka biała, taka... ale nie twoją sztuką, tylko tych, którzy jej pożądają... Ja tak bardzo pożądam twojej białości... o, nie broń się... nie broń mi... twojej wypukłej białości... tak bardzo pożądam... pożądam twojej wypukłości... plastyki... plas... pla... pl... p...

Rozmowa umilkła, i nagle w buduarze dał się słyszeć jakiś huk, coś jak upadek doniczki z kwiatami, jak pęknięcie baloniku, piłki, struny skrzypcowej.

Do pokoju wpadło kilka osób i oczom ich przedstawił się wprost nieprzyzwoity widok. Purchawka bardzo blada, miejscami aż zielonawa, leżała na stoliku i wyglądała tak, jakby ktoś na nią nadepnął, albo ją przebódł. Czerwony Amfitryniusz nakładał binokle i był tak niepoważnie ożywiony, jak Archimedes, kiedy z łaźni wybieżał, krzycząc *heureka!*

Zapanowało kłopotliwe milczenie, którego nikt nie śmiał przerywać. W ostatnich szeregach widzów ktoś zaintonował półgłosem:

Niech-no popatrzy,
Jak się to sięga...

Zerwało się parę śmiechów.

— Przyjmij pan moje zupełne powinszowanie — rzekł głośno ambasador Honolulien.

Wołoduch, utrwaliwszy nakoniec binokle, rzekł, zwracając się do opiekuna purchawki:

— Pani zemdlała... cuciłem...

Opiekun spojrzał badawczo na Wołoducha i wolno powiedział:

— Tak, i u nas w redakcyi był ten wypadek... Ale tam jest

Tomasz i wszystko, co potrzeba, przytem redakcya lokal publiczny... Tu zaś, panie Wołoduch, to... to — prywata!

Rzekłszy to wolnym i twardym głosem, spojrzał w binokle Amfitryniuszowi, zabrał nieprzytomną purchawkę i wyszedł.

Na ruch i turkot powozu ocknęła się.

— Ja nie chcę... — szepnęła jakby w gorączce. — ... Ach, uciec ztąd... daleko od ogółu, od sztuki, od sławy...

Opiekun nachylił się, bezradny, zły na siebie za niedozór i niewiedzący, czem ukoić jej szept bólu i skargi.

— Zdeptana!..

— No, no, dziecko... Przyjedziemy zaraz... napijesz się feljetonu...

— Ach, nie chcę, nie chcę — rzuciła się purchawka i mimo osłabienia ledwie nie wyskoczyła z powozu. — Dajcie mi umrzeć!..

— Dziecko!.. nie mów o śmierci. Jeżeli chcesz, zawiozę cię na wieś, posadzimy cię w ogrodzie...

— Ach, tak!..

Gdy przyjechali do redakcyi, opiekun włożył purchawkę do dużego wazonu od oleandra (egzotycznej ale od czasu wojen samnickich unarodowionej rośliny), i mimo wzdragań się, próśb i zaklęć, polał ją feljetonem, ponieważ wierzył w feljeton, jako w uniwersalny środek od wszelkich chorób społecznych, a więc i od dolegliwości osobniczych.

Purchawce zrobiło się gorzej. Schła i murszała w oczach. W nocy gorączka urosła i wystąpiły halucynacye. Opiekunowi, który czuwał przy niej, układając swoje artykuły codzienne, szeptała, że widzi jakąś polanę, niby łąkę, pełną zieleni, w mokradłach i topielach — niedostępną... Nikt tam nie może się wedrzeć i zdeptać jej, a ona obcuje tylko ze słońcem, bieleje coraz bardziej i staje się tak przejrzystą, że znika w przestrzeni, i że już tam nikomu na żadne pytania może nie odpowiadać... I nikt nie może jej białości zbrudzić... A ona z wonnym wiatrem, niby tchnienie umarłych ajerów, polatuje nad łąkami..

Nad ranem nie żyła.

Jan Lemański.

GLOSSY.

Jubileusze, rocznice, plebiscyty, ankiety, konkursy. *(Dokończenie. Patrz zesz. 13 i 14).* — Ogłoszenie ankiety czy konkursu wymaga bądź co bądź pewnej pomysłowości, pewnej zdolności organizatorskiej, pewnej choćby tylko zręczności myślenia, pewnego zdecydowania wreszcie względem utworów czy poglądów nowych jeszcze i przez nic nie uświęconych. Przy proklamowaniu rocznic, jubileuszów, obchodów pamiątkowych — pomysłów dostarcza bezinteresownie i przeobficie chronologia najprostsza; materyałów — encyklopedye, słowniki biograficzne, podręczniki dziejów sztuki czy literatury; zamiast myślenia wystarczają komunały i zdawkowości pseudo-uczuciowe; niema nakoniec żadnej obawy potknięcia się, ile że chodzi o „fakta dokonane," o rzeczy „przesądzone," „uznane" i po sto razy omówione. Dodajmy do tego satysfakcyę protektorską, pozór idealizmu i znawstwa, zasługę inicyatywy, rozgłos dla czasopisma i sto innych względów pomniejszych, a pojmiemy dziennikarską ochoczość do inaugurowania „obchodów uroczystych," przestaną nas dziwić te niepoliczone przypomnienia zasług, projekty uczczeń, pamiątkowe rozrzewnienia, od których roi się wprost w naszej prasie, i które powierzchownie lub zdala patrzącego złudzić mogą gruntownie, zasadniczo. Niezmierna, dominująca większość tych wylewów „czci, uznania, wdzięczności" ma za przedmiot poetów i artystów. Przeglądając spisy rzeczy w dziennikach i tygodnikach za kilka lat ostatnich, możnaby dojść

do wniosku, że okrzyczana za wyłącznie praktyczną epoka nasza przewyższa, pod względem zapału dla literatury i sztuki, najbardziej renesansowe, najbardziej medycejskie doby. I doszli do takich konkluzyj „trzeźwi“ badacze, łamiący ręce nad „przeestetyzowaniem“ społeczeństwa — ale, niestety, świadczy to tylko o „trzeźwości“ i głębokości ich badań. Dość bowiem przejść od tytułów i nagłówków wymienionych w indeksach do samej treści wzmianek, artykułów, numerów specyalnych i nawet książek poświęcanych jubilatom czy kommemoratom, aby się przekonać, że istotne zajęcie sztuką oraz szczery eutuzyazm dla twórców grają najmniejszą rolę w tych hałaśliwych scenizacyach, że hołd pozornie bezinteresowny jest tylko płaszczem, w który drapują się, mniej lub więcej otwarcie, najnieoczekiwańsze sploty i kombinacye interesów osobistych czy społecznych, że mniemane gromadne porywy uwielbienia i miłości są, w gruncie rzeczy, jałowym, czczym, więcej, trującym falsyfikatem.

Czem jest właściwie, z istoty swojej, przed- czy pośmiertny jubileusz wielkiego twórcy, obchodzony przez społeczeństwo całe? kiedy jedynie godzien jest tej nazwy? kiedy jedynie ma wartość rzeczywistą i nieprzemijającą, na dalekie siew rzucającą przyszłości? — wskazuje poniekąd sama słowa etymologia. Apoteoza to radosna, słoneczna, żywiołowa, kształtująca się zdawna bez woli i wiedzy niczyjej w łonie społeczeństwa — i dopiero — gdy godzina nadejdzie, gdy duch twórcy ogarnie, przepoi już wszystkie duchy i nowe w nich rozpali życie, gdy ekstaza odrodzenia wnętrznego sięgnie szczytów, gdy pomieszane uczucia czci, miłości, uwielbienia, zapału rzucą odrodzonych na kolana, na twarz, przed rodzicem nowego, przyszłego ich istnienia — olbrzymim, wulkanicznym strzelająca w niebo wybuchem. Nie wypłata to żadna za zasługi, nie żaden rozrachunek wdzięczności, nie żadne skwitowanie należności przez dary, obchody, przemowy, hołdy, wieńców stosy. Uczucie to czegoś, co nie jest do opłacenia, za co nietylko dziś, lecz i jutra dalekie wywdzięczyć się nie zdołają, uczucie, że wszystkie pokłony, uczczenia, dowody uznania są względem Niego czemś śmiesznie, dziecinnie, zawstydzająco małem i niewystarczającem, uczucie, że wiedzie się go na kapitole, lecz chciałoby się wieść gdzieś pod niebo, na szczyty najwyższe, na słońce samo, zkądby w chwale królował wiekuistej. Zapatrzenie się takie wyłączne, takie absolutne w tego Jedynego, tego Wybranego, że wszystko inne ginie z oczu, uchodzi w cień, nie istnieje: wszystkie interesy społeczne (toć On jest najwyższym, ostatecznym, jedynym interesem społecznym: nowem, przyszłem duchowem życiem narodu!); wszystkie względy i cele osobiste, egoizmy, ambicye, sławy, zarobki,

spory, różnice przekonań; wszystkie Jego nawet ziemskie strony i ludzkie ułomności. Niezdolność to myślenia o czemkolwiek prócz olbrzymiej, przejasnej, taborowo objawiającej się postaci ducha; niepamięć absolutna wszystkiego, co naokół, czy nawet w samym człowieku wielbionym, nie jest tą jaśnią duchową; utożsamienie człowieczej, cielesnej istoty z tkwiącym w niej boskim ducha pierwiastkiem, wczucie się takie, wkochanie, wtopienie w ten pierwiastek, że nagle olśniewająco ma się go w sobie, jest się nim i w nim; podniesienie, uduchowienie, przemienienie wszystkich hołd niosących w ogniu duchowym Wielbionego — i szał radości najwyższej, upojenie potęgą i życiem nowem, jubilacya podniebna, adoracya bezgraniczna, niewysłowna, tłumiąca na raz wszystkie zgiełki drgającym płaszczem zdyszanego milczenia, jednocząca na chwilę, która jest wiecznością, wszystkie dusze, tyle dusz, w uroczystem, niezapomnianem wniebowzięciu.

Nie sen to złudny wyobraźni. Bywały takie słoneczne Święta Ducha i bywać mogą. Sami pomnimy taką jedną wiosnę w życiu: przy sprowadzeniu zwłok Mickiewicza. A zakwitła ona tak bujnie nie dla tego, iżby on tylko był jedynym, i największym, i sam tylko uczczeń najwyższych godnym (bo nie byli odeń mniejsi ani Słowacki, ani Krasiński, ani Norwid, bo na tych wyżniach ducha hierarchij ni pierwszeństw niema), jeno dla tego, że poczucie tchniętych przezeń pierwiastków żywota miało czas aż po najdalsze rozlać się warstwy i sfery, że zapał społeczeństwa miał czas dojrzeć, spotęgować się, w pąk wezbrać wspaniały, i wreszcie, onej chwili pamiętnej, w dawno niewidzianego, olśniewającego czaru kwiat się rozwinąć. Tam nie było jednego słowa kłamnego, jednego gestu teatralnego, jednego uczucia udanego. Tam nie trzeba było naganek ni agitacyj dziennikarskich, tam nie było inicyatorów-protektorów, tam nie było miejsca dla żadnych celów społecznych czy osobistych, tam wszystkie przeszłości i przyszłości w jednej skupiły się godzinie, tam korne, wielbiące słowa z ust mówców niby krople stopionego padały uczucia, tam wieńce z trwożną, wstydliwą czcią sypały się z rąk niosących, tam wszystko zgasło, znikło, świat cały przestał istnieć: został tylko jeden punkt magnetyczny, ta trumna idąca wysoko, przykuwająca do siebie wszystkie oczy, serca, duchy, i organowym, rozmodlonym, do łkań podobnym witana tłumu pogwarem... Szedł wiew olbrzymi. Lud nie wypłacał się poecie, lecz jednoczył się z nim w przeświętej, nadziemskiej komunii. Stos ducha płonął podniebnie — a u szczytu jego już bił skrzydły tajemniczy feniks nowych zapałów, nowych twórczości, nowych żywotów. Był cu-

downy dzień żniw i siewów jednocześnie, winobrań purpurowych i wiosennych kiełkowań rosistych...

Ale chwile takich wielkich ducha podniesień są nader rzadkie. W ciężkiej glebie społeczeństw ziarno twórczych natchnień setki lat nieraz leżeć musi, zanim zakiełkuje i plon przyniesie. Nasza — podobno gorączkowo naprzód (?) idąca — epoka na cierpliwe oczekiwanie nowego przypływu zgodzić się nie umiała. Majestatyczna scenerya i wstrząsające wrażenia takich godzin ekstazy zbyt przydatnemi się wydawały do różnych celów „pożytecznych,“ a wpływy prasy na społeczeństwo — zbyt niezawodnemi, aby nie próbowano wskrzesić, wywołać sztucznie tych samych stanów duchowych. Pierwszych kilka prób odbrzmiało jeszcze pewnemi echami ostatniej, niedawnej rzeczywistości; zaczęto zatem powtarzać je coraz częściej — i wtedy rzecz wzniosła z zastraszającą szybkością stoczyła się na samo dno karykatury. Psychologia i wzajemne ustosunkowanie trzech stron biorących udział w uroczystości: jubilata, inicyatorów i ogółu, parodyjnie się wykrzywiły. Na pierwszy plan wysunęli się inicyatorzy, protektorzy, reprezentanci klas czy warstw społeczeństwa, znawcy urzędowi, dziennikarze, wszyscy, jednem słowem, maszyniści zamierzonego przedstawienia. Czują się oni panami sytuacyi: urządzą obchód albo go nie urządzą. A urządzając go — jeśli to odpowiada ich interesom i celom osobistym czy społecznym — uważają się nadto za łaskawców, za dobrodziejów względem jubilata i społeczeństwa zarówno. Toć bez nich społeczeństwo nie miałoby sposobności wykazać swych idealnych aspiracyj, swych uczuć czci, miłości, wdzięczności, — a jubilat — nie byłby jubilatem. Zawalają też chełpliwie, bezwstydnie swemi opiekuńczemi osobami wszystkie pierwsze miejsca, zaznaczają z naciskiem i notują z rozrzewniająco wzajemną troskliwością wszystkie swe zasługi, słowa, ruchy, mowy, artykuły i t. p. przyczynki uroczystościowe, traktują swego „pupila“ z przyjazną familiarnością, okazują co chwila, jak bardzo są z nim za pan brat, miotają się, hałasują, aż wreszcie, w tym wirze i zgiełku, poświętna — zdawałoby się — postać tego, który ma być uczczonym, znika prawie za plecami stłoczonych impresaryów. Ani śladu szlachetnej bezimienności w hołdach, ani śladu kornego lub przynajmniej przystojnego usuwania się przed tym, który nibyto osią jest całego obchodu, ani śladu tego mimowolnego dystansu, jaki cześć prawdziwa sama wytwarza wokół swego przedmiotu. Orgia dorobkiewiczowskiej próżności, wtykającej i tu — podobnie jak na głazy budowanych świątyń — gdzie się da, swoje nazwisko, aby wiedziano, co kto dla jubilata uczynił i komu tenże

ma być wdzięcznym. Jubilat, w całej tej komedyi czy farsie, jest manekinem, któremu wolno tylko kłaniać się i dziękować, sympatyczną figurką, którą się okazuje ludowi ze wszystkiemi szczegółami życia codziennego (co jada, co ma na ścianach w salonie etc. etc.); o tem wszakże, co stanowi jego istotę, o duchu jego, który jest lub będzie treścią żywotną całych pokoleń, nic się prawie — mimo mnóstwa popsowanego papieru — nie słyszy. Zebrawszy niepoliczone mowy, artykuły, specyalne numery czasopism, broszury i książki, wywołane przez którybądź z jubileuszów ostatniej doby, nie wydobędziemy z nich zazwyczaj żadnej treści nowej, świadczącej o żarliwszem wgłębianiu się w twórczość wieńczonego poety czy artysty, o dążeniu do osiągnięcia jakiegoś duchowego z nim wspólnictwa. Puste frazesy, wytarte komunały, powtarzane po raz setny oceny — oto plon cały. Nic, coby rozświecało bezgranicznie zarysy duchowego jego oblicza, nic, coby uświadamiało „wsiane przezeń nieświadomie ziarna potęgi," nic, coby odsłaniało nowe, ukryte dotąd tworzenia jego strony. Z wnętrza nic — co najwyżej śmieszne małpowanie zewnętrznych jego cech i oznak: jego stylu, jego zwrotów, obrazów, przenośni, jego choćby maniery. Podczas jubileuszu pośmiertnego Wiktora Hugo, dzienniki francuzkie przez parę tygodni „najpospolitsze rzeczy malowały farbami zapożyczonemi z jego palety" (E. Belial). U nas, podczas uroczystości Sienkiewiczowskich, styl gazet „czynił się" podobnież „ogromnie"... niewłasny. Do niedawna atoli miano przynajmniej tę przyzwoitość, że w artykułach i wydawnictwach jubileuszowych mówiono tylko o jubilacie, nie brano go zupełnie otwarcie za *à propos* tylko do załatwienia spraw innych. W ostatnich czasach, artykuły jubileuszowe i wspomnieniowe jęły — naprzód tu i ówdzie — zaczynać się od takich zwrotów: „W epoce wybujałego modernizmu warto przypomnieć sobie śpiewaka... i t. d.." Wydawać się to mogło z początku prostem *lapsus calami* niezdającego sobie ze słów sprawy skryby dziennikarskiego. W innej bowiem epoce niewarto byłoby zatem przypominać go sobie? Czas pokazał, że były to tylko pierwsze symptomata mającej wybuchnąć epidemii. Bo weźmy do ręki № zbiorowy Tyg. Ilustrowanego poświęcony M. Konopnickiej. Tam już nie byle kto, nie jacyś bezimienni „odwierszcznicy," lecz znany krytyk, uczony gramatyk, cnotliwy humorysta, szwajcarski profesor, słynna powieściopisarka, sami ***representative men*** według ogólnego mniemania, nie znajdują do powiedzenia o jubilatce nic prócz najbardziej zdawkowych banalności, a natomiast w niezwykle zaindyczony sposób załatwiają rachunki z „rozkochanymi w sobie mistyfikatorami namiętności,"

z „importem modernizmu mistycznego,“ z „talentami obalającemi najświętsze wierzeń ołtarze,“ z „samozwańczemi wierszydłami, szumnemi i górnemi, hucznemi i pustemi,“ z „wypożyczonemi od Mallarmé'go (niestety, nie od Mallarmé'go!) białemi pawiami,“ jednem słowem, z widmami jakichś szkół czy kierunków „modernistycznych.“ I nie koniec na tem. Rozgłośny powieściopisarz, sam jubilat niedawny, tąż drogą idzie. Dla Konopnickiej ma tylko miękkie, ogólnikowe, uczuciowe lub retoryczne frazesy, które po sto razy już słyszeliśmy i czytali — i które przeto nic nie mówią. Natomiast potępienie w czambuł całej nowej literatury, z Kasprowiczem, Wyspiańskim i Żeromskim na czele, pisane jest z taką zapalczywością, z taką intensywną niechęcią, że wycieczki tej niepodobna uważać za epizod, za *repoussoir* jedynie, lecz trzeba w niej widzieć punkt ciężkości całego artykułu i właściwy jego powstania powód. I mimowoli pytamy: był - że to jubileusz Konopnickiej, czy też rocznica urągowisk pod adresem nowej literatury? byłoż - to uczczenie wielkiej poetki czy też zażarte zwalczanie przeszłością teraźniejszości lub, jeśli kto woli, teraźniejszością przyszłości? Nie mamy potrzeby spierać się o słuszność tej walki, dzieła mówią za siebie; chodziło nam tylko o okazanie, jakie coraz drugorzędniejsze stanowisko dostawało się w jubileuszu — jubilatowi. Aż wreszcie, w najświeższym, bieżącym wypadku, usunięto go poniekąd zupełnie na stronę, wziąwszy jeno jego nazwisko za chorągiewkę, mającą przynęcać ludzi i nakłaniać do datków na jakąś „pożyteczną“ instytucyę. Jubileusze i rocznice, które kiedyś były uroczystościami ducha, zeszły zwolna do roli — składek, zabaw i loteryj fantowych na cele dobroczynne.

I stosunek ogółu do tych obchodów zmienił się zasadniczo. Impresaryowie ich zbyt często żądali od społeczeństwa zapałów i uniesień, zbyt często galwanizowali je sztucznie kampaniami dziennikarskiemi — i zwolna musiał nastąpić osłab, a w końcu zanik entuzyazmów zupełny. Dziś już niema śladu samorzutnych porywów w tym kierunku; dziś, jeśli się co robi, to pod naleganiem, to *pro honore domus*, to przez obowiązek. to w sensie wypłacenia się jubilatowi i skwitowania z nim rachunków. Punkt ostatni, ta szczególna buchalterya wdzięczności, świadczy o zatraconem zupełnie poczuciu wartości n i c z e m n i e o p ł a c a l n y c h dóbr duchowych. Mimo przysłowiowych u nas idealizmów, jest to faktem niezaprzeczonym, a raz stwierdziwszy jego istnienie, nie możemy się już dziwić ani małostkowemu stosunkowaniu liczby i wartości darów dla różnych jubilatów „odpowiednio do ich zasługi;“ ani symulowaniu ofiar,

t. j., składaniu ich *z myślą,* komu też, na jaki cel jubilat je przeznaczy, i *z wymaganiem,* aby to uczynił (dyskusya, czy *powinien* to zrobić, przedostała się, podczas jednego z ostatnich jubileuszów, nawet na szpalty dzienników); ani, wreszcie, bacznemu pilnowaniu, czy jubilat jest dostatecznie wdzięczny (!) społeczeństwu za uznanie i hojność. Dziwić się trudno, bo są to ostatnie ogniwa żelaznego następstw nieuchronnych łańcucha. Odwrócić się tylko można z niesmakiem od śmiesznej i smutnej zarazem karykatury owych wielkich uniesień i porywów, których obraz naszkicowaliśmy powyżej.

Odwrócićby się tak winni wszyscy ci, którymby w przyszłości proponowano uczczenie jubileuszowe. Toć szczery tylko poryw i prawdziwe, gorące uczucie pociągaćby ich mogły, nigdy zaś naganki forsowne, opieki protekcyonalne, inscenizacye sztuczne, jakich dzisiaj jedynie spodziewać się mogą. Niestety, miłość własna zaślepia, i wbrew oczywistości zdawać im się będzie, że oni jedni rozbili mur okolnej bezduszności, że po tylu teatralnych udaniach znowu zapał zbudzili prawdziwy; i przyjmą ofiarowany im obchód uroczysty, i będą wdzięczni tym, którzy ich za narzędzie do swych celów wezmą, i będą odpowiadali wzruszonemi improwizacyami na napuszenie - banalne impresaryów przemowy; i wyjdą z tych uroczystości jak gdyby obniżeni i pomniejszeni zarówno przez familiarne ze strony inicyatorów czy protektorów traktowanie i przez własne bezwiedne kompromisy; i w społeczeństwie, skutkiem jeszcze jednego kłamstwa na zimno, jeszcze się bardziej coś popsuje; — i wszystko to, co mówiliśmy, będzie na długo jeszcze grochem na ścianę.

Snadź nie na zawsze, bo i zło, i fałsz, i nędza — kres swój mają.

Tredecim.

POWIEŚĆ.

Wacław Beront: ***Próchno.*** Warszawa. Gebetner i Wolff. — T. T. Jeż: ***Miłość w opałach.*** Warszawa. Bibl. dz. wyb. — Ant. Fogazzaro: ***Mały światek nowożytny.*** Tamże. — Fr. Herczeg: ***Gyurkovicsowie.*** Tamże. — Jerzy Bogurad: *Pro Christo.* Tamże. — Fr. Reinsztein: ***Humoreski.*** Tamże. — E. A. Poe: ***Morderstwo na rue Morgue.*** Lwów, Warszawa. Wende i S-ka. — Antoni Miecznik: ***Na odajach stepowych.*** Warszawa. Warsz. Tow. Artystyczno-Wydawnicze. — Teresa Jadwiga: ***Dworzanin Królewicza Jakóba.*** Warszawa. Sadowski. — Ignat Herrman: ***Ojciec Kondelik i narzeczony Wejwara.*** Przekład P. Laskowskiego. Bibl. Dz. Wyb. — Wanda Grot-Bęczkowska: ***W szponach.*** Tamże. — K. Laskowski: ***Dla zabicia czasu.*** Warszawa. Sadowski. — Ks. B. Maryański. ***Ester.*** Warszawa. Bibl. dz. wyb. — ***Finlandya.*** Podług Brausewettera, opracowała Gabryela Plewińska. Tamże. — H. St. Pytliński: ***Koledzy.*** Warszawa. Mieczyński. — Jan Barszczewski: ***W kastelu.*** Warszawa. Skł. gł. Borkowski. — Cecylia Walewska: ***Bez duszy.*** Warszawa. T. Paprocki. — Matylda Serao: ***W biurze telegra-***

ficznem. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — L. Jahołkowska-Koszutska: *Z teki wrażeń.* Warszawa. Borkowski. — A. Suszczyńska: *Przekonana.* Petersburg. Grendyszyński. — Kazimierz Witte: *Szkice z pamięci.* Warszawa. Centnerszwer. —Paź: *Obrazki.* Kijów. Idzikowski. — Świątopełk Czech: *Jastrząb contra Hordliczka.* Przekład P. Laskowskiego. Warszawa.— Hajota: *Ostatnia Butelka.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.— Kazimierz Wojcicki: *Żeglarze.* Warszawa. Lisowska. — G. Orlicz-Garlikowska: *Nie-komedyantka.* Warszawa. Fiszer.

Próchno, przez Wacława Berenta. — Próchno! *„Już się ma pod koniec starożytnemu światu — wszystko, co w nim żyło, psuje się, rozprzęga i szaleje“* —[1])... Nie, jeszcze nie szaleje: psuje się dopiero i rozprzęga; trzyma się resztami rdzewiejących spoideł, hypokryzyą tego, co było ongi wiarą, komedyą tego, co było ongi życiem, oblewaniem trupów perfumami słabszemi od strasznej, straszniejszej jeszcze w tem połączeniu infekcyi. — Wmawia w siebie równowagę i skuteczność półśrodków, tych ostatnich motorów zatraty. — Wrogie, odwiecznie nurtujące go siły, święcą dyskretny tryumf wigilijny ostatecznych rozpasań; wlecze się potwornie długa doba przedednia, Gehenny zorganizowanej, systematycznej aż do pedantyzmu; zrealizowania się na ziemi jakby najgłębszych kręgów „Inferna,“ kędy w zewnętrznych lodach kona i skonać nie może skuty dajmon ludzkości, — doba industryalizmu, reklamy i prostytucyi. — Tryumfuje satanizm mierności jadowitej, ta skrajna konsekwencya rozżartych ambicyj samolubnych, dławiąca wszelką szczerość, ogień, bezpośredniość geniuszu człowieczego; tryumfuje piekielna trójca Błędu, Egoizmu, Ohydy, na tym padole niemej rozpaczy, kędy „ludzkie namiętności dawniej będące życia i pracy ramieniem i młotem,“ — „dzisiaj od biurka, od maszyny przeklęte i gdzieś głęboko, głęboko pod ziemią ukryte, aby życiu nie przeszkadzały,“ „stać się musiały w potępieniu gnuśne jadowite, trujące,“ — i zbrodnią jedynie, cynizmem, rozpaczą wybuchające — gdy wybuchną „bólu krzykiem po nocy“ [2]).

Próchno! tego złowieszczego momentu wszechdziejów załamanie się w duszach osobniczych; odczucie jego zgrozy bieżącej i przeczucie konsekwencyj jutrzejszych; *przeżycie z góry,* tragiczny symptomat i prognostyk, *uświadomienie* w duszy artystycznej, w tej najdalej ku bezmiarom wysuniętej placówce ludzkiej, w tej najwyższej *samorzutnej* samowiedzy świata, w tej przeznaczeniowo gnuśną gromadę zawsze wyprzedzającej, czujnej, jutrem i w jutrze całem jestestwem żyjącej, w tej duszy Kasandrowej, której szalejącemu bó-

[1]) Krasiński, *Irydion.*
[2]) Berent, *Próchno.*

lem jasnowidztwu tępość niewolników chwili nie zdolna dać nigdy wiary; w tym, współczesnego piekła martwoty, „żywych i kołaczących maszyn, oraz martwych i niemych ludzi,“ „bólu krzyku po nocy“ [1]).

Próchno! ostatni moment wielkiej epopei wszechdziejowej, procesu analizy historycznej. Dobieganie do dna, do tajemniczego punktu dokonanego bezwładu, rozpadu, śmierci; ostatnie rozsuwanie się tkanek trupa, przemienienie Życia w mierzwę pod nowe niwy, nowe życie. — *Życie Nowe!* — Nie onoż jest tą „siłą fatalną,“ gniotącą rzężące piersi świata? Nie onoż tym szalonym, w masce śmierci, jeźdźcem, zapędzającym ku niezgruntowanej przepaści obłąkane trwogą bezsilnego nałogu trwania, zgrzybiałe widmo dni minionych? — Nie jegoż to wiekuiście młodą, tyraniczną, wszechpotężną Wolą drga konwulsyjnie to tragiczne Próchno? — Jakaż inna moc, jeśli nie Życia samego, zdolnąby była wywołać to rozszalałe wrzenie, buchać z niego tą ostrą, brutalną wonią płodnej wszechnasieniem, zoranej świeżo ziemi przedwiosennej? — O chwilo wyroczna rozkładu! o krucza godzino Śmierci i Zmartwychwstań, śmiertelnych porodów, godzino *Próchna!*

Tym to, grozą niemal starogręcki przewyższającym tragizmem tętni u każdego pulsu epicki dramat Berenta, to „szatańskie zwierciadło“ współczesności, to krwawe świadectwo żywotnego ponad wszystko męczeństwa Sztuki i Artysty w szponach materyalnej przemocy i moralnej zarazy, ziejącej ze zwyrodniałych społeczeństw, nie zaś (jak to, „kota ogonem wykręcając,“ usiłują przedstawić rozmaici gazeciarscy „fachowcy“ paszkwilowi) obraz rzekomego dekadentyzmu indywidualnego artystów. — Więcej jeszcze: zdawałoby się, że cała prostota, samorzutność, prawość natury człowieczej, w tłumie pogardzona lub zgwałcona, w pierś artysty przeszła, utaiła się, jak boski ogień ze znieważonych kościołów w katakumbowe głębie, — i w tej jedynej gościnnej piersi wydaje śmiertelną walkę dżumie występku i znikczemnienia, atakującej ich świadomość, walkę instynktu Prawdy przeciw obłędowi Rzeczywistości; że na ten punkt prawie wyłącznie przeniósł się w całej swej wyrazistości i grozie odwieczny bój Anioła ze smokiem, Dnia z nocą, Dobra ze złem; że się w nim, w artyście, syntetyzuje i rozstrzyga naprzód ta najwyższej wagi sprawa, którą ostatecznie i w myśl tej pierwotnej, zasadniczej kampanii rozegra kiedyś gromada „gnuśna i leniwa“.... Pod przerażającym naporem tych wszechświatowych zapasów giną jednostki...

---

[1]) Tamże.

giną Borowscy, Jelscy, Müllerzy... Bohater ginie, lecz idea zwycięża: i to jest istota wszelkiego tragizmu. Zwycięża idea Życia prawdziwego, Życia Koniecznego, Życia Nowego.

Próżnobyśmy w „*Próchnie*“ szukali tego tchnienia historyozoficznego, które tak niezmiernie rozwidnokrężają pokrewne mu poniekąd dzieła Krasińskiego. Jest to zrozumiałe: te ostatnie są raczej orlim lotem wieszczego ducha, zadumą jasnowidzącą wobec pierwszych symptomatów kryzysu; — w „Próchnie“ kryzys wystąpił już w całej ostrości wypełnień. — Tam prorok czyta w księdze przyszłości oddalonej; tu odrodzeniem śmiertelnie chory człowiek pasuje się z wyprorokowanym Losem. — To też pamięć dziejowa w nim znikła, rozwiana jak daleki sen przez straszliwą, całe jestestwo zdobywającą teraźniejszość. Tu mózg wpił się z drapieżnością topielca w swe własne mary. Tu czujność syntetyczna twórcy objawia się silnem objęciem, zgęszczeniem, zobrazowaniem typowem, niezmiennem, nieskończonej wielości zjawisk współczesnych, dobyciem z nich ich Myśli jedynej. — Powszechność, wiekuistość tego niepowtarzalnego aktu tworzenia tkwi nie w rozległości perspektyw, lecz w głębi zawrotnej; nie w locie ptaka, lecz we wstąpieniu do otchłani; nie w odkryciu nieskończonego łańcucha zdarzeń, którego to jest właściwie tylko jednem ogniwem, lecz w bezwzględnem znurtowaniu chwili danej, w obnażeniu zogniskowanej w niej Wiekuistości. — Ztąd płyną pozory *aktualne*, na które, jako na najpowierzchowniejsze, czyli jedynie dla nich dostępne, rzucają się rozżarte paszcze dziennikarskiej hypokryzyi potwarczej, by tryumfalnie potrząsać potem wyszarpanemi ze zwartej, wszechludzkiej całości dzieła, i na swój sposób przegryzionemi, w kałużach prostackiej złej woli wytarzanemi strzępami... rzekomego pijactwa, cynizmu, nierządu „modernistów“...

Owo pozahistoryczne skupienie się w sobie, zapomnienie w momencie, który jednak jest tylko momentem, dalecy jesteśmy, jak to ze słów naszych wypływa, autorowi poczytywać za winę. — Kto wie jednak, czy nie ono warunkuje poczęści jedyną wadliwość tego znakomitego utworu, mianowicie jego zakończenie. — Dla jednolitości tragicznej dzieła, dla pełnej jego *momentowości*, poświęcona została szersza, Życia samego, jednolitość i rozciągłość. I logika Życia, nieznającego ostateczności, gdyż jest bez granic, zemściła się na dziele, rysując jego doskonałość tam właśnie, gdzie ta doskonałość miała być osiągnięta zadaniem mu kłamu. Niema klęsk tak powszechnych, by nad pogromem nie dumała utajona gdzieś Nadzieja; niema nocy tak czarnej, by jej żadna nie przebiła gwiaz-

da, ani próchna tak zupełnego, by w niem nie kryło się życie. Przeciwnie: im zupełniejsza klęska, śmierć, noc, tem bliższa Nadzieja, Życie, Zorza; i przed sądem Ostatecznym zwiastują Antychrysta. — A taką jest prawdziwie natchnionej twórczości prorocza potęga, że oto, samorzutnie, nad tem piekłem beznadziejnem „Próchna“ zjawił się Świt. — Lecz twórca, zaskoczony niespodzianą jasnością, nie objął niesłychanych jego znaczeń i policzył go do fosforyzacyj cmentarnych... Wskutek tego złudzenia, żelazna, *konieczna* konsekwencya całości prowadzi do *możliwego* tylko końca; dramat *powszechny* urywa się *indywidualną* katastrofą; moment filozoficzny zwęża się do psychologii; tragiczny pęd zjawisk tonie w piasku, zamiast ujście swe znaleźć w morzu. Nad wyjącą gehenną nizin brak „Próchnu“ koniecznej perspektywy niebios; perspektywy, któraby nie osłabiła bynajmniej grozy dramatu, lecz przeciwnie nadałaby mu dopiero najgłębsze, jedynie tragiczne znaczenie: wiekuistej solidarności wszechbytu, — *niezbędności* Śmierci dla Życia.

Wyznajmy jednak, że ta wadliwość nawet, wynik konfliktu niedostatecznych pomyśleń z żywiołową intuicyą twórcy, świadczy o potędze tej ostatniej i niezmierzonych *możliwościach,* gdy rozszerzone widnokręgi świadomości pozwolą jej na lot bezwzględnie wolny i mowę absolutnie przeczuciom odpowiadającą.

Pod względem t. z. formy, W. Berent jest pełnym, głębokim i świadomym artystą; artystą wypowiadającym się w jedynie rzetelnej formie, t. j., w tej, którą sam stworzył, którą jego pęd twórczy sam z siebie, sam sobą wyłonił; którą wymogła na nim istota jego natchnień. Cechuje ją rasowa, falsyfikatom niepodlegająca „wolna konieczność,“ ślub bezwzględnej *swobody,* ruchliwości, przelewności, *ze ścisłością,* odpowiedniością, podatnością. — Takim jest styl „Próchna,“ różnorodny a jednolity jak ten chaos, który wyraża; hartowny, giętki, z piętnem żarów, w których go przetopiono, wykuto; bogaty już nie w całą klawiaturę, lecz w całej orkiestry przepych brzmienia, symfoniczności i potęgi. Jest to obrazowanie linią powściągliwą i suggestywną, skupiającą się w ostrej aż wyrazistości, to rozpływającą się w akwafortowe ciemnie i narzucającą gwałtem wspomnienie Goyi; to znów migotliwe, drażniące, oślepiające roziskrzenie barw, świateł; jest to poczucie bryłowatości tak mocne, dar konturu i ekspresyi tak niesłychany, że wizye te wydzierają się z kart książki, wcielają się w plastyczne przed okiem halucynacye. — Jest to także cudowny instrument na usługi wprost zatrważającej bystrości psychologicznej, intuicyi intensywnej az do duchowiedzwa, i instynktu wprost genialnego tego, co francuzi zowią szczegółem charakte-

rystycznym, a co uwypukla jeszcze doskonałe ustosunkowanie planów perspektywicznych. — Są to, zresztą, wyodrębniające się tylko w analizie cechy. W dziele samem wykwitają bujnością rozgałęzień jednopiennych, — wielolicem lecz jednogłowem „zwielokrotnieniem“ twórczego ducha. — Budowa dzieła, genealogicznie, wywodzi się od Skandynawów i Przybyszewskiego; lecz szkielet, rusztowanie ich dzieł, ginące pod przepychem lianowym liryzmu, zostało u Berenta przekształcone, rozwinięte, do właściwego mu *dramatycznego epizmu* przystosowane. — Tak, jak ją w tem ostatniem wydoskonaleniu widzimy, jest to POWIEŚĆ WYZWOLONA, z konwenansu nic nieznaczącej ciągłości i płaskiego gawędziarstwa oczyszczona, z poniżenia, w które ją zepchnął handel „romansów i powieści“ wzniesiona na wyże sztuki, jako jedna z niezbędnych już form Eposu; — uświadomiona w swych nieskończonych środkach wypowiedzenia, w giętkiej rozciągłości swych ram, w swym charakterze syntetycznym. — Zamiast ciągnąć się długim swędliwym knotem łojówek, — wybucha ona wielkiemi, po przestworze rozstawionemi gwiazdami światła, połączonemi i przestwór ten zamykającemi silnem, dookolnem promieniowaniem; zamiast nękać tradycyjną u nas paplaniną, gardzi wszystkiem dowolnem, sięga po miazgę treści i skupia się w węzłach szpiku, wszystko pośrednie zawierających, w *niezbędnem*.

„Specyaliści“ w rodzaju p. T. J. Choińskiego, smutni właściciele „pięciu (tylko!) rozumnych klepek,“ upatrują w tej jędrnej budowie „bigos twórczości *amatorskiej*“ (!!!?). Z tą samą bystrością krytyczną ubolewają nad *niewyrazistością* typów Próchna, — i pragną osłabić historyczne wprost dla naszej twórczości znaczenie tego dzieła, widząc w niem wciąż tylko „ferment niewyklarowany“ „nowych kierunków“... Wybór politowania trudny: nad gnuśną, zimną, leniwą umysłowością „specyalisty,“ czy też nad jego prostacką... nazwijmy to „fachowością.“

Miłość w opałach, przez T. T. Jeża. — Wierna, lecz nienajpochlebniejsza odbitka twórczej indywidualności autora. — Brak dostatecznego ogniska ideowego — i odpowiadający mu brak struktury. Jest to raczej szkic obyczajowo-dziejowy, niż powieść. — Projektowana została szerzej, następnie zwężona, wskutek czego, na śpiesznej drodze do miłego końca, pogubione zostały najistotniejsze promienie akcyi. Natomiast na plan pierwszy, niszcząc równomierność budowy, występuje i rozmieszcza się szeroko opis monarszych zalotów. — Sylweta Leopolda, korowanego nędzarza, opętańca wszechzawiści, wypadła wypukło, choć niejednokrotnie podmalowana karykaturalnością zbyt tanią i jeszcze tańszym konceptem z kategoryi

„męskich.“ Język, jak zwykle, rdzennie polski, lecz nieraz grzesznie niedbały; sumienność opisu inwentarzowa; charakterystyczna pedagogiczność wtrąceń refleksyjnych.

Mały światek nowożytny, przez Ant. Fogazzaro, — przekład Korzeniowskiej. — Jedna z mniej lichych powieści autora, co jednak nie kwalifikowałoby jej do wcielenia w naszą i tak zaśmieconą literaturę przekładową. Autor, niewolnik stronniczego pseudo-idealizmu, zdaje się tu wyzwalać, usamoistniać. Przemiana ta jednak dokonywa się bojaźliwie i nikło,. z piętnem burżuazyjnej pigmejowości w rozmiarach i głębi tła, zjawisk i procesów odrodczych. — Tłómaczenie nędzne, robota martwa, pośpieszna, niedokładna — maszynowa.

Gyurkovicsowie, przez Fr. Herczeg'a, tłómaczyła B. Jaroszewska. — Trzytomowe gawędzenie „bywalca“ o innych bywalcach światka zwanego „towarzystwem,“ z zaletami prostoty, humoru, bystrości, niekiedy finezyi samorodnej, i pewnej czardaszowej werwy, nie wychodzącej zresztą po za obręb „przyzwoitości“ i przeciętności, co razem tłómaczy wspomniane w przedmowie „powodzenie“ tych gawęd i „robienie kasy“ na scenie. — Z kolei — owem „powodzeniem“ objaśnić można stopniowe w 2 dalszych tomach stępienie ciętości satyrycznej i zblaknięcie quasi romantycznego rozmachu fantazyi, cechujących tom pierwszy, oraz zastąpienie ich coraz nieszkodliwszą, „sympatyczniejszą“ dobrodusznością. Są to charakterystyczne owoce traktatu z Fortuną i wolnej z nią wymiany laisser-faire'yzmu na dobra doczesne. — Przekład staranny, lepszy od wyboru przełożonej książki.

Pro Christo, przez Jerzego Bogurada. — Panoramy Styki na papierze. Bezskuteczne zasłanianie swej twórczej nicości ogromem tematu, którego wyzyskiwanie w ten sposób jest najcięższą zniewagą, gdyż, nie budząc silnej reakcyi oburzenia, poniża nieuchwytnie, gorszy bezkarnie. Niedołęstwo obrazowania absolutne. Język płaski i pretensyonalny. Opłakany melodramat, parodyujący najgłębsze Misterya Bytu.

Humoreski, przez Fr. Reinszteina. — Pseudo-humorystyczne śmiecie brukowe, rozprowadzające pewną nikłą suggestyę Twain'a w mdłej wodzie pół-udanej filisterskiej dobroduszności. Chude w treści, sztywne i jednostajne w ruchu słów, i jak wszystkie nieudane koncepty, — niesmaczne i budzące spleen.

Morderstwo na rue Morgue, przez Edgara Allana Poe'go, przełożył W. Szukiewicz. — Tłómaczenie niniejsze jest jednym z tych nieprawdopodobnych występków przeciw Geniuszowi i Sztuce, które swą

bezkarną możliwość zawdzięczają równie nieprawdobnej ciemnocie naszych sfer wydawniczych i czytających. — Język tłomacza jest zespołem najgrubszego nieuctwa, prostackiej niedbałości i tępego lenistwa. — Plącze się on beztroskliwie w arabeskowych zwojach stylu Poe'go, nie kłopocząc się o ich znaczenie, ani nawet o składnię; błędy gramatyczne jeżą się na każdej niemal stronicy; ohydne neologizmy plugawią okres po okresie; treść oryginału osłabia dobór słów wytartych, wodnistych, odbarwionych; ustępy trudniejsze znamionuje jakaś bezprzytomność tłómaczenia dosłownego, z którego wykwitają nieprzebite mroki absurdu. — Niezmierny duch Poe'go z wandalizmu tej roboty bezwstydnej i świętokradzkiej wyszedł okaleczony i obrabowany z najświetniejszych swych blasków, i świeci po przez nią jak słońce przez mierzwę.

Na odajach stepowych, przez Miecznika. — Niewyzyskane tworzywo powieści, z rudą talentu, niedbale przez autora wyzyskaną, przeto dotychczas nieobliczalną. — Nawet „fabuła," będąca celem książki, rozwija się słabo, bezsilnie w chwilach dramatycznych, i rozprzęga się dowolnie. Zadatkami lepszej niż licha teraźniejszość przyszłości mogłyby być zalety: niewymuszona prostota, szczerość ekspresyi — i pewna wrażliwość na przyrodę, odbijająca dość jaskrawie od psychologicznego niedołęstwa.

Dworzanin Królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.—Wszelkie *prawdziwe dzieło sztuki* jest nierozerwalnym ślubem ducha z substancyą, idei z kształtem. — Nieobecność jednego z tych zasadniczych pierwiastków skazuje dany utwór na estetyczną nicość; zaś bezsilny w ekspresyi kształtowej idealizm tyleż wart co bezduszny artyzm formy. — Do pierwszej z tych dwu kategoryj dzieł poronionych należy niniejsza książka, w której cenne zalety udzielającego się zapału i pewna szlachetna poezya hartu — błąkają się nieucieleśnione ponad niedołęstwem czy niedbalstwem uplastycznień. — Usprawiedliwieniem tego kapitalnego błędu nie może być poświęcenie książki młodzieży: postulaty literatury dziecięcej są identyczne z postulatami każdej innej twórczości — tego nawet u nas dowodzić już nie trzeba.

Ojciec Kondelik i narzeczony Wejwara, przez I. Herrmann'a, przełożył z czeskiego P. Laskowski. — Rozwałkowany do objętości trzech tomów „wykrawek z życia" mieszczańskiego, tej parodyi patryarchalności. Holenderszczyzna nie bez talentu (n.p. język świeży, bystrość postrzegania, dyalog charaterystyczny, zacięcie humorystyczne); lecz przytem beznadziejne rozmiłowanie, rozmlaskanie się w trywialnych komfortach, łakomstwach, figielkach, płas-

kościach ślimaczych istnień, bez żadnej, by najlżejszej pokusy lotu, mocy, ni satyry, z jedną tylko ambicyą: stwarzania pociesznych „kawałów.“ Dławiąca ciasnota widnokręgów i — co gorsza — haniebnie naturalna zgoda na tę właśnie ciasnotę. — Przekład, rzecz prosta, zbyteczny.

W szponach, przez Wandę Grot-Bęczkowską.—Cnotliwie filisterska, zmysłowo-idealna, buduarowo-sypialna, „różowo-błękitna“ woda.

Dla zabicia czasu, przez Kazimierza Laskowskiego. — „Humoreski“ w stylu „Kolców;“ płaskie, nudne i mocno sobą ucieszone koncepty reporterskie. — Cel wyrażony w tytule doskonale dopięty.

Ester, przez ks. B. Marjańskiego. — Trzytomowe liche rozwodnienie epizodu biblijnego, ozdobione zdawkową i martwą erudycyą.

Finlandya w oświetleniu literackiem, podług Brausewettera opracowała G. Plewińska. — „Oświetlenie,“ łojówki dobywające z ciemności rupiecie kątów, lecz zostawiające w mroku główne linie duchowe tego kraju. — Z wyjątkiem może krajobrazu, szkic wstępny jest marną bibliograficzną ramotą; „zbiór utworów“ zaś — kupą finlandzkich śmieci. — Niepojmowalne są pobudki przekładu i wydawnictwa tej nędzy wyjątkowej.

Koledzy, przez H. St. Pytlińskiego. — „Z gruntu poczciwe“ powieścidło, opisujące rozwlekle ustalenie się sercowe trzech studentów, zindywidualizowanych wyraźnie, lecz szablonowo; „wykrawek z życia“ duszy, społeczeństwa i przyrody, nie wychodzący po za powszedniość, pełny najlepszych lecz nieuskutecznionych intencyj. — Charakterystyczny brak pozy i altruistyczne *ciepło*, każące przypuszczać istnienie gorętszego wnętrza, lecz krążące w powieści systemem rur dość pospolitym.

W Kastelu, przez Jana Barszczewskiego. —Efemerydy nie bez pewnych zdolności, lecz skazane na zniknięcie wraz z kurzawą podobnych, gorszych lub lepszych, „kartek ulotnych,“ pisanych na kolanie z dziennikarską (miejscami reporterską) pobieżną werwą i „wszechstronnością.“ — „Pot-pourri“ felietonów przerozmaitej treści i dwie nowele, z których lepsza p. t. „Bryła.“

Bez duszy, przez Cecylię Walewską. — Tytuł niniejszej „fantazyi powieściowej“ jest jej najzwięźlejszem określeniem i możnaby na niem poprzestać, gdyby nie *wystawowość* okazu, który jest kwintesencyą *warszawszczyzny*. — Na podatnym gruncie wielomówności damskiej rozrosła się ona bujnie „estetyzmem“ szwalni, „dreszczowością“ piernatów, „demonicznością“ tucznych indyk, „mistycyzmem“ strachów na wróble, „poezyą“ fajerwerków, „użyciem“ utrzymanek mniej więcej legalnych i „dramatycznością“ sztuk „ludowych.“ —

Zawrotna elukubracya na temat „zbudzenia się serca“ w „kobiecie-posągu,“ do której odsyłamy żądnych informacyi bliższej.

W biurze telegraficznem, przez Matyldę Serao. — Jedno z niezliczonych zagranicznych rupieci, które w tłómaczeniach powiększają domorosłe śmietnisko.

Z teki wrażeń, przez L. Jahołkowską-Koszutską. — Autorka zamiast nękać „realizmem,“ czyha z „autoanalizą,“ zaczerpniętą z „Bez Dogmatu“ i „Znużonych dusz“ przez mózg „dwa razy większy od kurzego.“ — Snobizm z przed lat kilku (echa jego tulają się dotąd jeszcze), który obowiązywał wtedy „ofiary przerafinowania“ do samokrytycznego dłubania w nosie i „rozbierania kwestyj“ mniej więcej „palących.“ — Po za tem werwa pensyonarska siląca się na styl „męski,“ — złośliwość kobiety - zawsze - rywalki, sentymentalizm. — Tu i owdzie rozwiewające się wśród banalności tekstu zacząt-ki szczerych uczuć. — Niemile rażą z warszawska spieszczone wyrazy jak np. „tonik,“ „chlewek,“ „bydelko,“ oraz częste zapożyczanie się wyobraźni u konfekcyi damskiej.

Przekonana, przez A. Suszczyńską. — Bezecna banalność łączy się w tej ramocie z hańbą zgniłego języka. — Świat oglądany z five o'clock'owej kanapy, zdobny poezyą „oka“ i „drażniących“ „kostyumów.“ — Tragedya sroki.

Szkice z pamięci, przez Kazimierza Witte'go. – Mazanie ślimaka śluzem po piasku.

Obrazki, przez Pazia. — Autor zdaje się nie mieć najlżejszego pojęcia, czem jest tworzenie i do czego obowiązuje. Nie posiada też w tym kierunku intuicyi, a dobra wola jest niedostateczną. Najlepszy pomysł nie okupi artystycznego niedołęstwa, przeciwnie nawet, tem wyraźniej je zaznaczy.

Jastrząb contra Hordliczka, przez Św. Czecha. — Powiastka pełna dyskretnego wdzięku i zadumy nostalgicznej. Miarę przekładu daje tytuł, w którym tłómacz, mało się troszcząc o swe braki słownikowe, nazwisko *Hrdliczka* (synogarlica) spolszczył wedle znanego mu zapewne szyldu z Placu Teatralnego.

Ostatnia butelka, przez Hajotę. — Typowy okaz przeciętnej miejscowej „kobiecości“ twórczej: gnuśny bezwład umysłu i ducha, i ztąd płynąca ciasnota horyzontów pojęciowych i wrażennych, która nawet Afrykę przerobi na odpowiedni sobie kojec; — niewola u rytmu twórczości męskiej, objawiająca się pseudo-„realizmem“ i pseudo - „humorem,“ skrajnie niesmacznym, niekiedy aż plugawym. — Fantazya naciągana, pełna afektacyi, oraz suggestyi kuchni, pralni, garderoby i t. p. — idealizm odcinków brukowych. — Po za

tem — o niedocieczona zagadko! — ślady niewątpliwe talentu (pewna intuicya, niekiedy nawet siła, np. w opisie orgii,) lecz w stanie skazenia, rozkładu, zżarcia przez wpływy wszelakich banalności, nieuctw, demoralizacyj estetycznych, — a przedewszystkiem przez własny autorki brak świadomości i woli Ideału.

Żeglarze, przez Kazimierza Wójcickiego. — Nic z tworzeniem ni sztuką wspólnego nie mające elukubracye, zbyteczna sentymentalna gadanina pseudo-poetyczna, budząca politowanie skrajnem niedołęstwem oraz odrażającą pozą genialności.

Nie-komedyantka, przez H. Orlicz-Garlikowską. — Nędzna, papuzio-zewnętrzna parafraza Reymontowej „Komedyantki," z nikłą niby-antytezą niby-myśli przewodniej i charakterystyczną atmosferą warszawskich gyneceów intelektualnych. Pływanie roskoszne po sadzawce „upajających" samozadowoleń i zdradzanie swej łabędziowości kapitolińską wrzawą.

Włast.

SZTUKI PLASTYCZNE.

OPIEKA NAD ZABYTKAMI SZTUKI modną była przed jakimś rokiem. Co chwila czytało się lub słyszało — gorzkie wyrzuty i nawoływania z powodu wandalsko niszczonych przez ludzi lub przez zaniedbanie idących w ruinę pomników architektury kościelnej i świeckiej; rozprawy i spory na temat restauracyi czy odnawiania tychże; ostrzeżenia przed zalewającemi tandetą kościoły nasze fabrykami i handlami niemieckiemi; protesty artystów i lubowników sztuki przeciwko witrażom niemieckim w katedrze wawelskiej; alarmy z powodu wykupujących tak rzadkie już u nas dzieła sztuki dawnej cudzoziemskich agentów i handlarzy starożytności; pomysły zakładania muzeów prowincyonalnych (Płock, Łomża, Lublin, Sandomierz, Radom), oraz towarzystw opieki nad zabytkami sztuki; entuzyastyczne, wreszcie, wiadomości o nielicznych pożądanych, istotnie artystycznych w dziedzinie tej przedsięwzięciach i rezultatach. Można było mniemać, że, po długich dobach opieszałości i martwoty, zbudził się nareszcie ruch żywy, płodny i nieobliczalnemi brzemienny następstwami. Niestety, jak powiadamy, była to moda tylko, i jako taka trwała krótko. Wszystko wstrzymało się, zmilkło, przygasło, właśnie w chwili, gdy fakta pierwszorzędnego znaczenia zdawały się wymagać zabrania głosu, położenia kategorycznego nacisku, roztrząśnięcia ścisłego podstawowych, samą istoty sztuki zatrącają-

cych postulatów. Mówiąc to, mamy przedewszystkiem na myśli dochodzące zewsząd wieści o odebraniu wielkiemu artyście Józefowi Mehofferowi oddanej mu przed półtoraroczem, na podstawie szczegółowych szkiców i kartonów, polichromii wewnętrznej w katedrze płockiej, — oraz pojawienie się dwóch broszur: hr. Karola Lanckorońskiego i prof. Józefa Mehoffera, z powodu prowadzonych w katedrze wawelskiej robót restauracyjnych. Kwestyi katedry płockiej nie chcemy dzisiaj poruszać. Nie wierzymy dotąd w obiegające pogłoski, ufamy niezłomnie, że było to tylko chwilowe nieporozumienie, że wszelkie względy osobiste czy niezgody w poglądach na szczegóły artystyczne ustąpią, w sferach decydujących, przed szczerem, gorącem pragnieniem podniesienia i uzupełnienia pięknie odbudowanego gmachu wielką, monumentalną dekoracyą wewnętrzną, która jak imponującą, jak jedynąby była, świadczy zachwyt ogólny przed wystawionemi na ostatniej ekspozycyi „Sztuki" krakowskiej polichromicznemi naturalnej wielkości kartonami. — Koniecznem natomiast i nader pilnem wydaje nam się choćby najzwięźlejsze rozpatrzenie wymienionych broszurek i wyprowadzenie wniosków kategorycznych o zawartym w nich kontrowersie. Koniecznem — bo nie o byle co tam chodzi, nie o jakiś fakt poszczególny, choćby tak ważny, jak odnowa katedry wawelskiej, lecz o najbardziej zasadnicze kwestye sztuki, talentu i znawstwa, o kamienie węgielne, na których wspiera się cały gmach kultury artystycznej. Pilnem — bo pisemko hr. Lanckorońskiego, „pchane" wszelkiemi sposobami, dołączane gratis do czasopism w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, otoczone zresztą aureolą hrabstwa i wiedeńskiego znawstwa, zdołało już wywołać skutki fatalne, którym nie mogły zapobiedz doskonałe, głębokie, konsekwentne, ale „nielansowane" tak wytrwale *Uwagi o sztuce* Mehoffera. Czasopisma, zwłaszcza te, które dołączały dla czytelników swych wywody hr. L., miały obowiązek, po ukazaniu się odpowiedzi Mehoffera, rozpatrzyć szczegółowo lub przynajmniej dokładnie streścić zawarte w niej przeciw - dowody. Uchyliwszy się od tego, upoważniły do dwóch, co najmniej, przypuszczeń: że zasadnicze kwestye sztuki są im zupełnie obojętne, i że wspomniane wyżej nawoływania o opiekę nad losem zabytków artystycznych czczym, zdawkowym były frazesem.

Hr. Lanckoroński jawi się bardzo wyraziście, w swem „*Nieco* o nowych robotach w katedrze na Wawelu," jako dość częsty dzisiaj typ formułkowego znawcy - archeologa, uznającego tylko sztukę, która „przetrwała wieki," albo przynajmniej „zwyciężyła już w walce o byt," ale zaskoczonego niespodzianem *en vogue* nowych in-

dywidualności i kierunków i — przez lęk przed zarzutem ciasnoty czy pedantyzmu — udającego, że je rozumie i podziwia — z zastrzeżeniami. Właściwie, znawca taki *udaje* również — choć tym razem bezwiednie, pod nieodpartą suggestyą patyny czasów i ogólnego zdania — zrozumienie i admiracyę względem uznawanej przez się, „wyjętej oddawna z dyskusyi" sztuki czasów minionych. Rozumie on i admiruje nie talenty i dzieła, lecz nazwiska uznane i daty chronologiczne. Uwielbia *całego* Fra Angelica, *całego* Velasqueza, *całego* Dürera, nie zna u tych „wielkich mistrzów" nic mniej godnego uwagi, nie widzi pomiędzy nimi żadnych zasadniczych różnic, przeciwieństw, „zbyt silnych podkreślań własnej indywidualności." Gorzej, podziwia jednako Puvis de Chavannes'a i opata Woltera z Beuronu, Burne-Jones'a i Flandrina lub Overbecka. Podziwia *całą* przeszłość, nie dostrzega w niej przełomów, odskoków, rewolucyj, śmiałości i nawet „barbarzyństw." Wszystko zasnuwa mu się tam jakąś błogą, jednostajną szarzyzną „doskonałości," od której gwałtownie odskakują dopiero „pełne silnego talentu," ale „na szczęście" odrzucane dzięki „zwycięztwu zdrowego rozsądku" „eksperymenty" dzisiejszych „jeszcze w rozwoju będących" kierunków. I oto gotowe przenaiwne wyznanie, że „różnica między lewem skrzydłem (!?) najnowszego malarstwa a malarstwem wszystkich dawniejszych epok wydaje się być większą, niż różnica malarstwa tych epok między sobą." Mimowoli przychodzi na myśl wyborne określenie z dawniejszych Mehofferowskich *Uwag o sztuce i jej stosunku do natury* (1897), że „tak zwani znawcy, to są ludzie, którzy się dosyć zajmowali sztuką, nie mając jednak na tyle duszy artystycznej, aby potrafili objąć wszystkie drogi, któremi dusza ta chodzi." Mogą oni dużo wiedzieć, mogą nawet, „przez ciągłe stykanie się z dziełami wszystkich epok i wszystkich narodów," wyrobić w sobie jakiś powierzchowny smak antykwarsko-bibelociarski, — że wszakże brak im zupełnie głębszej wrażliwości, instynktu, poczucia sztuki, więc, uznając na wiarę cały już zinwentarzowany w historyach czy podręcznikach dorobek artystyczny, stają bezradnie przed każdem nowem dziełem samoistnego talentu. Przepowiadają sobie stare, częstokroć zupełnie słuszne zasady estetyczne i próbują zwalczać niemi nowatorstwa „młodych apelesów i fidyaszów," niezdolni dostrzedz, że te ostatnie, pod nowym kątem widzenia, stwierdzają właśnie raz jeszcze i w całej rozciągłości najwewnętrzniejszą owych zasad istotę. Jaki przerażający galimatyas powstać może z powiązania takich niezaprzeczalnych postulatów z najniedołężniejszemi, najfałszywszemi ich przystosowaniami, — świadczy epokowo *Nieco etc.* hr. Lancko-

rońskiego. Oto kilka zestawień, decydujących o całości. *Teorya:* patyna czasu godzi rzeczy nawet niezgodne (np. gotyckie katedry francuzkie z dodatkami w stylu Ludwików XV i XVI). *Praktyka:* patyna ta bezsilną będzie względem malowideł „pierwszorzędnych talentów“ dzisiejszych na murach katedry wawelskiej (dodajmy, że i bez tych malowideł bardzo różnostylowej). *Teorya:* niwelacyjne doktryny t. zw. czystości i jedności stylu przy odnowach starych zabytków, zamiast zdrowej twórczości artystycznej, prowadzą do czczych, mniej więcej udatnych imitacyj rzeczy z innego wieku. *Praktyka:* trzeba godzić tradycye dawnych mistrzów z właściwym każdemu temperamentem i z uczuciami własnej epoki, malarze zaś dzisiejsi są zdolni, ale nie umieją dostroić swej duszy i kolorów swej palety do atmosfery murów katedry krakowskiej. *Teorya:* nie trzeba ścierać ze starego gmachu śladów życia, zostawionych przez wieki minione. *Praktyka:* trzeba katedrę krakowską tylko chronić od ruiny, ale strzedz się wszystkiego, coby na niej pozostawić mogło ślad życia dzisiejszej epoki. *Teorya:* „połowiczne zrozumienie (czy nie odczucie?) dawnych epok i ich zabytków prowadzi do uszkodzenia, zupełne zaś do prawdziwego konserwowania zabytków.“ *Praktyka*: „wymaga się od kierownika restauracyi starego gmachu przedewszystkiem wielkiego uszanowania (więc: zrozumienia lub, lepiej, odczucia, czy też tylko „uszanowania“?) przeszłości i wielkiego wyrzeczenia się siebie (w takim razie, wyrzeczenia się i swych subjektywnych ostatecznie zrozumień czy odczuć, zbiernienia się zupełnego!). DUŻE ARTYSTYCZNE ZDOLNOŚCI NAJCZĘŚCIEJ MOGĄ BYĆ SZKODLIWE...“ — I otośmy nakoniec u jądra rzeczy. Wszystkie piękne ogólniki teoretyczne, powtarzane za Ruskinem, czy kimkolwiek innym, były sobie ogólnikami, z któremi rzeczywiste, własne przekonania hr. L. nic nie mają wspólnego. Jedyną normą, jedynym postulatem, przy restauracyi zabytków dawnej sztuki, jest dla niego tradycya, — ale źle zrozumiana, martwa, polegająca na przeżuwaniu form starych. Świadczą o tem nietylko wyrażenia broszurki, lecz i ofiarowane przez autora do katedry wawelskiej bezduszne pastisze: sarkofag Jadwigi i pomnik Oleśnickiego. Talent prawdziwy, który, z natury swej, jedynie zdolen jest odczuć twórczo ducha przeszłości, i który, biorąc natchnienie z form i wyrazów jej życia, tworzy formy nowe, dzisiejsze, będące tej przeszłości żywym dalszym ciągiem, — bawi się, według hr. L., w „eksperymenty.“ Tak, jakby wszystkie wielkie twory mistrzów przeszłości powstawały odrazu, z założenia, z całą pewnością i świadomością, jako arcydzieła; tak, jakby tam także nie było niepewności, wahań się i prób;

tak, jakby *każde* wielkie dzieło twórcze „eksperymentem" nie było i być nie musiało. Że hr. L. nie ma dość głęboko wrażliwej duszy, aby módz odczuć tę ciągłość ducha i życia w monumentalnych dziełach „pierwszorzędnych talentów" dzisiejszych (o, jakże to ostatnie wyrażenie brzmi teraz nieszczerze! jakże snobizmem pachnie!); że, z drugiej strony, nie mają one jedynem dlań kryteryum będącego uświęcenia wieków, — więc „doświadczenia" te wydają mu się niebezpiecznemi, świadczącemi o braku poszanowania dla starych zabytków. Precz zatem z restauracyami i odnowami! Podtrzymywać tylko i chronić od ruiny. Albo lepiej jeszcze — precz z talentem, precz z dużemi zdolnościami artystycznemi, które najczęściej mogą być szkodliwe, i niech żyją pokorna mierność, trwożliwa bezpłciowość, ślepe naśladownictwa i łataniny, szablon tchórzliwy i powierzchowny.—Pozytywne zarzuty przeciwko malowidłom w katedrze wawelskiej? Wszystko to, co razi hr. Lanckorońskiego u dzisiejszych „pierwszorzędnych talentów," wszystkie dziwactwa, gesty zbyt naturalistyczne, kolory „nader jaskrawe," „zbyt silne podkreślanie własnej indywidualności," przypomnieć mu możemy u najuznańszych mistrzów przeszłości. — Jesteśmy też pewni, że gdyby żył w którymkolwiek z wieków minionych, oponowałby i agitował przeciwko Orcagnom, Michałom Aniołom, Botticellim i t. d. tak samo, jak dziś oponuje i agituje przeciwko Mehofferom i Wyspiańskim, a gdyby miał podobną jak dziś aureolę znawcy, „kunstrata," i połączone z nią wpływy, pozbawiłby historyę sztuki niejednego z owych dzieł wielkich, które dzisiaj sam podobno uwielbia czy łaskawie uznaje. Cóż robić? Są już takie hamulce przy tryumfalnym wozie sztuki. Nikt chyba wszakże z taką, jak hr. L., otwartością nie podniósł do dogmatu, do zasady — „szkodliwości talentu" przy restauracych zabytków artystycznych. W nielubiącej wszelkich niezwykłości, do jakich i talent należy, epoce naszej, enuncyacye takie chętny natychmiast znajdują posłuch — i mieliśmy sposobność przekonać się osobiście, że zwolennicy pozbawionych tego „szkodliwego" pierwiastku fabrykatów monachijskich, düsseldorfskich czy monasterskich śmielej znów dziś podnoszą głowy i głosy. Nowy zalew lichot i ohyd wdzięczna potomność będzie mogła przypisać naszemu „europejskiemu" znawcy. Spokojna, lecz stanowcza, pełna gorącości dusznej, krzepkości myślowej i erudycyi bogatej, odpowiedź J. Mehoffera, którą *Ver sacrum* wiedeńskie zamieściło w przekładzie (1903, № 14),— energiczne, i nienader pochlebne pod aresem hr. L., znalazła za granicą echo. U nas tylko cicho o niej, a pomiędzy artystami — o dziwo! — nawet nieprzychylnie. Za delikatna — powiadają. Nie krzy-

kiem, nie brutalnością zwycięża się w sporach takich, lecz pełnią treści, a tej u Mehoffera starczyłoby na cztery nowe „Nieco“ hr. Lanckorońskiego.

Z. P.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — G. d'Annunzio. *Le laudi.* Milano. Fr. Treves. — K. Balmont. *Budiem kak słońce.* Moskwa. „Skorpion“ — Iw. Bunin. *Listopad. Stichotworenia.* Moskwa. „Skorpion.“ — D-moll. *Święto słońca.* Lwów. Księg. Polska. — K. Gliński. *Poezye.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb — B. Hertz. *Bajki.* Kraków. —Homer. *Iliada. (Pomór - Gniew).* Tekst grecki L. Sternbacha, przekład J. Słowackiego, ilustracye St. Wyspiańskiego. Kraków. Nakł. H. Altenberga (Lwów). — E. Janowska. *Z wydartych kart.* Warszawa. J. Fiszer. — M. Konopnicka. *Obrazki. — Pieśni i piosnki.—Z mojej księgi.* (Poezyj w nowym układzie tom III, IV i V). Warszawa. Geb. i Wolff. — P. Leppin. *Glocken die im Dunkeln rufen.* Mit Bildern von H. Steiner. Köln. Schafstein et Co. — J. Mirski. *Tajemnice.* Lwów. Księg. Polska. — A. Mogilnicki. *Z jasnych dni.* Łódź. Skł. gł. u Wegnera i Rychlińskiego. — J. Nawrocki. *Strofy.* Lwów. Księg. Polska. — B. Ostrowska (Edma Mierz). *Opale.* Warszawa. J. Fiszer. — A. Puszkin (tłóm. Leo Belmont). *Eugeniusz Oniegin.* Kraków. Gebethner i S-ka. — *Siewiernyje cwiety* na 1901, 1902 i 1903 goda, sobrannyje Knihoizdatielstwom „Skorpion.“ Moskwa. Trzy tomy. — L. Staff. *Dzień duszy.* Lwów. Księg. Polska. — C. Stattlerowa, oraz Hel., Klem. i Mar. Stattlerówny. *Poezye.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — P. Stefan. *Der Heimatsucher.* Linz. O — ö. Verlagsgesellschaft. — Z. A. Tysski. *Poezye.* Skł. gł. u J. Fiszera. — J. Wiśniowski. *Poezye.* II. Lwów. Tow. Wydawn. — Fr. Zabłocki. *Pisma.* (Ody, pasterki, satyry, wiersze rozmaite, pamflety polityczne wierszem i prozą, przekłady i naśladowania, urywki różnych komedyj). Zebrał i wydał dr. B. Erzepki. Poznań. — Wł. Zalewski. *Skrzydła wichrowe.* Warszawa. Gebethner i Wolff.

POWIEŚĆ. — W. Berent. *Próchno.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — W. Berent. *Fachowiec.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — B. Biernacki. *Biuraliści.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — E. Bogdanowicz. *Pan Zagłoba i Dyogenes.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — P. Bourget. *Po szczeblach.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Bret - Harte. *Ostatnie nowele.* Warszawa. Bibl Dz. Wyb. — F. Brodowski. *Chwile.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — H. Caine. *Izrael.* Warszawa. Cohn. — F. Chwalibóg. *Humoreski.* Lwów. Tow. Wydawn. — Conan Doyle. *Pies Baskerville'ów.* 2 części. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — G. Daniłowski. *Dwa głosy.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — M. Domańska. *Cicha moc.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Fogazzaro. *Mały światek nowożytny.* 2 części. Warszawa. Bibl. Dzieł Wybor. — H. Orlicz-Garlikowska. *Nie Komedyantka.* Warszawa. J. Fiszer. — S. Gacki. *Rozdźwięki.* Warszawa. Jan Fiszer. — E. Gebhart. *Przy dźwięku dzwonów.* Warszawa. Bibl. Dzieł Wyb. — A. Gide. *L'immoraliste.* Paris. Mercure de France. — K. Gliński. *Pan Filip z Konopi.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — K. Gliński. *W Babinie.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — W. Gomulicki. *Miecz i Łokieć.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Hajota. *Ostatnia butelka.* 3 części. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — K. Hamsun. *Pan.* Moskwa. „Skorpion.“ — K. Hamsun. *Siesta.* Moskwa. „Skorpion.“ — K. Hamsun. *Drama żiżni.* Moskwa. „Skorpion.“ — I. Herrmann. *Ojciec Kondelik i narzeczony Wejwara.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Ire ad sol. *Głód życia.* Warszawa. Skł. gł. w Księg. Naukowej. — K. Irzykowski. *Pałuba.* Lwów. Księg. Polska. — E. Jeleńska. *Z miłości.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — T. T. Jeż. *Miłość w opałach.* 2 części. Warszawa.

Bibl. Dz. Wyb. — M. Jokai. *Czarna krew.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Kielland. *Kapitan Worse.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. Komornicka. *Biesy.* Warszawa. Nakład Chimery. — A. Krzyżanowski. *Ogniwa.* Warszawa. K. Idzikowski. — Aleksandra Łapińska, *Z ludzkich dróg.* Warszawa. E. Wende i S-ka. — M. Manteuffel. *Statyści.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Miecznik. *Na odajach stepowych.* Warszawa. Skł. gł. u J. Fiszera. — A. Miecznik. *Historya o królewiczu Milanie.* Warszawa. Jan Fiszer. — A. Miecznik. *Cztery dni.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — D. Mierezkowskij. *Lubow' silnieje smierti.* Moskwa. „Skorpion." — W. Morris. *Wieści z nikąd.* Lwów. H. Altenberg. — Multatuli. *Maks Havelaar.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Niemojewski. *Listopad.* Łódź. Rychliński i Wegner. — *Nowele amerykańskie.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — J. Ohr. *Miliony.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — E. Orzeszkowa. *Mirtala.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — E. Orzeszkowa. *Czciciel potęgi.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — E. Orzeszkowa. *Anastazya.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — E. Orzeszkowa. *Przędze.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Ostoja. *Nad morzem.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — J. Peladan. *Citové zasviecení* Praha. Symposion. — J. Piasecki. *Walka.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — E. A. Poe. *Morderstwo na rue Morgue.* Lwów. Księg. Polska. — M. Prévost. *Listy do Frani.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — W. Przeradzka. *Fragment.* Warszawa. F. Przeradzki. — F. Reinstein. *Humoreski.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Wł. St. Reymont. *Komurasaki.* Warszawa. Nakl. Chimery. — B. Jaksa-Ronikier. *Promienna toń.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — E. Rod. *Daremne wysiłki.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — George Sand. *Ostatnia z Aldinich.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. Schwob (przekł Miriama). *Krucyata dziecięca.* Warszawa. Nakł. Chimery. — H. Sienkiewicz. *Za chlebem.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — W. Sieroszewski. *Brzask.* Warszawa. Nakład. autora. — Teresa Jadwiga. *Dworzanin królewicza Jakóba.* Warszawa. Sadowski. — J. Terpiłowska. *Przystań.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — K. Tetmajer. *Na skalnem Podhalu.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Vera. *Jedna dla wielu.* Łódź. Rychliński i Wegner. — C. Walewska. *Historya dzieci.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — W. Weresajew. *Na Bezdrożu.* Lwów. H. Altenberg. — J. Weyssenhoff. *Za błękitami.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — J. Weyssenhoff. *Zaręczyny Jana Bełzkiego.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — K. Wóycicki. *Żeglarze.* Warszawa. J. Lisowska. — G. Zapolska-Janowska. *Jak tęcza.* Lwów. Księg. Polska. — H. Zbierzchowski. *Przed wschodem słońca.* Lwów. H. Altenberg. — J. Zeyer (przekł. Miriama). *Król Kofetua.* Warszawa. Nakł. Chimery. — J. Żuławski. *Na srebrnym globie.* Lwów. Towarz. wydawnicze.

TEATR. — G. d'Annunzio. *Sny pór roku.* Lwów. Altenberg. — Björnstjerne Björnson. *Laboremus.* Lwów. H. Altenberg. — R. Bracco. *Pietro Caruso.* Lwów. H. Altenberg. — Euripides. *Cyklop.* (Przekł. J. Kasprowicza). Lwów. H. Altenberg. — M. Gorkij. *Na dnie.* Monachium. J. Marchlewski. — Fr. Grillparzer. *Biada kłamcy.* Lwów. H. Altenberg. — Heijermanns Herman jr. *Nadzieja.* Lwów. H. Altenberg. — H. Ibsen. *Rycerze północy.* Lwów. H. Altenberg. — C. Jellenta. *Kraswa.* Z cyklu „Mity." Kraków. Nakł. autora. — Z. Kawecki. *Dramat Kaliny.* Lwów. H. Altenberg. — J. A. Kisielewski. *Sonata.* Lwów. Tow. wydawn. — J. A. Kisielewski. *W sieci.* Lwów. Tow. wydawn. — M. Maeterlinck. *Intruz.* Lwów. H. Altenberg, — M. Maeterlinck. *Ślepcy.* Lwów. H. Altenberg. — P. Ch. de Marivaux. *Igraszki trafu i miłości.* Lwów. H. Altenberg. — A. Miecznik. *Mistrz Twardowski.* Bytu ludzkiego misteryum. Warszawa. J. Fiszer. — A. Schnitzler. *Zielonyj papugaj.* Moskwa. „Skorpion." — R. Wagner. (Przeł. T. Mianowski). *Walkirya.* Lwów. Księg. Polska. — Hr. de Villiers de l'Isle Adam (przekł. Miriama). *Axel.* Warszawa. Nakł. Chimery.

STUDYA LITERACKIE I ESTETYCZNE. — A. Brückner. *Z dziejów języka polskiego.* Lwów. Tow. wydawn. — *Charakterystyki literackie. (Stefan Żeromski* — przez T. Gałeckiego; *Stanisław Przybyszewski* — przez Z. Bytkowskiego). Lwów. H.

Altenberg. — P. Chmielowski. *Najnowsze prądy w poezyi naszej.* Lwów. H. Altenberg. — P. Chmielowski. *Dramat polski doby najnowszej.* Lwów. H. Altenberg. — P. Chmielowski. *Stylistyka polska wraz z nauką kompozycyi pisarskiej.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — P. Chmielowski. *Dzieje krytyki literackiej w Polsce.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — E. Gaubert. *La poésie tchèque contemporaine.* Paris. Bibl. Intern. d'édition. — A. Gide. *Prétextes. Reflexions sur quelques points de Littérdture et de Morale.* Paris. Mercure de France. — Wł. Jabłonowski. *Emil Zola.* Warszawa. Sennewald. — Dr. J. Karasek. *Czeszka literatura u novije doba.* Novy Sad. Brat. M. Popowicz. — J. Kurnatowski. *Nietzsche.* Łódź. Rychliński i Wegner. — G. Landsberg. *Dołoj Haupmanna!* Moskwa. „Skorpion." — N. Lerner. *A. S. Puszkin. Trudy i dni.* Moskwa. „Skorpion." — I. Matuszewski. *Twórczość i twórcy.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — M. Muttermilch. *Piewca niedoli. Wacław Sieroszewski.* Kraków. Skł. gł. u Gebethnera i S-ki. — Dr. G. Piotrowski. *Zola i naturalizm.* Lwów. H. Altenberg. — W. Presser. *Stanisław Przybyszewski.* Lwów. Księg. Polska. — *Piśma Puszkina i k Puszkinu.* Nowyje matieriały sobrannyje knihoizdatielstwom „Skorpion." Moskwa. — M. Rygier. *Maria Konopnicka nel suo Giubileo.* Roma. Nuova Antologia. — J. A. Święcicki. *Historya literatury powszechnej.* Tom. V. *Literatura perska. Część 2:* tom VI, 2 części, oraz tom VII, część 1-sza: *Literatura żydowska.* Warszawa. Bibl. Dz Wyb. — St. Witkiewicz. *Dziwny człowiek.* Lwów. Tow. wydawn. — K. F. Wize. *W godzinie myśli.* O istocie sztuki. Wydanie 2-gie. Kraków. Nakl. autora.

SZTUKI PLASTYCZNE. — Barlach—M. Wawrzeniecki. *Zasady rysunku i kompozycyi (układu) postaci ludzkiej.* Warszawa. B. Wierzbicki. — A. Basler, P. Jaudon, St. Gierszyński, Ch. Morice, A. Fontainas, M. Reja, V. Josz etc.: *Boleslas Biegas Sculpteur.* Paris. La Plume. — *L'exposition internationale des arts décoratifs modernes à Turin 1902.* Directeur A. Koch. Texte par G. Fuchs et F. H. Newberg. Darmstadt. A. Koch. — *Teka grona Konserwatorów Galicyi Zachodniej.* Tom 1-szy. Kraków. Nakł. Grona Konserwatorów Galicyi Zachodniej.

NAUKI FILOZOFICZNE. — H. Bergson. *Śmiech.* Lwów. H. Altenberg. — F. Laudowicz. *Wesen und Ursprung der Lehre von der Präexistenz der Seelen-Wanderung in der griechischen Philosophie.* Berlin. Selbstverlag des Verfassers.—Fr. Nietzsche (przekł. St. Wyrzykowskiego). *Dusza dostojna.* Warszawa. Nakł. Chimery.— J. Simmel. *Zagadnienia filozofii dziejów.* Przegl. filoz. Warszawa.—W. Windelband. *Platon.* Przegl. filoz. Warszawa.

HISTORYA. — Sz. Askenazy. *Wczasy historyczne.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — A. Białkowski. *Pamiętniki starego żołnierza (1806—1814).* Warszawa. Gebethner i Wolff. — A. Bonnefon. *Sprzymierzeniec Napoleona, Fryderyk August, Król Saski i W. Książe Warszawski.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Ph. B. Callimachi *Vita et mores Gregorii Sanocei.* Cracoviae. Sumpt. Univ. Jagellon. — *Szlakiem legionów. Z pamiętników Dez. Chłapowkiego. II. Wojna 1830—1831.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — *Codex diplomaticus universitatis studii generalis Cracoviensis. Pars Quinta ab anno 1519 usque ad annum 1605.* Cracoviae. Sumpt. Univ. Jagell. — J. Fijałek. *Polonia apud Italos scholastica. Saeculum XV.* Fasciculus I. Cracoviae. Sumpt. Univ. Jagell. — J. F. Gajsler. *Dzieje Węgier w zarysie.* Tom III. Warszawa. Skł. gł. u E. Wendego. — Dr. M. Gumplowicz. *Początki religii żydowskiej w Polsce.* Warszawa. Wende i S-ka. — T. Korzon. *Historya nowożytna.* Tom II-gi. Od 1649 do 1788 roku. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Prez. Krüger. *Pamiętniki.* 2 części. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Kaz. Morawski. *Historya uniwersytetu jagiellońskiego. Średnie wieki i odrodzenie. Ze wstępem o uniwersytecie Kazimierza Wielkiego.* 2 tomy. Kraków. Z drukarni Uniw. Jagiell. — A. Sorel. *Sprawa wschodnia w XVIII wieku.* Wyd. nowe. Lwów. H. Altenberg. — Ludwik

Szczaniecki. *Dziennik.* Warszawa. Skł. gł. u Wendego i S-ki. — Jan. de Wet. *Trzy lata wojny o niepodległość.* 2 części. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.

NAUKI SPOŁECZNE. — G.d'Avenel. *Mechanizm życia współczesnego.* Lwów. H. Altenberg. — Dr. Z. Balicki. *Parlamentaryzm. Zarys socyologiczny.*. 2 tomy. Lwów. H. Altenberg. — J. Dallemagne. *Zbrodnia w świetle teoryj współczesnych.* Lwów. H. Altenberg. — J. W. Draper. *Dzieje stosunku wiary do rozumu.* Wyd. trzecie. Kraków. Nakł. drukarni narodowej. — M. Kowalewski. *Zarys początków i rozwoju rodziny i własności.* Warszawa. Skł. gł. w Księg. Naukowej. — G. Le Bon. *Psychologia tłumu.* Lwów. H. Altenberg. — J. Olszewski. *Biurokracya.* Lwów. Księg. Polska. — S. Posner. *Nad otchłanią.* Część 1-sza. Warszawa. Księg. Naukowa. — A. Mosso. *Fizyczne wychowanie młodzieży.* Lwów. H. Altenberg. — *Z psychologii i fizyologii wychowania* (rozprawy C. Andrea, B. Bławka, A. Szycówny, J. Cohna, K. Twardowskiego, E. Piaseckiego, L. Hirschlaffa). Lwów. H. Altenberg.

NAUKI PRZYRODNICZE. — Dr. E. Aveling. *Teorya Darwina.* Warszawa. Skł. gł. w Księg. Naukowej. — Albertus de Brudzewo. *Super Theoricas Novas Planetarum.* Ed. L. A. Birkenmajer. Cracoviae. Sumpt. Univ. Jagell. — Dr. M. Ernst. *O przyrodzie planet.* Lwów. H. Altenberg. — St. Kramsztyk. *Wiadomości początkowe z fizyki.* Warszawa. Wende i S-ka. — E. Lebon. *Krótki zarys dziejów astronomii.* Warszawa. Wende i S-ka. — Dr. J. Nusbaum. *Z zagadek życia. Szkice i odczyty z dziedziny biologii.* Lwów. H. Altenberg. — Dr. J. Nusbaum. *Z zagadnień biologii i filozofii przyrody.* Lwów. H. Altenberg. — Dr. St. Orłowski. *Suggestya i hypnotyzm.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — J. Rostafiński. *Symbola ad historiam naturalem medii aevi.* Partes duae. Cracoviae. Sumpt. Univ. Jagell. — Dr. L. Sonderegger. *Podstawy ochrony zdrowia.* 3 części. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.

NAUKI ANTROPOLOGICZNE. — A. Brückner. *Starożytna Litwa. Ludy i Bogi. Szkice historyczne i mitologiczne.* Warszawa. Nakł. Księg. Naukowej. — J. Karłowicz. *O człowieku pierwotnym siedm odczytów.* Lwów. Tow. wydawn.

VARIA. — A. Bellessort. *Społeczeństwo japońskie.* 2 części. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. Wawrzeniecki. *Poszukiwania archeologiczne w Królestwie Polskiem.* Kraków. Nakł. Akad. Umiejętności. — R. Zmorski. *Podania i Baśni ludu.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyborowych.

VARIA.

PIĘĆDZIESIĄTA ROCZNICA śmierci Hoene-Wrońskiego wywołała w gazetach naszych i zagranicznych cały szereg wzmianek i artykułów, niestety, niewiele lepiej poinformowanych, zarówno co do nauki wielkiego filozofa i co do jego życia, niż ongi przeróżne *Pszczółki krakowskie, Zbieracze literaccy i Pustelnicy z ulicy Picadilly.* Wyjątkiem w znacznym stopniu jest rozprawa d-ra Ottona Bryka w *Gnosis* wiedeńskiej. W jednym z najbliższych zeszytów rozpatrzymy bliżej to nowe — i dość jałowe — żniwo. Tymczasem, by czemś rzeczowem zaznaczyć rocznicę, podajemy prawdziwą nakoniec datę urodzin Wrońskiego, którą jest SIERPIEŃ 1776 roku (chrzest 28 tego miesiąca), nie zaś jak błędnie dotąd podawano 1778-go lub (u niektórych) 1775-go. Udowodnimy to gdzieindziej dokumentami.

CHIMERA.

Od redakcyi.

PO PÓŁTORAROCZU.

Podobnie jak po pierwszym roczniku, tak i teraz, zamykając tom VI-ty wydawnictwa, za zbyteczne uważamy wydawanie jakichś nowych zapowiedzi czy obietnic. Przez te, pełne nieopisanych trudności, pierwsze lata, staliśmy tak twardo i niezłomnie przy wyłożonych w prospekcie wstępnym zasadach, że te miały czas wyryć się w pamięci naszych czytelników, i że nie potrzebujemy nanowo legitymować się, kim jesteśmy i czego chcemy. Nie zamierzamy też zachęcać lub zapraszać nowych abonentów. Nie dla zysków pismo wydajemy, ani dla przekonywania kogobądź. Powiedzieliśmy — i dotrzymali — że CHIMERA będzie świątynią szczerego, zbożnego, gorącego kultu dla sztuki do wyżyn dążącej absolutnych. Zaproszenia do takiego przybytku byłyby śmieszne. On jest dla pragnących jedynie, dla szukających, dla tych, w których wiekuiste nie wygasły tęsknoty. Intrate omnes ardentes. *Jeżeli tych żarliwych do podtrzymania świątyni będzie za mało, jeśli wyczerpią się siły jednostki, która dobrowolnie wzięła na barki wszystkie ciężary materyal-*

ne i organizacyjne, — świątynia runie w gruzy — nie z winy tych, co ją budowali...

Ale ślad po niej pozostanie. Pozostałby i dziś nawet, gdybyśmy po tym VI-ym tomie CHIMERY pracę już przerwać postanowili. I tu — wobec sprytnego bagatelizowania przez prasę naszych usiłowań, albo też wobec upartych insynuacyj, iż jesteśmy jakąś ciasną, samolubną i niezrozumiałą kapliczką „modernistów“ — czas nareszcie i miejsce policzyć, cośmy dotąd zrobili i jakie owoce dotychczasowa nasza przyniosła działalność.

Wbrew zwyczajowi rozpoczynania od krzykliwych haseł, programów, negacyj przeszłości, oraz grzmiących „jedynie zbawczych“ teoryj, — daliśmy w tych pierwszych latach ogromną przewagę STRONIE TWÓRCZEJ, aby przedewszystkiem, okazać dowodnie, z czem przychodzimy i w imię czego walczyć chcemy. I twierdzimy spokojnie, iż w przeciągu tego krótkiego czasu, na tych kilku tysiącach stronnic, daliśmy tyle dzieł szczerego, głębokiego natchnienia, tyle kapitalnych tworów ducha ludzkiego, że żadne czasopismo, nietylko u nas, lecz i zagranicą, w przeciągu dwakroć i nawet trzykroć dłuższego czasu, takiem żniwem się nie pochlubi. Nie znaliśmy „starych i młodych,“ nie znaliśmy szkół i kierunków, nie znaliśmy ciasnych doktryn i formuł. Niezmordowanie poszukując najwyższych objawów piękna, najwyższych porywów ducha, wędrowaliśmy — nie za przewodem, rzecz prosta, urzędowych historyj literatury czy sztuki, ani też za przemijającemi zacietrzewieniami krzykliwych nowatorów — po wszystkich czasach i krajach — i to, co do chwili ostatniej zawarliśmy w CHIMERZE, acz zaledwie cząstką jest małą plonów zebranych w tej pielgrzymce, czyni już jednak sześć wydanych jej tomów skarbnicą, z której nietylko dziś, lecz i jutro, i dalekie pojutrza czerpać będą.

W dziale literatury krajowej — rozbiliśmy pierwsi, i na zawsze już, zda się, mgły zupełnej, hańbiącej społeczeństwo

niepamięci względem Cypryana Norwida (moglibyśmy rzec prawie, iż obdarzyliśmy piśmiennictwo polskie kolosalną jego postacią); odszukaliśmy jeden z najpiękniejszych waryantów do Króla - Ducha *Słowackiego; przechowaliśmy ostatnie śpiżowe słowa Dygasińskiego; pozyskaliśmy prawie wszystkie natchnione hymny Kasprowicza, oraz utwory wysokiej piękności St. Brzozowskiego, Langego, Micińskiego, Przybyszewskiego, Reymonta, Staffa, Wyrzykowskiego; byliśmy owem miejscem cudu, na którem olśniewająco objawił się Berent; odsłoniliśmy w całej świetności pierwszorzędne talenty Komornickiej, Lemańskiego, Leśmiana, J. Wroczyńskiego, Zawistowskiej; z nowych najmłodszych pisarzy żadna zdolność wybitna nie uszła naszej uwagi i, naodwrót, żadna rzecz błaha, zdawkowa nie przedostała się na karty* CHIMERY.

Z literatur obcych zamieściliśmy — w artystycznych, polskim równoważnikiem oryginału będących przekładach Berenta, Bronsławskiej, Kasprowicza, Komornickiej, Langego, Miriama, Porębowicza, Przybyszewskiego, Stattlerówny, J. Wroczyńskiego, Wyrzykowskiego, Zawistowskiej — cały szereg wybitnych, częstokroć arcydzielnych utworów znakomitych pisarzy, dzisiejszych i dawniejszych, po większej części zupełnie u nas nieznanych, a którzy niejednokrotnie znanymi oddawna byćby mogli i powinni. Tak, piśmiennictwo angielskie, w tych sześciu tomach, reprezentują Coleridge, Emerson i Keats; belgijskie — van Arenbergh, Eekhoud, Giraud, Rodenbach; duńskie — Andersen i Jacobsen; francuzkie — Banville, Baudelaire, Gide, Hello, Huysmans, Laforgue, Rachilde, Schwob, Verlaine i Villiers de l'Isle Adam; hiszpańskie — Campoamor; niemieckie — Grabbe, Nietzsche, Schlaf; prowansalskie — Mistral; literatury słowiańskie — Andrejew, Balmont, Brzezina, Garszyn, Stefanyk, Zeyer; włoską — d'Annunzio, Graf, Nencioni, Pascoli. — Dając taki dobór autorów, z każ-

dego autora — tylko jego wybrane, najlepsze rzeczy, i to w tłómaczeniach, jakie kiedyś *miewała nasza literatura, ale jakie w ostatnich czasach zanikły prawie w zalewie „zdrad" niewysłownych, — uważamy, iż zbogaciliśmy piśmiennictwo krajowe, zawiązali nanowo węzły z wielkim wszechświatowym ruchem duchowym, węzły, tak silne ongi w świetnych naszych epokach, a w dobie spółczesnej rozluźnione zupełnie. Robiono nam zarzut, wybornie malujący dzikie zapatrywania dzisiejsze na przekłady, iż zawiele drukujemy rzeczy „obcych." Przedewszystkiem, rzecz doskonała w doskonałym przekładzie nie jest ani swoja ani obca: jest doskonała — a to wystarczy. Powtóre, dość spojrzeć na spis powyższy, by się przekonać, że pracowaliśmy nietylko za siebie, ale i za poprzedników.*

W dziale sztuk plastycznych — przypomnieliśmy starych mistrzów (Botticellego, Dürera, Łukasza della Robbia, wreszcie nieznanego majstra szkoły cechowej krakowskiej z XV w.); zaznajomiliśmy czytelników z wybranemi dziełami zapomnianych u nas na rzecz Saszy Schneidra lub Anny Costenoble, istotnie wielkich przedstawicieli bądź sztuki europejskiej XIX wieku (A. Beardsley'a, Bilka, Burne-Jones'a, de Groux, Khnopffa, Gustawa Moreau, F. Ropsa, Vallotton'a), bądź drzeworytu japońskiego (Hiroshige'a, Hokusai'a, Korina, Kuniyoshi'ego, Utamara, Yosai'a); z artystów swojskich, wreszcie, przedstawiliśmy, bądź w rysunkach, bądź w autolitografiach, bądź w reprodukcyach z obrazów, Dębickiego, A. Gierymskiego, Krzyżanowskiego, Mehoffera, Norwida, Okunia, Stanisławskiego, Tichego, Wawrzenieckiego, Wyspiańskiego. Pragnąc, aby nietylko dzieło samo, lecz i jego odtworzenie miało cechę artyzmu, usuwaliśmy, o ile się dało, używane u nas wyłącznie klisze siatkowe (autotypie) i zastępowali je bądź cynkotypicznem, wiernem fac-simile, *bądź światłodrukiem, litografią i heliograwiurą. Zabiegaliśmy gorliwie około rozwoju odsuniętych*

przez wyłączne „olejnictwo“ na plan ostatni sztuk graficznych (drzeworytu artystycznego, autolitografii, akwaforty etc.). Powiedzieć wreszcie możemy, iż powołaliśmy na nowo do życia zapomniany oddawna rysunek książkowo-zdobniczy (Buchschmuck) i przez sharmonizowanie stylowe pierwiastków wydawnictwa (szczegółowo dobranych rodzajów druku, matowego papieru, odpowiedniego formatu, inicyałów, ozdób, okładek rysowanych, opraw nowego typu, ram do plansz dodatkowych) zapoczątkowaliśmy — jak owocnie, świadczą dzisiejsze wystawy księgarskie! — ten do ostatnich czasów zaniedbany w kraju zakres sztuki stosowanej.

Dla TEORYI I ANALIZY zachowaliśmy w tych sześciu tomach CHIMERY tyle tylko miejsca, ile do roztrząśnięcia zasadniczych kwestyj lub najbardziej palących spraw było trzeba. Unikając zdawkowych frazesów, oraz aktualny jedynie walor mających objawów, sprowadzając każdy ropatrywany stosunek czy pojęcie z zakresu literatury i sztuki do podstawowych linij, sięgając jak najzwięźlej, ale do głębi każdego poruszanego zagadnienia, — zdołaliśmy jednak przez ten czas krótki, w całym szeregu artykułów, gloss, wstępów ogólnych do sprawozdań krytycznych, zastanowić się: nad stosunkiem społeczeństwa do sztuki, nad charakterem powieści dzisiejszej, nad rzeczywistemi zadaniami krytyki, nad koniecznemi postulatami teatru, nad obłudą t. zw. „nadscen,“ nad muzyką dzisiejszą, nad zadaniami filharmonii, nad zasadami krytyki sztuk plastycznych, nad istotą sztuki stosowanej, nad kolekcyonerstwem dzieł sztuki, nad dolą kształcących się artystów, nad wartością ankiet i konkursów w rzeczach sztuki, nad psychologią dzisiejszego ruchu artystycznego, nad znaczeniem i potrzebami szkoły sztuk pięknych w Warszawie, i t. d. A wszędzie — uważając, iż łatwo jest krytykować po fakcie, a choć trudniej, ale za to korzystniej doradzić z góry — kładliśmy nacisk na stronę dodatnią, budowniczą, stawialiśmy postu-

łaty, wskazywali potrzeby, roztrząsali możliwości — i nieraz bezpośrednie tej metody widzieliśmy z radością owoce. Nawet w sprawozdaniach i recenzyach baczyliśmy pilnie, aby ważkie tylko słowa padały, aby cechy omawianych dzieł i duchowe postacie ich twórców zarysowywały się wyraziście, aby rozbiór godnego uwagi utworu uwydatniał jego związki z epoką i z najgłębszemi, niezmiennemi podstawami sztuki, aby analiza faktu była zarazem roztrząśnięciem pewnego zagadnienia, nie na dziś tylko mającem znaczenie. Ani jedno słowo nie było u nas, dla jakichkolwiek względów czy powodów, rzucone na wiatr — i dla tego, raz jeszcze, twierdzimy spokojnie, że karty CHIMERY *nawet po latach nic ze swej nie utracą wartości.*

Jeżeli chodzi o rezultaty bezpośrednie, o wpływy CHIMERY *nie na dalekie jutro, lecz na chwilę bieżącą, to dziś już z cichą a głęboką radością stwierdzić je możemy. Zarysowała się już wyraźnie linia graniczna między literaturą jako sztuką a tendencyjną lub czysto rozrywkową produkcyą pisarską; między istotnie twórczem malarstwem i rzeźbą a bezmyślnem kopiowaniem z natury, anegdotyczną rodzajowością i wirtuozyą kabotyńską; między artystami gorąco i wyłącznie sztuce oddanymi a ludźmi, niekiedy wielkich nawet zdolności, którzy twórczość uważają za stopień jeno do sławy, powodzenia, dobrobytu, roli trybuńskiej lub innych celów ubocznych; między cacającemi się z sobą pseudo-indywidualnościami a naturami istotnie krzepkiemi, samodzielnemi, świadomemi, że jeno najwyższy ich wykwit i sprężenie ma wagę istotną, nieprzemijającą; między tymi, co w sztuce widzą sługę swych żądz czy kaprysów, a tymi, co sztukę czczą, dla niej na Jakubowe drą się drabiny, dla niej spalają się zażywa. Z całego szeregu potężnych dzieł twórczych, które zamieściliśmy w* CHIMERZE, *jakieś mocne, żywiące powiało, zda się, tchnienie, bo oto podnoszą się kwiaty wielkich talentów, które więdły w zatęchłej atmosferze, bo oto nowe*

kiełkują i tryskają rośliny, niekiedy od pierwszej chwili zdumiewające jędrnością i podrywem wzwyż niepohamowanym. Ci, co, ze zdumiewającą płytkością, życie przeciwstawiają sztuce, próbowali zarzucać CHIMERZE nieruchomość, martwotę, wstecznictwo i t. p. A tymczasem ona to nowy, przyszły żywot ducha tworzy, z niej on, nie zaś z oddanych dzisiejszości trybun i akropolów, pojdzie ..

Po tem wyliczeniu rzeczy dotychczas dokonanych, i zwłaszcza po twierdzeniu końcowem, większość kolegów po piórze nie oszczędzi nam, naturalnie, taniego: laus propria... *Z góry możemy odpowiedzieć: iż podobne, z „mądrości narodów" zaczerpnięte repliki dobre są między naiwnemi dziećmi; że mamy zupełną świadomość, czego chcemy i co robimy; że o tem, co robimy, bardziej niż szan. kolegom sądzić nam wolno, jeśli nie dla czego innego, to poprostu dla lepszej znajomości przedmiotu; że, wreszcie, sami, co zrobiliśmy, podkreślamy, bo nikt nam tego nie podkreśli. Z wyjątkiem kilku ludzi, których sympatye dla usiłowań naszych cenić umiemy, cała prasa krajowa miała i ma dla CHIMERY albo niczem niemotywowane zarzuty i wyszarzane komunały o wieżach z kości słoniowej, wrogościach względem życia, przeszczepianiach cudzych idei (czyich-to, jeśli łaska?), niezrozumiałościach, rozwichrzonych modernizmach czy zastygłych klasycyzmach (bo przedziwnie się krzyżują te admonicye!), — albo też wielkie, wytrwałe, celowe, metodyczne milczenie.*

Jedno i drugie jest nam obojętne. Pośród tej wrzawy, czy tego milczenia, póki nam sił i środków starczy, iść będziem niezłomnie swoją drogą.

ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM).

ADMINISTRACYA „CHIMERY,“

otwierając przedpłatę na rok 1904 (tomy VII — X czyli zeszyty 19 — 30) ma zaszczyt przypomnieć jej warunki:

CENA	w Warszawie	z przes. poczt.	za granicą
roczna	9 rb.	12 rb.	35 fr. 27 mar. 33 kor.
półroczna	5 rb.	6 rb. 50 kop.	20 fr. 15 mar. 18 kor.
kwartalna	3 rb.	3 rb. 50 kop.	11 fr. 8 mar. 10 kor.

Przedpłata na WYDANIE WYTWORNE przyjmuje się tylko roczna: w Warszawie rb. 30, z przes poczt. rb. 35, za granicą 95 fr., 75 mar., 90 kor.

ZESZYTY POJEDYŃCZE po cenie oznaczonej na każdym.

TOMY POPRZEDNIE CHIMERY (I — VI) są jeszcze do nabycia po rb. 3, z przes. poczt. po rb. 3 kop. 50.

TOM I-szy sprzedaje się tylko w komplecie z II, III i IV-ym.

ZESZYTY POJEDYŃCZE — tylko 3, 4/5, 6, 7/8, 9, 10/12, 13, 14, 15, 16, 17 i 18 — po cenie oznaczonej na każdym.

NUMERÓW OKAZOWYCH się nie wysyła. PROSPEKT wstępny na żądanie.

Propozycye ZNIŻEK CENY lub też GRATISOWYCH EGZEMPLARZY nie mogą być uwzględniane, z powodu KOSZTOWNOŚCI WYDAWNICTWA.

ADMINISTRACYA ma zaszczyt prosić szan. abonentów:

1) *o dokładne i czytelne adresy;*
2) *o wczesne odnawianie przedpłaty;*
3) *o przysyłanie prenumeraty ŚCIŚLE WEDŁUG NORM wyżej wymienionych;*
4) *o popieranie pisma w kołach, DLA KTÓRYCH MOŻE ONO BYĆ ODPOWIEDNIEM.*

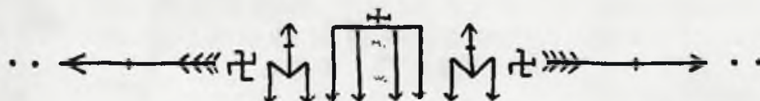




SPIS RZECZY,

UŁOŻONY ALFABETYCZNIE WEDŁUG NAZWISK AUTORÓW.

(TOM VI. — 1902.)





INDEKS ALFABETYCZNY UTWORÓW DRUKOWANYCH W TOMACH V-YM i VI-YM CHIMERY, UŁOŻONY WEDŁUG TYTUŁÓW LUB SŁÓW POCZĄTKOWYCH.



CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.
22, rue Nouveau Monde, Varsovie.
Sommaire du N-ro 18. — Décembre 1902.

OD REDAKCYI

REDAKCYA prosi pp. autorów o czytelność rękopisów.

RĘKOPISÓW nieprzyjętych, objętości mniejszej niż arkusz druku, nie zwraca się. — RĘKOPISY WIĘKSZE zachowują się do zwrotu w przeciągu pół roku. Zwrot pocztą — tylko za przysłaniem marek na opaskę rekomendowaną. —

RĘKOPISY BEZ NAZWISKA AUTORA i wyraźnego adresu niszczone są bez czytania.

REDAKCYA nie wdaje się w żadne dyskusye co do nieprzyjętych rękopisów i nie podejmuje się, na ich podstawie, żadnych ocen talentu, ani ustnych, ani piśmiennych.

WIADOMOŚĆ O PRZYJĘCIU lub nieprzyjęciu otrzymać można w dwa tygodnie po złożeniu rękopisu w redakcyi.

ODPOWIEDZI NA LISTY, czy to do redakcyi, czy do administracyi, jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.



MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY LITERATURZE I SZTUCE
REDAKCYA I ADMINISTRACYA Warszawa—Nowy-Świat, 22.—
REDAKTOR: PRZESMYCKI ZENON (MIRIAM) przyjmuje w *piątki* od 2 do 4 pp.
ADMINISTRACYA otwarta *codzień* od 2 do 6 pp.
Skrzynka pocztowa Nr. 457.

PRZEDPŁATA:	w Warszawie	z przes. poczt.	za granicą
roczna	**9** rb.	**12** rb. — k.	**35** fr. **27** m. **33** kor.
półroczna	**5** rb.	**6** rb. **50** k.	**20** fr. **15** m. **18** kor.
kwartalna	**3** rb.	**3** rb. **50** k.	**11** fr. **8** m. **10** kor.

PRZEDPŁATA na **wydanie wytworne** (na grubym papierze żeberkowym) tylko roczna: w Warszawie rb. **30,** z przesyłką pocztową rb. **35,** za granicą **95** fr., **75** mar., **90** kor.

Cena zeszytu niniejszego rb. 2.

Tomy poprzednie miesięcznika (I do VI) nabywać można po rb. **3,** z przesyłką pocztową po rb. **3** kop. **50;**
tom I-szy sprzedaje się tylko w komplecie z II, III i IV-ym;
zeszyty pojedyńcze — tylko 3, 4/5, 6, 7/8, 9, 10/11/12, 13, 14, 15, 16, 17 i 18 — po cenie oznaczonej na każdym.

NUMERÓW OKAZOWYCH się nie wysyła. PROSPEKT na żądanie.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki, czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTE PUBLICATION (LIVRE, REVUE, MUSIQUE, GRAVURE, OBJET D'ART etc.) ADRESSÉE A LA REVUE.

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.